PODWÓJNE WYDANIE
I MOC CZYTANIA

POLSKA OD NOWA

GDY BUDZI SIĘ NARÓD
JAKI BĘDZIE RZĄD
CZY PiS PRZETRWA
JAK NAPRAWIĆ TVP

TYGODNIK POWSZECHNY

Kraków 25 października – 7 listopada 2023
nr 44-45 (3877-3878)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)
Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Dni dla dusz

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

STRONY SPECJALNE
- ARS CAMERALIS
- FUNDACJA NAUKI POLSKIEJ

REKLAMA

BÓG I WOJOWNICY LUNAPARKÓW

DUCHOWE *Las Vegas Parano*

OD 27 PAŹDZIERNIKA W KINACH

NAGRODA IMIENIA MACIEJA SZUMOWSKIEGO
62. Krakowski Festiwal Filmowy

NAGRODA PUBLICZNOŚCI
25. Festiwal Kina Dokumentalnego Saloniki 2023

NAJLEPSZY PEŁNOMETRAŻOWY FILM DOKUMENTALNY
Nagroda dziennikarzy 41. Koszaliński Festiwal Debiutów Filmowych Młodzi i Film Koszalin 2022

UNSIN STUDIO PRZEDSTAWIA „BÓG I WOJOWNICY LUNAPARKÓW" SCENARIUSZ I REŻYSERIA BARTŁOMIEJ ŻMUDA ZDJĘCIA MICHAŁ OPALA PRODUCENT KREATYWNY PAWEŁ JÓŹWIAK-JODAN
PRODUCENT KIER.PRODUKCJI MARTA PIELASZ MONTAŻ RAFAŁ STÓS, AGNIESZKA KOWALCZYK POSPRODUKCJA DŹWIĘKU ARTUR WALASZCZYK II KIEROWNIK PRODUKCJI MIKOŁAJ KRET
POSPTPRODUKCJA OBRAZU OSKAR POSPOLITAK MUZYKA MIKOŁAJ MAJKUSIAK.

Unsin STUDIO

FILM WSPÓŁFINANSOWANY PRZEZ POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ

TVP

FILM ROZWIJANY W RAMACH DOC LAB POLAND

TYGODNIK POWSZECHNY

mayfly

KS. ADAM

Boniecki: *Moje Zaduszki*

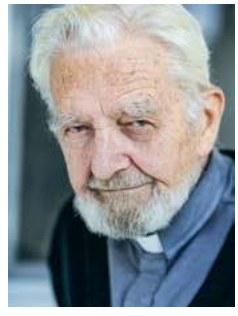

Pamięć. Siłą rzeczy najlepiej pamiętamy tych, którzy żyli wtedy, kiedy my żyliśmy. Pamięć siłą (czy słabością) rzeczy z czasem blednie. Żyć w pamięci nie jest łatwo. Mózg ludzki przesuwa starsze rzeczy na dalsze plany. Wspomnienia z dzieciństwa, owszem obecne, ale mocno wyblakłe, ustępują miejsca późniejszym. Dziadków, nie mówiąc o dalszych pokoleniach, możemy znać z imion, możemy nawet pamiętać jakieś fakty z ich życia, ale po pewnym czasie ich postaci się oddalają i nie ma płaczu z powodu ich odejścia. To się odnosi nie tylko do dziadków, krewnych, bliskich, ale w ogóle do wszystkich. Oczywiście, są ludzie, których będzie nam brakowało już zawsze. Ale nawet we wspomnieniach proces opłakiwania tych ludzi się kończy. Czasem wydaje się to niemożliwe, a jednak tak jest. Śmierć jednego pociąga śmierć drugiego, z którym życie długo było związane. Może gdyby przetrzymał pierwszy etap żałoby, toby żył. Tego po prostu nie wiemy.

NIEBO. O niebie, o życiu po życiu ziemskim, mówią wszystkie stare kultury. Ciekawe, skąd im się to wzięło. O niebie – oczywiście o swoim jego wyobrażeniu – mówią różne religie świata. A my? Nasze wyobrażenia? Sami sprawdźcie... My w gruncie rzeczy także mało wiemy, bardzo mało. Nasze modlitwy o uwolnienie z czyśćca, o rychłe zbawienie... Co to znaczy „rychłe", kiedy tam żadnego czasu nie ma? Odpusty przeliczane na dni, kwartały, lata... To zakrawa na bzdurę. Nawet niektóre grzechy nie wydają się na serio zaprzeczać naszemu zbawieniu. Zresztą czcigodna nauka Kościoła ulega ewolucji. Ewolucję rozumiem, ale sytuację, w której ludzie (błędnie) rozumieli opatrywanie nazwą „grzech" swoich czynów – mniej rozumiem. Nie wiem, czy wina była im poczytana według obowiązującej wówczas nauki, czy według dzisiejszej oceny, czy według jakiejś obiektywnej (do dziś jeszcze nieznanej) miary? Albo sposób istnienia w niebie. Jest wiele bajek na ten temat i jest wiele opowieści, które trudno lekceważyć. To, co po drugiej stronie, będzie zaskakującą niespodzianką. Przestaniemy istnieć na tutejszy sposób, to na pewno. Więc próżne są nasze wyobrażenia.

WOBEC ŚMIERCI. Nie chciałbym być nieuprzejmy wobec zmarłych. Wobec tych ludzi, którzy byli przekonani, że śmierć to odejście w nicość, też bym nie chciał. Dla nich to, co zostaje, to pamięć o nich, ich wkład w dalszy ciąg historii, wkład wielki, na przykład w dokonaniach, wynalazkach, stworzonych dziełach, lub wkład, też wielki, w mało spektakularne przekazanie miłości tym, których kochali. Ale wierząc w niebo (jakkolwiek się je rozumie), wolno się spodziewać szczęśliwej niespodzianki. Często starość oznacza obojętnienie na sprawy, które przez (długie) życie były ważne. Były ważne, lecz pod koniec życia ich ważność zajęła miejsce poślednie. Mówią o świętym Tomaszu z Akwinu, że pod koniec życia (miał wtedy około 50 lat) o swoich dziełach powiedział: *stercora*. Powiedział czy nie powiedział, ale u kresu życia zaprzestał pisania. Widział, jak dalekie od tego, co pisze, jest to, co Bóg ofiarowuje zbawionym.

ZMARLI. Gdy patrzę na życie niektórych ludzi, których znałem, idzie za mną nieodparte przekonanie, że ich wiara była wspierana łaską Bożą. Nie mówię nawet o tych, którzy zostali ogłoszeni świętymi czy błogosławionymi, ale o ludziach, którzy po prostu żyli jak święci. Jest w tym świadectwie niezwykła siła. Nie jest to kwestia nadzwyczajnych znaków (choć czasem jest i to), ale w sposobie traktowania przez nich wiary jest coś, co zmusza do zatrzymania się i zastanowienia. Nie piszę więcej. Mogę powiedzieć tylko, że spotkałem ludzi, którzy widzieli. Coś z tajemnicy Boga? Człowieka? Całkowicie normalni, nierzucający się w oczy, a jednak inni, bo wiedzieli. Ale też spotkałem wielu, bardzo wielu, większość takich, którzy chyba nic nie widzieli. Bardzo wielu takich, którzy żyli (jakby) bez odniesienia do Boga. Chociaż kto wie, może niebo otworzyło im się w ostatniej chwili, może nie wiedzieli, jak blisko nieba żyją.

Przynajmniej w Dzień Zaduszny myślę o nich. O tych, co tęskniąc lub nie tęskniąc za niebem chcieli mieć niebo na ziemi, o tych, co zwątpili w swój los i żyli w rozpaczy, o ludziach, których życie było tak beznadziejne, nieudane lub udane pozornie, że zwątpili we wszystko, to znaczy w sens tego wszystkiego. Myślę o nich i myślę o tych szczęśliwych świętych, którzy wiedzieli, że działa przez nich Pan Bóg, i o niewierzących, dla których czas dany im na ziemi był jedynym, jaki mieli. Staram się dziś myśleć o wszystkich ludziach, których w długim – jak na ludzkie warunki – życiu spotkałem. Być może niebawem się spotkamy w niebie. Wtedy sobie wreszcie spokojnie pogadamy. ©℗

Spotkajmy się na Targach Książki w Krakowie

Zapraszamy na stoisko „Tygodnika Powszechnego" na krakowskich Targach Książki w dniach **26–29 października**.

Poza wyjątkowymi promocjami i atrakcyjnymi cenami naszych publikacji – także **spotkania z dziennikarkami i dziennikarzami:** Eweliną Burdą, Anną Goc, Michałem Kuźmińskim, Łukaszem Kwiatkiem, Moniką Ochędowską, Michałem Okońskim, Piotrem Sikorą, Jackiem Taranem i Przemysławem Wilczyńskim.

Do zobaczenia!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

POLSKA OD NOWA

12 Popisowa klęska
DARIUSZ KOSIŃSKI
Powinniśmy skończyć z polityką polaryzacji. Po 15 października wyłapuję sygnały jej zmierzchu.

18 Andrzej Duda, jedyna niewiadoma
PIOTR ŚMIŁOWICZ
Objęcie rządów przez opozycję wydaje się przesądzone, choć natrafi jeszcze na wiele barier.

22 Stoisz prosto, to wygrywasz
ROZMOWA Z JAROSŁAWEM FLISEM:
PiS przyjął złą strategię: w trakcie ośmiu lat u władzy nie przestał miotać obelgami.

64 Na kontynencie Latynosów
ROZMOWA Z MARTÍNEM CAPARRÓSEM:
Nie możemy winić za wszystko konkwistadorów. Mieliśmy sporo czasu, aby zbudować inne społeczeństwa.

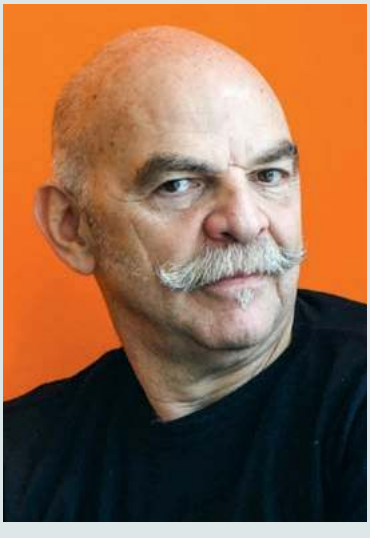

86 Jak czytać
GRZEGORZ JANKOWICZ
Literatura i lektura mogą być lekarstwem bądź trucizną. Jakie czynniki o tym decydują?

90 Piękny umysł
ANNA GOC
Ireneusz Kania uważał śmierć za zjawisko właściwie pozytywne. Na tak małej planecie nie może być miejsca na nieśmiertelność.

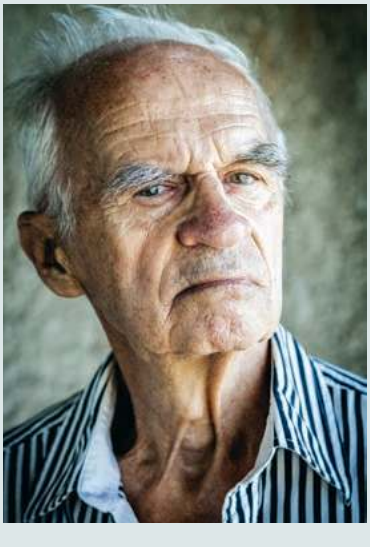

106 Widma w bieli
MICHAŁ MILCZAREK
Wiedziałem, że jeśli pójdę dalej, kraina w końcu mi odpowie. W lodowatej pustce poczuję czyjąś obecność.

FILIP NAUMIENKO / REPORTER / TP·ONLINE // ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM // MICHAŁ MILCZAREK // GRAŻYNA MAKARA // FREDRIK SANDBERG / TT NEWSAGENCY / FORUM

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Izrael – Hamas: rzeź za rzeź
MAREK MATUSIAK

8-9 Komentarze

10-11 Wydarzenia

■ ■ CZYTANIA

16-17 MAŁGORZATA KORDOWICZ, O. WACŁAW OSZAJCA, KARD. GRZEGORZ RYŚ, PIOTR SIKORA

■ ■ TEMAT TYGODNIKA

12 Popisowa klęska
DARIUSZ KOSIŃSKI

■ ■ KRAJ

18 Andrzej Duda, jedyna niewiadoma
PIOTR ŚMIŁOWICZ

22 Stoisz prosto, to wygrywasz
ROZMOWA Z JAROSŁAWEM FLISEM

26 Martwa przestrzeń
MAREK RABIJ: *Najpóźniej za 10 lat na cmentarzach w największych polskich miastach zabraknie miejsca*

■ ■ ŚWIAT

50 Bezdzietni Azjaci
PIOTR BERNARDYN: *Najmniej dzieci rodzi się dziś na Dalekim Wschodzie*

54 Sól na rany
AGNIESZKA BURTON: *Dlaczego większość Australijczyków jest przeciwko dowartościowaniu rdzennej ludności?*

57 Gdzie jest mój dom?
PAWEŁ PIENIĄŻEK: *W stolicy Armenii widać Rosjan*

60 Wszyscy dublerzy Putina
ANNA ŁABUSZEWSKA: *Sobowtóry rosyjskiego prezydenta. Czy istnieją naprawdę?*

PIOTR TUMIDAJSKI / FORUM

DNI ZADUSZNE

30 Płyń jak rzeka
PIOTR SIKORA

34 Żałoba, czyli miłość
ROZMOWA Z JOANNĄ, MATKĄ I ŻONĄ PO STRACIE

39 Wietrzne odpoczywanie
BARTEK DOBROCH

43 Puste noce
DAWID GOSPODAREK

46 Święta Teresa nie jest mała
ARTUR SPORNIAK

■ STRONY SPECJALNE ■

72 FUNDACJA NAUKI POLSKIEJ

79 FESTIWAL ARS CAMERALIS

■ FELIETONY ■

29 TOMASZ STAWISZYŃSKI
49 WOJCIECH BONOWICZ **85** JACEK PODSIADŁO
104 OLGA DRENDA
105 PAWEŁ BRAVO
110 STANISŁAW MANCEWICZ
110 BARTOSZ MINKIEWICZ

ZDJĘCIA NA OKŁADCE: GETTY IMAGES // MACIEK JAŹWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Redaktor prowadzący: MICHAŁ OKOŃSKI

■ ■ ROZMOWA

64 Na kontynencie Latynosów
ROZMOWA Z MARTÍNEM CAPARRÓSEM

■ ■ HISTORIA

68 Marines z Pokucia
GRZEGORZ SKRUKWA: *Po upadku imperium carów Ukraińcy próbowali zbudować swoje państwo i flotę*

■ ■ NAUKA

74 Czeka nas jasność
ŁUKASZ LAMŻA: *Czym są doświadczenia bliskie śmierci?*

■ ■ Z ODDECHEM

86 Jak czytać
GRZEGORZ JANKOWICZ

■ ■ KULTURA

90 Piękny umysł
ANNA GOC

94 Co nowego u Beatlesów?
CEZARY ŁAZAREWICZ *o czterech facetach, którzy zmienili muzykę, popkulturę i świat*

96 Nie graj, tylko powiedz
JAKUB PUCHALSKI *o drugim Konkursie Chopinowskim na Instrumentach Historycznych*

99 Orzeł, wiedźmin i Oscary
MICHAŁ WALKIEWICZ *o polskich filmach, które miałyby największe szanse w Hollywood*

102 Wyjście z rezerwatu
ANITA PIOTROWSKA *o „Czasie krwawego księżyca" Martina Scorsesego*

103 Wszystko poza mną zostało zabite
LEKTOR *o książce „Nigdy nie byłaś Żydówką" Anny Bikont*

■ ■ ZMYSŁY

106 Widma w bieli
MICHAŁ MILCZAREK

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Impeachment w Gruzji się nie udał [Strona świata]
Rządząca partia Gruzińskie Marzenie chciała odwołać prezydent Salome Zurabiszwili. Dlaczego? – tłumaczy WOJCIECH JAGIELSKI | tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

Ból, który stał się buntem [Co obejrzeć w weekend]
Testowała na własnym ciele to, co najmroczniejsze. Następnie przekuła wszystko w nierówną walkę z gigantami – ANITA PIOTROWSKA o filmie „Całe to piękno i krew" | tygodnikpowszechny.pl/weekend

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

IZRAEL–HAMAS: RZEŹ ZA RZEŹ

Czy świat przyjmie izraelską interpretację wojny z Hamasem jako zmagań z „nowymi nazistami", włącznie ze zrozumieniem dla dowolnego poziomu strat cywilnych po stronie palestyńskiej?

MAREK MATUSIAK

POWYŻEJ:
Strefa Gazy. 18 października 2023 r.

Pełen obraz tego, co stało się w Izraelu 7 października, dopiero się wyłania. Same statystyki – 1400 zabitych, 3500 rannych i ponad 210 uprowadzonych – są zbyt abstrakcyjne. Dopiero konkretne historie uzmysławiają, co się zdarzyło. Historie rodzin spalonych w swoich domach, dzieci zamordowanych na oczach rodziców, granatów wrzucanych do kryjówek, w których szukano ratunku, czy staruszków rozstrzelanych na przystanku autobusowym. W wiele aż trudno uwierzyć. Tak jak w historię 90-latki, która ocalała z obozu w Terezinie, aby zostać zamordowaną strzałem w głowę pod własnym domem w Izraelu.

To, co zrobił Hamas, nie było operacją militarną (choć dokonała tego mała armia) ani nawet atakiem terrorystycznym. Było rzezią. Nieśpieszną, konsekwentną i skrupulatną. Tak brutalną, że wielu ciał wciąż nie zidentyfikowano.

Nie zaskakuje więc, że Izrael pała żądzą zemsty, a uczucie to odzwierciedla się w języku: „ludzkie zwierzęta", „nowe Państwo Islamskie", „nowi naziści" czy „nowy Babi Jar". Słowa te mogą być zrozumiałe wobec czynów, których okrucieństwo przekracza ludzkie pojęcie. Zwłaszcza w społeczeństwie, które żyje w cieniu Zagłady.

Nabierają jednak całkiem innego znaczenia, gdy powtarzają je ambasadorowie, ministrowie i premier. Nie są bowiem wówczas wyrazem indywidualnych emocji, ale linią polityczną i świadomym przekazem kierowanym do społeczeństwa, a zwłaszcza do świata.

Pierwsze było porównanie z ISIS. Wzmocnione informacją, że mordercy obcinali dzieciom głowy. 11 października potwierdził ją Joe Biden: stwierdził, że widział dowody. Jednak następnego dnia Biały Dom wyjaśnił, że prezydent opierał się na doniesieniach medialnych.

Czy do tego akurat aktu okrucieństwa doszło, nie jest jasne. Dlaczego więc z długiej listy zbrodni Hamasu nagłośniono tę, wokół której zaraz pojawiły się kontrowersje? Wydaje się, że chodziło o zakomunikowanie światu, iż nie jest to kolejna odsłona konfliktu izraelsko-palestyńskiego, ale coś istotowo innego: walka ze złem absolutnym. I – tak jak w przypadku ISIS – ważne jest wyłącznie jego zniszczenie. Niezależnie od ceny.

Porównanie do nazistów jest jeszcze bardziej jednoznaczne. Ambasador Izraela w Wielkiej Brytanii Cippi Chotoweli (prominentna działaczka partii Likud), dopytywana o dramatyczną sytuację humanitarną w Gazie, stwierdziła: „600 tysięcy Niemców, niewinnych Niemców, zginęło w waszych nalotach bombowych na Hamburg i Drezno. Dlaczego? Bo wiedzieliście, że tylko tak możecie pokonać nazistów. Ci, którzy nas zaatakowali, byli gorsi od nazistów". Nie było to porównanie spontaniczne, powtórzyła je w kolejnych wywiadach.

Jest to stanowisko, które żąda od świata jednoznaczności nie tylko wobec tego, co się wydarzyło, ale też tego, co dzieje się dziś. A także tego, co jeszcze się wydarzy, tj. kolejnych faz izraelskiego odwetu. Podsuwa też dychotomię: albo jesteś z nami, albo z Hamasem. Nakazuje również odciąć historię konfliktu izraelsko-palestyńskiego i liczyć ją od nowa, zaczynając od 7 października. Wreszcie: wyklucza pytania o to, na jakiej glebie organizacja taka jak Hamas mogła wyrosnąć i rozkwitnąć. I czy 38 lat okupacji, a potem 16 lat całkowitej blokady Gazy mogło mieć tu jakieś znaczenie.

Strona izraelska nie sugeruje, że „nowymi nazistami" są wszyscy mieszkańcy Gazy. Ale nawet prezydent Jicchak Herzog stwierdził: „Po pierwsze musimy zrozumieć, że tam jest całe państwo, cały naród, który jest odpowiedzialny. Nie jest prawdą cała ta retoryka o cywilach, którzy nie wiedzą i nie są zaangażowani. To zupełna nieprawda. Mogli powstać i walczyć przeciwko temu reżimowi". Fakt, że z ok. 2,2 mln mieszkańców Strefy ponad 40 proc. to dzieci poniżej 14. roku życia, które w 2006 r., gdy Hamas nieznacznie wygrał wybory (po raz pierwszy i ostatni, potem wyborów już nie było), nie zdążyły się urodzić, nie jest w tej perspektywie uwzględniony.

Czy świat przyjmie interpretację wojny z Hamasem jako zmagań z „nowymi nazistami", włącznie ze zrozumieniem dla dowolnego poziomu strat cywilnych? Na pewno nie jednogłośnie, choć możliwość taka istnieje. Bo lata „wojny z terrorem", gdy Arabów poddano zbiorowej stereotypizacji jako ludzi o szczególnej inklinacji do fanatyzmu i okrucieństwa, przygotowały pod nią grunt. Zwłaszcza w USA.

Obecny stan konfliktu jest następujący: od 7 października nie ustają izraelskie naloty. W ciągu sześciu pierwszych dni siły powietrzne, jak same podały, zrzuciły 6 tys. pocisków i zniszczyły 3,6 tys. celów. 19 października „Economist" poinformował, że według szacunków na podstawie zdjęć satelitarnych zniszczono lub uszkodzono 11 tys. budynków (na obszarze równym ok. 70 proc. powierzchni Warszawy). To jednak tylko informacje cząstkowe, pozwalające co najwyżej przeczuwać, jaka jest faktyczna skala zniszczeń i strat, bo pełnych i wiarygodnych informacji nie ma.

Jednocześnie Izrael wstrzymał dostawy prądu, paliwa i żywności do Gazy. W konsekwencji od 11 października jedynym źródłem elektryczności są generatory, ale paliwo do nich się kończy. Bez prądu nie będą zaś działać odsalarnie wody, wodociągi, kanalizacja, szpitale i piekarnie. Już obecnie coraz trudniej o wodę pitną i jedzenie, a także leki (np. insulinę). Mnożą się informacje o operacjach dokonywanych przy latarce i bez znieczulenia. W wyniku problemów z elektrycznością i uszkodzeń infrastruktury coraz trudniej też o internet. To z kolei sprawia, że wojna w Gazie rozgrywać się będzie w narastającej ciszy i przy coraz większej dominacji informacyjnej jednej strony.

Będzie to m.in. utrwalać sytuację, gdy ofiary izraelskie mają twarze, biografie i niezrealizowane plany. Palestyńskie pozostają bezimienne i zawierają się w jedno lub dwucyfrowej statystyce strat takiego czy innego ataku.

Sytuację humanitarną pogarszają masowe przemieszczenia ludności, wywołane zarówno bombardowaniami, jak i wydanym przez Izrael poleceniem „ewakuacji" północnej części Strefy (ok. miliona osób) w związku z planowaną operacją lądową. Izraelskie ulotki ostrzegają, że ci, którzy się nie ewakuują, mogą być traktowani jak terroryści.

W wyniku działań odwetowych zginąć miało ponad 4,6 tys. osób, a ponad 14 tys. zostało rannych (stan na 22 października). Należy się spodziewać, że liczby te będą rosnąć. Zwłaszcza gdy zacznie się – oczekiwana lada moment – operacja lądowa, do której zmobilizowano ponad 300 tys. rezerwistów.

W odróżnieniu od tego, co zrobił Hamas, po stronie izraelskiej nie ma oczywiście intencji zabijania cywilów. W obecnej sytuacji nie ma jednak także czasu ani woli, aby czynić z ich ochrony priorytet. To zaś, czy dana osoba straciła życie jako cel bezpośredni, czy też jako tzw. strata uboczna, ma znaczenie jedynie z punktu widzenia prawa międzynarodowego. Dla ginących nie ma żadnego – ostatecznie to także rzeź, nawet jeśli ubrana w szaty legitymizmu.

Palestyńczycy ponoszą więc *de facto* kolektywną karę nie tylko za bestialstwo Hamasu, ale też za porażkę izraelskiej polityki zarówno wobec Gazy, jak i kwestii palestyńskiej w ogóle.

Jednocześnie w kierunku Izraela wciąż lecą rakiety Hamasu, a na granicy Izraela z Libanem eskaluje wymiana ciosów z proirańskim Hezbollahem. Na pytanie o to, jak daleko posuną się Teheran i jego lokalni sojusznicy i czy wojna nabierze charakteru regionalnego, nie ma na razie odpowiedzi. ©

MAREK MATUSIAK – *analityk Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia, koordynator projektu Izrael-Europa.*

Cywile nie są winni

DR PIOTR ŁUBIŃSKI, EKSPERT PRAWA MIĘDZYNARODOWEGO:

SYTUACJA MIESZKAŃCÓW Gazy to efekt dominacji dwóch formacji terrorystycznych, Hamasu i Islamskiego Dżihadu, a także niewyobrażalnego zmilitaryzowania tego terenu. Obiekty cywilne, w tym meczety i szkoły, są przez Hamas militaryzowane.

JEŚLI DOJDZIE do pełnoskalowej interwencji Izraela, możemy być pewni, że jej efektem będzie rzeź ludności cywilnej. Osób, które nie biorą bezpośredniego udziału w działaniach zbrojnych i nie są legalnym, uprawnionym celem ataku.

W PRAWIE WOJENNYM nie ma czegoś takiego jak odpowiedzialność zbiorowa. Nie ma zasady odwetu. Stosujemy prawo niezależnie od tego, co robi druga strona. Dotyczy ono też organizacji terrorystycznych. Bo co do tego, że Hamas jest taką organizacją, nie mam wątpliwości: jego członkowie torturują przeciwników politycznych, dopuszczają się zamachów i zbrodni.

KONIECZNOŚĆ STOSOWANIA prawa wojennego była wielokrotnie podkreślana przez Sąd Najwyższy Izraela. Ten sam, który stał się celem ataku premiera Netanjahu. Wypowiedzi niektórych polityków izraelskich o cywilach w Gazie są niepokojące. Przedstawiciele państwa, które powstało po Holokauście, nie mogą twierdzić, że ktoś nie jest człowiekiem.

©℗ Wysłuchał MARCIN ŻYŁA

Cała rozmowa: powszech.net/gaza

MOHAMMED SABER / EPA / PAP

Niewdzięczny naród

MAREK KĘSKRAWIEC

Znamy przyczyny zwycięskiej porażki PiS. Jedni wyborcy nie okazali władzy wdzięczności, inni się nią znudzili. Popełniono w sztabie pewne błędy, ale i tak nie miały znaczenia, bo PiS musiał walczyć nie tylko z PO, którą wymyślono dla realizacji interesów niemieckich, ale też z Polską 2050, która zapewne spełnia pragnienia Moskwy. Tak przynajmniej uznał Jarosław Kaczyński (na zdjęciu), podsumowując kampanię.

O prawdziwych przyczynach porażki PiS piszemy na kolejnych stronach. W tym miejscu zastanówmy się, co z niej wynika dla wewnętrznej spójności obozu, który żegna się z władzą, zostawiając sobie przyczółki w Pałacu Prezydenckim i Trybunale Konstytucyjnym. Przyczółki, które sprawią, że rządzenie krajem przez sojusz KO, Trzeciej Drogi i Lewicy, wystarczająco niełatwe z racji różnic programowych, będzie angażować masę energii w nieustanne konflikty.

W PiS nie będzie wielkich rozliczeń. Szefem klubu poselskiego, w miejsce Ryszarda Terleckiego, zostanie inny wierny żołnierz – Mariusz Błaszczak, który zdaniem prezesa lepiej radzi sobie z konkretnymi działaniami. Straci też na znaczeniu Mateusz Morawiecki, który stał się twarzą kampanii, i co prawda realizował plan Kaczyńskiego i Joachima Brudzińskiego, ale trudno byłoby rozliczać za błędy jądro PiS. Aktualny jeszcze premier wprowadził do nowego parlamentu swoich stronników, i to ponad 20, ale frakcja ta – najmniej zakorzeniona w PiS – będzie topnieć z każdym miesiącem, z którym stawać się będzie coraz bardziej jasne, iż Morawiecki nie jest już Kaczyńskiemu potrzebny. Nie będzie go bronił ani przed ludźmi Jacka Sasina, który od lat prowadzi z premierem wojnę, ani Beaty Szydło, która także jest w PiS silna i kojarzy się ze złotą erą partii.

Wspomniani wyżej politycy nie mają ani siły, ani ochoty, by zagrozić pozycji prezesa, i raczej będą się starali mu przypodobać. Środowisko musi pożegnać się z setkami stanowisk, więc przyszłoroczne wybory do samorządów i europarlamentu nabiorą dodatkowego znaczenia. To ma być czas konsolidacji i odzyskania energii. Kłopot w tym, że starzejący się lider musi żyć z wiszącą stale nad klubem PiS groźbą odejścia 18 posłów Zbigniewa Ziobry (który już raz to zrobił prezesowi, w 2011 r.), a ponadto do gry aktywniej wkroczy Andrzej Duda. Jego pozycja urośnie przez najbliższe półtora roku, może się więc okazać nowym rozgrywającym. Sugestia jego ministra Marcina Mastalerka, by Kaczyński odszedł na emeryturę, zapewne nie była przypadkowa.©℗

TOMASZ GZELL / PAP

Co z tą szkołą

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Panie prezydencie, ludzie czekają – tymi m.in. słowami Donald Tusk ponaglał Andrzeja Dudę, powołując się na przedstawicieli sfery budżetowej, której główna partia opozycyjna – a za moment zapewne koalicyjna – obiecała podwyżki. Rzecznik PO Jan Grabiec zadeklarował z kolei, że nauczyciele zapowiedziany przez tę partię (i inne opozycyjne ugrupowania, choć w nieco odmiennych wariantach) 30-procentowy wzrost wynagrodzeń powinni ujrzeć na swoich kontach już 1 stycznia.

Jeśli tak się faktycznie stanie, będzie to najbardziej znaczący jednorazowy awans finansowy tej grupy zawodowej od lat – tysiąc kilkaset złotych miesięcznie więcej w portfelu; skok wyraźny nawet przy szalejącej inflacji. Skok jednak, dodajmy, z bardzo niskiego pułapu: jak wykazał zeszłoroczny raport fundacji Evidence Institute i Związku Nauczycielstwa Polskiego, pedagog znad Wisły kupi za swoją pensję mniej niż jego kolega nie tylko niemiecki czy szwedzki (tu przebitka jest trzykrotna), ale nawet grecki, bułgarski i rumuński (za nami w tym zestawieniu siły nabywczej nauczycielskich pensji w Europie były tylko Węgry i Słowacja). Co więcej: polscy pedagodzy zarabiają wyraźnie mniej niż osoby o porównywalnych kwalifikacjach na naszym rynku pracy, przy czym różnica między nauczycielami i nienauczycielami stale się w ciągu ostatnich kilkunastu lat powiększa, w 2018 r. dochodząc do 1200-1400 zł – a więc sumy zbliżonej do tego, co chce pedagogom dorzucić nowa władza.

Nie miejmy złudzeń: podwyżka nie zmieni znacząco ani losu ponad pół miliona nauczycieli, ani nie da jakościowego skoku polskiej edukacji.

Podwyżkę – o ile nie wejdzie w życie system rewaloryzacji – zeżre inflacja. A efekt nowego, przyjaznego otwarcia (w odróżnieniu od ośmiu lat władzy, która była z tą grupą zawodową w nieustannym zwarciu) być może prędko się zużyje. Zostaną problemy stare jak pruski model oświaty: negatywna selekcja do zawodu, która nie wynika wyłącznie z niskich uposażeń (niektórzy eksperci postulują węższe sito dostępu do tego zawodu); anachroniczny model kształcenia kadr; skompromitowany, bo mający wątłą motywacyjną siłę i premiujący głównie biurokratyczną rzutkość system awansu – oraz wiele innych.

Dosypanie grosza i wprowadzenie do gmachu resortu edukacji ministra o nazwisku innym niż Zalewska czy Czarnek – to sporo, ale dalece nie wszystko. O resztę będzie trudniej. ©℗

NA PUNKTY

PYTANIE
Były szef CBA Paweł Wojtunik twierdzi, że zgłaszają się doń sygnaliści informujący o nieprawidłowościach w obozie władzy. „Czy prawdą jest, że podczas odprawy w Lucieniu dwa dni przed wyborami zapadły decyzje, aby w kontekście wyborów parlamentarnych masowo stosować kontrolę operacyjną wobec przedstawicieli ugrupowań opozycyjnych?” – to jedno z pytań, które zadał w TVN aktualnym zwierzchnikom służby powołanej teoretycznie do walki z korupcją.

CYTAT
Inni politycy opozycji alarmują, że w obozie władzy po wyborczej porażce trwa zacieranie śladów, powołując się m.in. na ogłoszony przez ABW przetarg na zakup kilkudziesięciu niszczarek. „Kaczyński, co wy tam palicie? Przecież kopie są już u nas” – napisał na portalu X Donald Tusk, parafrazując frazę z „Psów” Władysława Pasikowskiego.

WNIOSEK
Nie wiemy, czym był zajęty po wyborach Zbigniew Ziobro, ale w końcu się odnalazł: po blisko tygodniowej nieobecności w mediach zwołał konferencję prasową, by poinformować, że skierował do Trybunału Konstytucyjnego wniosek o zbadanie legalności wprowadzenia przez UE zakazu sprzedaży nowych samochodów spalinowych po 2035 r. ©℗

Jak naprawić TVP

KALINA BŁAŻEJOWSKA

Brutalne i bezprawne przejęcie mediów publicznych było jedną z pierwszych decyzji PiS w 2015 r. Ich odzyskanie ma być jedną z pierwszych decyzji nowej koalicji. Pytanie tylko, jak to zrobić. Według jednego ze scenariuszy powołująca ich zarządy, zdominowana przez PiS Rada Mediów Narodowych, której kadencja kończy się w 2028 r., miałaby już na pierwszym posiedzeniu Sejmu zostać przejęta przez dotychczasową opozycję. Jak pisze Onet, uchwały o powołaniu członków RMN „mogą zostać unieważnione”, a nowa Rada mogłaby powołać nowych prezesów TVP i Polskiego Radia.

To fatalny pomysł. Nie tylko dlatego, że podejmowanie uchwał unieważniających te wcześniej podjęte godzi w porządek prawny. Także dlatego, że powoływanie prezesów mediów publicznych z pominięciem Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji jest niekonstytucyjne. Czy nowa władza, która miała na sztandarach obronę konstytucji, może zacząć rządy od jej łamania?

O drugim scenariuszu rozprawy z TVP i PR piszą Wirtualne Media: minister kultury postawiłby spółki medialne w stan likwidacji i powołałby ich zarządy komisaryczne, których RMN nie mogłaby odwołać. Trzecia opcja: nowa władza może media publiczne zagłodzić, nie karmiąc reklamami spółek Skarbu Państwa i pozbawiając tzw. rekompensaty abonamentowej (w latach 2017-2022 wyniosła 7,2 mld zł).

Niezależnie od tego, jakie rozwiązanie zostanie wybrane, nie może posłużyć do obsadzenia stanowisk „swoimi” i odwrócenia przekazu o 180 stopni. W zarządach mediów publicznych nie powinni zasiadać politycy, nieważne jakiej opcji, a stara propaganda nie może zostać zastąpiona nową. Treści w mediach publicznych mają być takie, jak określa – łamana przez 8 lat – ustawa o radiofonii i telewizji: „cechujące się pluralizmem, bezstronnością, wyważeniem i niezależnością oraz innowacyjnością, wysoką jakością i integralnością przekazu”. ©

Więcej: powszech.net/tvp-naprawa

IRENEUSZ SOBIESZCZUK JAN BOGACZ TVP / EAST NEWS

Synod: kobiety się liczą

EDWARD AUGUSTYN

Prawie 15 procent uczestników synodu to kobiety. Można rzec: niewiele, skoro stanowią połowę społeczeństwa. Ale biorąc pod uwagę tradycje i strukturę klerykalnego (czytaj: zmaskulinizowanego) Kościoła – zmiana jest duża, ważna i bardzo widoczna.

Wydawało się, że kobiet na synodzie było nawet więcej, niż sugerowały liczby. Dwie włączone zostały do wąskiego, dziewięcioosobowego grona „delegowanych przewodniczących” i prowadziły obrady plenarne w zastępstwie papieża. Inne, siedząc ramię w ramię z kardynałami i biskupami przy stole obrad, wpływały wyraźnie na przebieg dyskusji – jej styl i treść – wnosząc nieobecne dotąd i nieznane doświadczenie i spojrzenie (niejednokrotnie większe i szersze, niż ma wielu hierarchów, bo zdobywane w czasie wieloletniej pracy duszpasterskiej i misyjnej albo na wydziałach teologicznych, gdzie są wykładowczyniami).

Temat roli kobiet w katechezie, liturgii, wsparciu ofiar nadużyć seksualnych księży, podejmowaniu decyzji czy – wreszcie – w sprawowaniu sakramentów (diakonat) przewijał się niemal we wszystkich dyskusjach roboczych, plenarnych i kuluarowych. Po raz pierwszy panie nie były tylko przedmiotem debaty panów. A ich obecność na szczytach kościelnej władzy w zasadzie nie jest już przez nikogo kwestionowana.

Czy watykański model przyjmie się w terenie? W wielu krajach kobiety już dawno zajęły należne im miejsce w strukturach Kościoła – czy to z konieczności (brak księży i zaangażowanych mężczyzn), czy z powodu zmieniającej się świadomości biskupów. W Polsce pod każdym z tych względów wciąż jest inaczej. Ale może wracający z Watykanu czterej metropolici (z Łodzi, Poznania, Katowic i Krakowa) będą wzorem synodalnej przemiany. ©℗

BARTOSZ KRUPA / EAST NEWS

JAN GOŁĘBIOWSKI PSYCHOLOG KRYMINALNY:

Polska systemowo nie radzi sobie z identyfikowaniem osób mogących stanowić zagrożenie.

MICHAŁ KUŹMIŃSKI: 71-letni Zbysław C., który 18 października w Poznaniu zabił nożem na ulicy pięcioletniego chłopca, wcześniej był widziany, jak grozi otoczeniu śmiercią, awanturował się też w sklepie. Nikt nie zawiadomił policji, nie wychwycił go też system.

JAN GOŁĘBIOWSKI: To problem systemowy – bo choć według oficjalnych informacji ten mężczyzna nie był notowany ani karany, to wiedzę o kimś takim powinien mieć dzielnicowy czy pomoc społeczna. Z drugiej strony, odpowiedzialność jest nie tylko po stronie organów państwowych, ale też nas, obywateli. Mając w rodzinie czy otoczeniu kogoś, kto się groźnie zachowuje, to my pierwsi powinniśmy reagować.

Nieskuteczność systemu to w Polsce wyjątek czy reguła?

Polska nie radzi sobie z ochroną zdrowia czy edukacją, a co dopiero z identyfikowaniem osób mogących stanowić zagrożenie. Kuleje u nas współpraca między instytucjami. Znam wiele przypadków, kiedy pomoc społeczna ostrzegała, ale temat utknął w sądzie. Problemem jest brak decyzyjności oraz archaiczne procedury, które utrudniają obieg informacji. A w sprawach takich, jak np. eksmisja sprawcy przemocy, działać trzeba bardzo szybko. Jako biegły współpracuję z sądami i prokuratorami, gdzie cały czas obowiązuje obieg papieru tradycyjną pocztą. Świat działa elektronicznie, a u nas krążą awiza. Dwa tygodnie, w trakcie których papier idzie przez listonosza, mogą być sprawą życia i śmierci.

Prokuratura przekazała, że Zbysław C. cierpi na „zaburzenia somatyczno-psychiczne".

W przypadku tego mężczyzny wypowiedzą się biegli, ale istnieje duże prawdopodobieństwo, że zostanie uznany za niepoczytalnego, a takiej osobie należy się pomoc medyczna. Wobec osoby niebezpiecznej dla siebie i otoczenia stosuje się środek zapobiegawczy w postaci detencji nazywanej też internacją psychiatryczno-sądową. Umieszcza się ją na oddziale sądowym szpitala psychiatrycznego, w praktyce skrzyżowaniu szpitala z więzieniem.

Czy istnieją jakieś szanse prewencji? Da się działać, zanim dojdzie do tragedii?

Najlepiej dotrzeć do przyczyn. Osoby nadużywające alkoholu powinno się kierować na terapię. Chorujący psychicznie powinien być objęty opieką psychiatryczną i stosować farmakoterapię. W mniej typowym przypadku, jak ten, o podłożu somatycznym, również powinno się taką osobę leczyć.

Trzeba się też przyjrzeć, jak służby państwowe realizują swoje zadania. Spotykałem się z sytuacjami, gdy przy wzywaniu pomocy do osoby zaburzonej padało pytanie, na ile występuje zagrożenie życia i zdrowia. „Tylko wygraża, że coś komuś zrobi? To przecież jeszcze się nic nie stało...". I służby nie przyjeżdżały.

Problem też w tym, że instytucje państwowe mają u nas tendencję do szukania winnego. To dlatego ludzie na pierwszej linii boją się podejmować decyzje. Gdy coś się stanie, szuka się kozła ofiarnego, zamiast dotrzeć do przyczyn systemowych. ©℗

JAN GOŁĘBIOWSKI – *psycholog kryminalny, biegły sądowy i profiler. Jest założycielem Centrum Psychologii Kryminalnej.*

Infekcje i demencja: kolejne badania sugerują związek

MEDYCYNA ▪ O powiązaniu mikrobioty jelitowej, czyli wszystkich mikroorganizmów żyjących w świetle naszych jelit, z rozwojem chorób układu nerwowego dyskutuje się w prasie naukowej od dłuższego czasu – ostatnio coraz więcej. U pacjentów z chorobą Alzheimera opisywano nieprawidłowy skład flory jelitowej, obecność metabolitów i toksyn bakteryjnych. Postuluje się, że to właśnie te czynniki mogą odgrywać kluczową rolę w procesie rozwoju choroby Alzheimera.

Ciekawych dowodów dostarcza badanie przeprowadzone przez zespół prof. Yvonne Nolan, w którym zdrowym wcześniej szczurom przeszczepiono mikroflorę jelitową osób chorych na chorobę Alzheimera. U gryzoni z grupy badanej zaobserwowano upośledzenie zachowań związanych z funkcjonowaniem hipokampu, czyli struktury, która jest objęta chorobą Alzheimera w jej początkowych stadiach. Co ciekawe, nasilenie tych zaburzeń u szczurów odpowiadało ciężkości choroby Alzheimera u pacjentów, których mikroflorą jelitową „zarażane" były zwierzęta.

FIRN / ADOBE STOCK

Szczury rasy Sprague-Dawley, powszechnie wykorzystywane w badaniach biomedycznych.

Czy zatem można „zarazić się" demencją? To nieco prowokacyjne pytanie, ale wpływ patogenów na rozwój choroby Alzheimera może okazać się niedoszacowany. Naukowcy z Baylor College of Medicine z Houston wykazali z kolei, że związane z patogenezą alzheimera złogi białka (amyloidu-beta) mogą powstawać nie tylko jako efekt zaburzonego metabolizmu neuronów, ale również w wyniku infekcji powszechnie występującym grzybem *Candida albicans*. Grzyb ten, choć często stanowi florę fizjologiczną, np. przewodu pokarmowego, może powodować również zakażenia, szczególnie u osób z obniżoną odpornością. Aby dotrzeć do mózgu i pokonać ochronną barierę krew-mózg, *C. albicans* produkuje enzym, który jednocześnie odpowiada za powstanie złogów amyloidu. Taka infekcja może zatem stanowić jedną z dróg na ciągle rozgałęziającej się mapie etiologii choroby Alzheimera. © BARTOSZ KABAŁA

Obrońcy są przemęczeni

WOJCIECH PIĘCIAK

Cmentarz miejski numer 18 w Charkowie, październik 2023 r.

UKRAINA ▪ Z oddali wyglądają jak las, który porusza się i mieni kolorami. Tylko skąd las tu, na miejskim cmentarzu nr 18, przy południowej obwodnicy Charkowa? Z bliska rzecz się wyjaśnia: to nie drzewa. To tysiące flag wbitych w ciemnożółtą ziemię mogił, czasem po kilka na jednej. Prócz flag państwowych niemal każdy grób dźwiga, niczym chorąży, sztandar jednostki, w której służył poległy.

Na cmentarzu nr 18 chowani są żołnierze z Charkowa, którzy zginęli na wojnie z Rosją. Groby, ściśnięte ciasno, ciągną się szeregami. Setki, może więcej. Leżą miesiącami: ci z sierpnia, tamci z września. Twarze na zdjęciach, haftowane ręczniki, czasem rysunek, pewnie dziecięcy. U Dmytra Denisenki, lat 36, na ramieniu krzyża wisi torebka ze słodyczami. Przy niektórych ludzie: tu zapewne cała liczna rodzina, tam samotna kobieta. Siedzi w bezruchu, czasem coś poprawi, znów zastyga.

W miejscu, gdzie kończy się najświeższy rząd mogił, wykopano kilka nowych. Jest niedzielny poranek, dziewiąta. Trwa pogrzeb, kolejny się szykuje. „Cmentarze rosną maleje liczba obrońców" – przypomina się wiersz Herberta „Raport z oblężonego Miasta".

Czy faktycznie maleje? Skala strat, poniesionych przez ponad 600 dni rosyjskiej inwazji, sprawia, że armia ukraińska jest dziś inna niż rok temu: coraz mniej żołnierzy zawodowych i ochotników, coraz więcej tych, którzy poszli, bo musieli. Kraj ma coraz większy problem z poborem nowych. Zmiany w prawie domykają furtki, które dotąd ułatwiały uchylanie się. Mówi się, że wkrótce powołanie mogą dostać mężczyźni powyżej 60. roku życia (może to *fake*, ale pokazuje emocje).

Siłą rzeczy przybywa na froncie tych, których w innych warunkach powinno się co najmniej wysłać na urlop. To ci, którzy odnieśli rany, aby po podleczeniu zaraz wracać do szeregów (są tacy, którzy byli ranni parę razy). Z żołnierzy, których spotykałem podczas wyjazdów na Ukrainę po 22 lutego 2022 r., większość była już ranna, po czym wróciła na front. Ale i wśród tych, których kule ominęły, powszechne jest psychiczne i fizyczne przemęczenie. Czasem też fatalistyczne poczucie, że nie dożyją końca.

Wydaje się, że po stronie ukraińskiej nastał czas niepewności wobec tego, co dalej. Po tym, jak nie udała się letnia kontrofensywa, maleją nadzieje na rozstrzygnięcie na froncie (dla jednych w tym roku, dla innych w ogóle), które pozwoliłoby zakończyć wojnę.

Kolejne zdanie u Herberta brzmi: „ale obrona trwa i będzie trwała do końca". Bo czy jest inne wyjście? Nawet jeśli ceną są takie miejsca, jak cmentarz nr 18.

©℗ WOJCIECH PIĘCIAK

z Kramatorska i Charkowa

Pokaż mi swój skan mózgu, a powiem ci, co lubisz jeść

NEURONAUKA ▪ Jeden świński język położono na aluminiowej płytce. Drugi został przyklejony do metalowego cylindra, nad którym umieszczono platformę z ciężarkami. Pomiędzy językami nakładano warstwę koktajlu mlecznego o różnej zawartości cukru i tłuszczu. Zespół Putu Khorisantono z Uniwersytetu w Cambridge używał tej dziwacznej instalacji do sprawdzenia, jak skład napoju wpływa na zjawisko tarcia pomiędzy przesuwającymi się językami.

Badacze zakładali, że napój, który najmocniej łagodzi tarcie, na ludzkim języku pozostawi najsilniejsze wrażenie delikatności i aksamitności. Interesowało ich zaś to, jak te odczucia przetwarzane są przez mózg i jak przekładają się na nasze decyzje żywnościowe.

Do laboratorium zaproszono więc 22 osoby, które miały kosztować tych samych napojów i opisywać wrażenia, jakie one wywołują, a także oceniać, jak bardzo im smakowały (badani podawali cenę, jaką byliby skłonni za dany napój zapłacić). W tym czasie naukowcy rejestrowali aktywność mózgów uczestników eksperymentu, zwłaszcza tzw. kory oczodołowo-czołowej (OFC), będącej jednym z elementów układu nagrody. Okazało się, że wrażenia badanych są zgodne z przewidywaniami eksperymentu z językiem świń, i że znajdują odzwierciedlenie w sile aktywacji OFC (im mocniejsze wrażenie „aksamitności", tym silniejsze aktywacje OFC). Specyficzne wzorce aktywności tej samej struktury pozwalały także przewidzieć, jak bardzo dany napój smakował uczestnikom badania.

Jakiś czas później badani zostali zaproszeni na lunch, podczas którego mogli do woli objadać się kilkoma rodzajami curry. Autorzy eksperymentu i wtedy śledzili ich zachowanie. Okazało się, że osoby, u których wykryto preferencję do tłustego, najbardziej „aksamitnego" koktajlu, najchętniej sięgały także po tłuste wersje potrawy.

©℗ ŁUKASZ KWIATEK

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TP"
co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w Radiu Tok FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań –
www.tokfm.pl

TEMAT TYGODNIKA

POPISOWA KLĘSKA

Nie wiem, czy 15 października skończyła się w Polsce wyniszczająca polityka polaryzacji. Ale wyłapuję najdrobniejsze sygnały jej zmierzchu, bo jestem pewien, że powinniśmy z nią skończyć jak najszybciej.

DARIUSZ KOSIŃSKI

Po wyborczym zwycięstwie współpracujące ze sobą opozycyjne partie podjęły rozmowy o oczekiwanej koalicji, mającej przynieść uzdrowienie sytuacji w kraju. Ku zaskoczeniu wielu, zamiast współpracy zainicjowały wkrótce dramatyczną i spektakularną konfrontację, demonstracyjnie zrywając negocjacje prowadzone przed obiektywami kamer. Zapowiadane współdziałanie na rzecz rozwiązywania problemów ustąpiło rosnącej polaryzacji, demonizacji przeciwnika, coraz bardziej agresywnym atakom, które w końcu doprowadziły do prawdziwej katastrofy.

Po niej już nic nie mogło być jak wcześniej – pozostało tylko pragnienie zemsty i napędzana złymi emocjami strategia jednoczenia swoich przez produkowanie wroga. Jej efektem, dla niektórych paradoksalnym, ale przecież realnym, było zapewnienie wieloletniej władzy dwóm partiom, które zamiast stworzyć koalicję, wybrały wojnę. Abstrahując od realnych ofiar i fatalnych skutków dla życia społecznego, dokonany u początku wybór konfliktu zamiast dialogu przez lata okazywał się skuteczny – raz rządzili jedni, raz drudzy, ale nikt inny poza nimi do władzy nie miał dostępu.

Najtrwalszy niesojusz nowoczesnej Europy

Tak w wielkim skrócie przedstawia się historia najtrwalszego (nie)sojuszu politycznego nowoczesnej Europy – PO-PiS. Tą skrótową i dwuznaczną, a w swej dwuznaczności cudownie precyzyjną nazwą określano oczekiwaną formalną koalicję Platformy Obywatelskiej oraz Prawa i Sprawiedliwości. Koalicja nie powstała, ale nazwa pozostała i opisuje rzeczywiście popisową i spektakularną strategię realizowaną zgodnie przez obie partie, polegającą na stopniowo potęgowanym angażowaniu najpierw siebie, a potem rosnących kręgów kibiców w zaostrzającą się rywalizację między ugrupowaniami, które dzięki tworzeniu coraz to nowych

FILIP NAUMIENKO / REPORTER

Kolejka do lokalu wyborczego, Warszawa, 15 października 2023 r.

serii dramatów i przedstawień na długie lata zdominowały rodzimą scenę polityczną.

Dzieje POPiS powinny być uważnie studiowane i badane pod wieloma kątami, bo na tej drodze zdobyć można bezcenną wręcz wiedzę o widowiskowej i dramatycznej naturze współczesnego życia zbiorowego i siłach nim rządzących. Przyjdzie jeszcze czas, by spokojnie przeanalizować wykorzystane tu mechanizmy, chwyty i scenariuszowe modele, w tym te przejęte z klasycznych melodramatów i współczesnych produkcji widowiskowych – zwłaszcza oper mydlanych i seriali nowej generacji. Trzeba też będzie na serio, bez partyjnej cenzury i osobistych emocji zmierzyć się z tym, o czym już kiedyś w „Tygodniku" pisałem – niesamowitym kwietniowym porankiem 2010 r., gdy popisowa gra została przerwana i przejęta przez tragedię tak prawdziwą, że jej widok był nie do zniesienia i natychmiast został przesłonięty do bólu rozdętymi ceremoniami. Ale teraz przypominam dzieje POPiS-u w wielkim skrócie tylko po to, by zapytać, czy to możliwe, że 15 października skończyła się w Polsce jego władza?

Na tak sformułowane pytanie w pierwszym odruchu i rzucie oka na wyborcze wyniki można by odpowiedzieć prosto – nie, nie skończyła się. Przecież główną siłą zwycięskiej opozycji jest Koalicja Obywatelska, której przedstawiciele wprawdzie coś mówili o uśmiechniętej i „normalnej" Polsce, a nawet Polskę takową prezentowali na obu marszach warszawskich, ale swoją kampanię koniec końców zbudowali na afektach anty-PiS-owskich i chęci odpłacenia formacji rządzącej przez ostatnie 8 lat za jej butę. Zmiana, którą z takim tryumfem ogłosił Donald Tusk, nie polega na odejściu od dotychczasowego duopolu, ale na przejściu do kolejnej fazy zapewniającej mu funkcjonowanie. To, że KO przychodzi po PiS, nie oznacza kresu, ale ciąg dalszy, kolejny sezon.

Tertium datur

Takiej diagnozie, poza coraz silniejszym pragnieniem, by duopol wreszcie władzę stracił, przeciwstawić da się co najmniej kilka zjawisk, które powinny okazać się symptomami ↦

↦ rzeczywistej zmiany, jaka została zainicjowana 15 października. Pierwsze ujawniło się jeszcze przed wyborami, a jego specjalną sceną była tzw. debata wyborcza zorganizowana 9 października przez tzw. telewizję publiczną.

Mówiło się wcześniej, i to mówiło głośno, że dla Donalda Tuska będzie to wyjątkowa okazja, by przeciwstawić się (nie) prawdziwie diabolicznemu wizerunkowi, jaki z iście neurotycznym uporem wytwarzała propagandowa machina PiS. Rafał Trzaskowski np. z przekonaniem twierdził, że okłamywani przez TVP wyborcy mogą przeżyć prawdziwy szok, gdy zamiast makiawelicznego demona, o którym im opowiadano, zobaczą normalnego, wyluzowanego, uśmiechniętego człowieka.

Tymczasem, ku zaskoczeniu wielu Donald Tusk w studio TVP natychmiast wszedł w rolę, jaką dla niego przygotowano, i odgrywał opętanego anty-PiS-owską obsesją mściciela, któremu nie zależy na niczym innym, tylko na poniżeniu i zniszczeniu przeciwnika. Zamiast racjonalnie uzasadnionego odejścia od przepychanek z Mateuszem Morawieckim, bez zahamowań wszedł w rywalizację na złośliwości, personalne ataki i negowanie jakichkolwiek cech pozytywnych przeciwnika. Jednym słowem – podjął dobrze znany POPiS-owy scenariusz. I wypadł w nim tak źle, że tylko kompletny brak charyzmy i fatalny styl występów publicznych Morawieckiego spowodowały, że nie poniósł zupełnej klęski.

Ten spektakl miał tę pozytywną stronę, że ujawnił coś, co mimo wszystko nie biło wcześniej aż tak mocno po oczach – nędzę i groteskową niedojrzałość tego, co przedstawiano jako bój napowietrzny o narodowość naszą. Zamiast Kordianów i Konradów chłopaczki niedorosłe, Syfonik z Miętuskiem wojujący na miny. Symetryczność tych niedojrzałych zachowań już w trakcie debaty wypunktowała celnie Joanna Scheuring-Wielgus, ale to jednak nie jej propozycje i postawa zyskały najwięcej na kontraście z POPiS-owym duetem. Ten działał przede wszystkim na rzecz Szymona Hołowni, który od dawna konsekwentnie przedstawia siebie i swoje ugrupowanie jako alternatywę wobec spektakularnej dwuwładzy agonicznej (nawet nazwa współtworzonej przez Polskę 2050 koalicji – Trzecia Droga – wskazywała na ten właśnie aspekt jako najważniejszy). Także w czasie debaty Hołownia zdecydowanie opowiedział się za zerwaniem ze spektaklem antagonizmów, który wobec tego, co robili jego obecni w studio aktorzy, bez trudu udawało mu się pokazać jako zamknięty w przeszłości i jałowy.

Nie dysponuję badaniami, które mogłyby to potwierdzić, ale wydaje mi się, że przynajmniej w części to sposób, w jaki Hołownia odegrał realną alternatywność swojego ugrupowania w debacie, przyczynił się do zdecydowanego wzrostu notowań Trzeciej Drogi. Warto może przypomnieć, że według sondażu IBRIS przeprowadzonego w dniach 7-9 października (jego wyniki ogłoszono tuż przed debatą), koalicja PSL i Polski 2050 miała w ogóle nie wejść do parlamentu, bo planowało na nią głosować mniej niż 8 proc. wyborców. Taki sondaż mógł być zabójczy, bo potencjalni wyborcy Trzeciej Drogi zaczynali się zastanawiać, czy głos na nią nie jest aby głosem straconym. Wystąpieniem w trakcie debaty, dyskontowanym później przez obu liderów na kolejnych spotkaniach, Hołowni skutecznie udało się odwrócić ten niebezpieczny trend.

Sukces Trzeciej Drogi wydaje się szczególnie ważny w kontekście oczekiwanego końca polityki POPiS-owej, ponieważ widać w nim nie tyle poparcie dla programu obu tworzących ją ugrupowań (niekoniecznie konkretnego i spójnego), ile wybór odmiennej polityki, dla której rywalizacja na pognębienie przeciwnika w ogóle nie jest atrakcyjna, ponieważ oznacza inwestowanie energii w spektakl, a nie w rozwiązywanie problemów. Jeszcze kilka miesięcy, a może nawet tygodni temu ten wybór wcale nie wydawał się atrakcyjny, a unikający radykalizmów i jednoznacznych odpowiedzi liderzy Trzeciej Drogi nużyli i irytowali.

Kusi mnie i raduje przypuszczenie, że dobry wynik tej koalicji to znak, że spora część widzów POPiS-owego serialu aprobuje jego zastąpienie przez nudną i niedramatyczną politykę, która źle wygląda w starych i nowych mediach, ale za to zajmuje się sprawami ludzi, a nie samą sobą.

Ostatni pierwszymi

Inny symptom odejścia od polityki POPiS-owej rywalizacji, jaki chciałbym dostrzec już w konkretnych zachowaniach wyborców, to samodzielne i świadome, a odmienne od wskazań partyjnych wybieranie konkretnych osób z list kandydatów. Celowały w tym zwłaszcza osoby głosujące na Lewicę, co zaowocowało tak spektakularnymi wywróceniami list jak tryumf ostatniego na liście w Sosnowcu Łukasza Litewki nad pierwszym Włodzimierzem Czarzastym (który mimo to też zdobył mandat) czy wygrana Darii Gosek-Popiołek nad Maciejem Gdulą w Krakowie (tu przegrany już mandat stracił).

Oczywiście interpretacja tych i podobnych wydarzeń może być w tej chwili jedynie hipotetyczna, ale widzę w nich sygnał ważnej zmiany zachodzącej wśród osób wchodzących w życie polityczne, przede wszystkim młodej, zaangażowanej inteligencji miejskiej, która wyraźnie woli aktywistki i aktywistów podejmujących konkretne działania w konkretnych sprawach niż intensywnie obecnych medialnie zawodowych polityków, nauczonych mówić odpowiednio sformatowane ogólniki. Wiecowe hasła i czerwone swetry Włodzimierza Czarzastego przegrały z konkretem apelu o adopcję psów ze schroniska, do czego wykorzystywał swoje plakaty wyborcze Litewka.

Ten zwrot wyborców Lewicy ku głosowaniu opartemu na rozpoznaniu konkretnych działań kandydatek i kandydatów można zobaczyć jako kontrastujący z decyzjami wyborców POPiS. Wielotysięczne poparcie elektoratu świętokrzyskiego dla takich medialnych spadochroniarzy, jakimi w ich okręgu byli Jarosław Kaczyński i Roman Giertych, wskazuje na zupełne oślepienie dramatyzacjami spektakularnymi, czemu zdaje się towarzyszyć brak wiary w realną reprezentatywność wybranych przedstawicieli regionu.

Nikt rozsądny nie uwierzy, że prezes PiS i były lider LPR będą w parlamencie troszczyć się o sprawy bliskie ich świętokrzyskim wyborcom. Tym to jednak najwyraźniej nie przeszkadza, a możliwe, że wręcz odczuli jako nobilitację fakt, że także i oni mogli włączyć się w fabułę jednego z odcinków telenoweli.

Jeszcze wyraźniejszy przykład znaleźć można było w okręgu nowosądeckim, gdzie pierwsze miejsce na liście PiS zajął Ryszard Terlecki, niemający nic z regionem wspólnego i – uczciwie trzeba przyznać – nawet nie udający takiego związku (w czasie kampanii był właściwie nieobecny). Wprawdzie zdobył mniej głosów niż zajmujący drugie miejsce, a pochodzący z Nowego Sącza Arkadiusz Mularczyk, ale do Sejmu wszedł, m.in. kosztem bardzo intensywnie i całkiem skutecznie działającej na rzecz lokalnych spraw posłanki poprzedniej kadencji, Anny Paluch. Oczywiście można snuć dywagacje, że za tymi decyzjami stały inne, trudniej uchwytne motywacje, niemniej wektor decyzji wyborców PiS wydaje się przeciwny wektorowi decyzji wyborców Lewicy.

W sukcesie Trzeciej Drogi widać nie tyle poparcie dla tworzących ją ugrupowań, ile wybór odmiennej polityki, dla której rywalizacja na pognębienie przeciwnika nie jest już atrakcyjna.

Rzecz drobna, ale chyba ważna, bo to ci ostatni mogą za chwilę zacząć nadawać ton polityce nie świątecznej (powtarzano do znudzenia: wybory to święto demokracji), ale codziennej, dotyczącej konkretnych decyzji organizujących lub zakłócających życie powszednie.

Zgodnie z konwencją gatunkową POPiS-owego widowiska wyborcy zaangażowani w rywalizację największych partii wskazują na bohaterów znanych z walk i aktywności medialnych. Nie ulega też wątpliwości, że to oni w dużej mierze zadecydowali o dobrym wyniku Koalicji Obywatelskiej, a więc i o zwycięstwie opozycji. Ale jeśli przyznać, że do zwycięstwa tego walnie przyczynili się też wyborcy Trzeciej Drogi i Lewicy, to można chyba mieć nadzieję, że razem z nimi pojawiają się w polskim życiu politycznym wartości inne niż „świąteczne".

Co tu zagrać, z jakiej roli?

Trzeci zestaw symptomów rodzących i umacniających nadzieję na koniec POPiS-owej władzy wiąże się już nie z samymi wyborami, ale z powyborczą koniecznością, przed jaką stanęło Prawo i Sprawiedliwość. Aktorzy tej partii po wyborach uśmiechają się i dzielnie zaklinają rzeczywistość, opowiadając, że wygrali i teraz będą tworzyć rząd. Niektórzy mówią nawet, że są gotowi rozmawiać z każdym (z infamisem Tuskiem też?), ale prawda jest taka, że PiS po 15 października znalazł się w pułapce, którą sam przez 8 lat z uporem godnym lepszej sprawy budował.

Partia, która kiedyś (przy wszystkich wadach i dziwactwach) wydawała się w swoim rdzeniu całkiem racjonalną wersją centroprawicy o nachyleniu chadeckim, po objęciu władzy w 2015 r. szybko straciła polityczny instynkt samozachowawczy, który mógł jej zagwarantować lata spokojnych i owocnych rządów. Wszak połączenie przymilnego konserwatyzmu symbolicznego i aksjologicznego z programami socjalnymi mogło dać PiS-owi stabilną większość i naprawdę długoletnie masowe poparcie, gdyby jej politycy zrezygnowali z nieustannej walki z wszystkimi i z butnego powtarzania, że nikt poza nimi samymi nie tylko nie ma racji, ale wręcz prawa do akceptowanego realizowania własnych celów.

Lista osób niesprawiedliwie pozbawionych możliwości działania, poniżonych, pomówionych, przedstawianych jako kłamcy, zdrajcy, renegaci i oszuści rosła z każdym tygodniem, sprawiając, że poza wąskim kręgiem „swoich" rozciągały się rosnące obozy wroga.

Generowanie sytuacji permanentnego zagrożenia i oblężenia stanowiło istotną część POPiS-owego dramatu. To dzięki niemu Zjednoczona Prawica, dysponująca od ośmiu lat pełnią władzy, zdołała podtrzymać mobilizację swoich zwolenników oraz zachować ton mesjanistycznej obietnicy, że szczęśliwe czasy nadejdą, gdy tylko wszyscy wrogowie zostaną wyeliminowani. Strategia ta także 15 października okazała się w jakiejś mierze skuteczna, bo koniec końców PiS otrzymał w wyborach najwięcej głosów. Ale też tego samego dnia jej miecz okazał się obosieczny: najwięcej nie znaczy dość, a brak większości sprawia, że dla utrzymania władzy PiS musi spróbować podjąć rozmowy z tymi, którymi otwarcie gardził i których kazał nienawidzić. Oznacza to, że nie tylko musi dać im satysfakcję, przymilając się i oferując znaczne profity, ale przede wszystkim musi sam zmienić podstawowe linie narracji i zaprezentować odmienną wersję polityki niż tę, którą umacniał przez ostatnie lata.

Przeciwnikom PiS-u oglądanie, jak uosabiający wiarę w partyjny monopol na nieomylność Przemysław Czarnek nagle opowiada o wartościach PSL, dać może złośliwą satysfakcję, ale zwolennicy lubelskiego boksera naprawdę mogą poczuć się skonfundowani. To przecież tak, jakby nagle Wołodyjowski zaczął wychwalać wojskowe talenty tatarskich dowódców...

Przy wsparciu prezydenta Dudy PiS może grać na czas i maksymalnie opóźniać powołanie rządu innego niż jego własny, ale jakkolwiek by tego nie robił, będzie odchodził od konwencji wysokiego dramatu, którego iluzję tworzył POPiS. Wymuszone przez brak większości spuszczenie z tonu oznacza wyjście poza rozbudowywane przez lata *emploi* jedynych sprawiedliwych, niezłomnych i skutecznych, konieczność zaś wypraszania kompromisu jawnie osłabiać będzie fałszywe wszak przekonanie, że tylko w nieustannym boju i poprzez zniszczenie przeciwnika dojść można ku świetlanej przyszłości. Jeśli zabiegi o jakąkolwiek koalicję z udziałem PiS zakończą się spodziewaną klęską, może ona być bezcenną lekcją na przyszłość dla wszystkich, którzy dali się wciągnąć w POPiS-owe boje i uwierzyli, że są one jedyną możliwą formą zaangażowania w życie zbiorowości, a może nawet samym tym życiem.

Bo życie – co wszyscy chodzący po ziemi i szlifujący w codziennym trudzie polskie bruki dobrze wiemy – jest gdzie indziej.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Przymierze tęczy

Co mówią religijni Żydzi, zauważywszy na niebie łuk, powstały z rozszczepienia światła słonecznego w kroplach wody? „Błogosławiony jesteś Panie, nasz Boże, Królu Wszechświata, pamiętający o przymierzu, wierny swemu przymierzu i dotrzymujący obietnicy". Tęcza jest po potopie znakiem, że Najwyższy nigdy więcej poprzez wodę nie zgładzi ziemskich istnień. Jak napisano: „I będzie łuk w obłokach, i spojrzę nań, abym wspomniał na przymierze wieczne między Bogiem a każdem jestestwem żyjącém w wszelkiém ciele, które jest na ziemi" (Rdz 9, 16; Cylkow).

W dziesiątym pokoleniu po Noem na świat przychodzi Abram, pierwszy Hebrajczyk. Osiem rozdziałów po przymierzu tęczy Najwyższy zawiera z nim przymierze, zmieniając jego imię na Abraham. Patriarcha ma obrzezać siebie i mężczyzn należących do jego domostwa. Wprawdzie znak tego przymierza będzie się odtąd stale pojawiał na ciele Abrahamowych potomków, lecz związana z nim obietnica spełni się już za rok: na świecie pojawi się długo wyczekiwany syn i dziedzic – Izaak. Długoterminowe proroctwa dotyczące przyszłego ludu Izraela znajdujemy natomiast dwa rozdziały wcześniej, w treści przymierza zawartego również między Bogiem a pierwszym z Patriarchów.

Spójrzmy na kontekst: Abraham właśnie uwolnił swego bratanka Lota, który – jako mieszkaniec Sodomy – znalazł się w niewoli króla Kedorlaomera. Przeciw temu władcy zbuntowało się pięciu jego lenników, wyruszył on więc ku dolinie Sodomy z trzema sprzymierzeńcami, by przywrócić tam narzucony przezeń ład. Abraham niewielkimi siłami pokonał czterech aliantów, uwolnił wziętych przez nich jeńców i zwrócił zagrabione przez czterech królów mienie. Najwyraźniej nie był w najlepszym stanie ducha, skoro „[p]o wypadkach tych, doszło słowo Wiekuistego do Abrama w widzeniu, mówiąc: »Nie obawiaj się Abramie, Ja tarczą tobie; nagroda twoja wielką bardzo!«" (15, 1). Patriarsze mogła spędzać sen z oczu niepewność tycząca przyszłości: kto będzie jego dziedzicem i czy na pewno obiecywana mu ziemia stanie się własnością jego rodu. Słyszał już wcześniej ileś razy: „Potomstwu twojemu oddam ziemię tę" (12, 7; zob. też 13, 14-15).

Najwyższy rozwiewa wątpliwości Abrahama, wpierw pokazując mu rozgwieżdżone niebo – tak liczni będą kiedyś jego potomkowie. Zostaną oni uciemiężeni w obcym kraju, a po 400 latach – wybawieni, i wówczas wrócą do ziemi, która będzie ich wiecznym dziedzictwem. Następnie Patriarcha rozcina na pół zwierzęta ofiarne, pomiędzy którymi przechodzi ogień – widomy znak Bożej obecności. Po hebrajsku zawieranie przymierza to dosłownie „ucinanie" go. W obliczu tego pozbawianie napletka to dosłowny symbol przymierza. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
A co z dziećmi?

Nie wiem, czy do zbawienie jest konieczna wiedza o wewnętrznym życiu Trójcy Świętej, czy też na czym polega transsubstancjacja? Fachowcom od teologii pewnie tak, skoro z tego żyjemy, innym niekoniecznie, jako że był czas, kiedy Kościół obywał się bez tej wiedzy, a należy przypuszczać, że w przyszłości też nie będzie ona konieczna. Podobnie ma się rzecz ze rozumieniem nierozerwalności małżeństwa. Twierdzimy, że aby małżonkowie mogli się rozejść, trzeba udowodnić, że ich małżeństwo było od początku nieważnie zawarte. Pięknie, ale małżeństwo to nie tylko sprawa kobiety i mężczyzny, ale również, a może przede wszystkim, ich dzieci. Przy takim ujęciu małżeństwa widać, że coś tu jest nie w porządku. Uprzytomnił mi to *casus* kobiety, która nie chce wnieść do sądu biskupiego prośby o stwierdzenie nieważności małżeństwa ze względu na dzieci. Mówi: A co ja im powiem, kiedy zapytają o ojca? Że kim jest dla nich, a one dla niego? Mam im powiedzieć, że są dziećmi nieślubnymi? Przecież nie, jaka ta nasza miłość z moim byłym była, taka była, ale one się z niej narodziły. Owszem, mąż nie był aniołem i ja też, na początku przez parę lat było nawet dobrze, nie chcę, nie mam prawa i z czysto psychologicznych, wychowawczych względów, nie chcę męża demonizować.

Jak widać prawo prawem, ale życie życiem i to ono weryfikuje wszelkie nasze pomysły na to, jak to życie, również w religijnym wydaniu, ma wyglądać. Dla wspomnianej matki prawem jest serce, cała jej jaźń, dusza – słowem sumienie. Warto pod tym kątem popatrzeć na sprawę przystępowania do Stołu Pańskiego katolików żyjących bez ślubu kościelnego. W ferworze walki o prawdziwość przeistoczenia chleba w Ciało, a wina w Krew Jezusa zapomnieliśmy, że słowa wypowiadane nad darami to nie tylko formuła konsekracyjna, ale przede wszystkim zaproszenie: Wszyscy bierzcie, jedzie i pijcie. Wszyscy.

Msza to nie seryjna produkcja Jezusów po jednym do prywatnego użytku każdego przystępującego do Stołu Pańskiego. Zanim więc zaczniemy się głowić nad tajemnicą konsekracji, transsubstancjacji, itd., warto pamiętać, co jeszcze Jezus powiedział: „A oto Ja jestem z wami przez wszystkie dni, aż do końca świata". „Ja jestem chlebem żywym, który zstąpił z nieba". I wreszcie: „Będziesz miłował Pana, swego Boga, całym swoim sercem, całą swoją duszą i całym swoim umysłem. To jest największe i pierwsze przykazanie. Drugie jest podobne do niego: Będziesz miłował swego bliźniego jak siebie samego. Na tych dwóch przykazaniach opiera się całe Prawo i Prorocy". Pierwszego Przymierza, ale też Prorocy i Prawo Kościoła dotyczące małżeństwa również. ©

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Prawdziwe pytania

Rzeczy powstają dzięki działaniu i umiejętnościom. Dzieci powstają w spoczynku.

EWANGELIA FILIPA

Kiedy ci trudno, wróć do siebie.

THICH NHAT HANH

Dziewiętnasty październik, godz. 19.15. Na całkowicie pustym placu św. Piotra, w jego północnej części przy rzeźbie (umieszczonej tu w 2019 r.) przedstawiającej barkę wypełnioną migrantami (z Maryją, Jezusem i Józefem włącznie) miała miejsce półgodzinna modlitwa Franciszka z członkami Synodu Biskupów (350 osób). Jej kanwę stanowiła ewangeliczna przypowieść o miłosiernym Samarytaninie, która – stwierdził papież – wydarza się na naszych oczach. „Droga prowadząca z Jerozolimy do Jerycha nie była drogą bezpieczną" – dokładnie tak samo jak tysiące dróg, którymi dzisiaj uchodźcy usiłują przedostać się do Europy. Tak jak człowiek z przypowieści, wpadają oni w ręce zbójców. Zwiedzeni i oszukani przez bezwzględnych wyzyskiwaczy i manipulantów, są sprzedawani, porywani, więzieni, wykorzystywani, torturowani i gwałceni. Wielu umiera, nie osiągnąwszy wymarzonego celu.

Trudno jest o tym nie słyszeć, trudno nie widzieć. Ewangeliczni kapłan i lewita też widzieli. Jeden i drugi, kiedy „przyszedł na to miejsce, zobaczył go i minął" (Łk 10, 31 i 32). Możemy i my, „zobaczyć i minąć". Możemy także – choć nie ma tego w przypowieści – przeprowadzić burzliwą dyskusję nad niegodziwością tych, którzy wykorzystują dramat migrantów. Którzy budują prawdziwie przestępcze struktury, by robić interes kosztem ludzkich praw, z prawem do życia i do życia w wybranym przez siebie miejscu na ziemi włącznie.

Czy można się jakoś przeciwstawić tej zbrodni? Ograniczyć jej rozmiary i straszliwe konsekwencje? – pytał Franciszek. I odpowiadał: Tak, można! Trzeba zorganizować regularne i legalne kanały migracji! Wyrwać cały proces migracji z rąk przestępców i zorganizować go we właściwy i godziwy sposób, ratujący ludzkie życie i godność.

Myślę o tym, dlaczego (poza KAI) wszystkie wielkie, znaczące, kreujące wrażliwość polskie media (z katolickimi włącznie) nie zauważyły tej papieskiej modlitwy na placu św. Piotra. Czy nie dlatego, że uciekamy od tamtego widoku („zobaczył go i minął..."); uciekamy od prawdziwego pytania – nie: czy jesteś za „przymusowym" przyjęciem migrantów? (to jasne, że nikt nie jest), ale: czy jesteś za zorganizowaniem legalnych, opartych na współpracy Kościoła, innych instytucji i odpowiednich służb państwowych, sposobów i dróg dotarcia uchodźców i migrantów do naszego kraju? I dalej – konsekwentnie – czy jesteś za tym, by nie tylko ich „przyjąć", ale także: „chronić, promować i integrować"? (te cztery słowa stanowią nieustanny refren papieskiego nauczania na temat uchodźców).

Plac św. Piotra był przeraźliwie pusty; Franciszek przemawiał z prawdziwą determinacją, ale cicho i spokojnie. Można było nie usłyszeć... ©

CZYTANIA LITURGICZNE (29 X – 12 XI)

30. niedziela zwykła: Wj 22, 20-26; Ps 18; 1 Tes 1, 5c-10; Mt 22, 34-40;
Poniedziałek: Rz 8, 12-17; Ps 68; Łk 13, 10-17;
Wtorek: Rz 8, 18-25; Ps 126; Łk 13, 18-21;
Środa, uroczystość Wszystkich Świętych: Ap 7, 2-4. 9-14; Ps 24; 1 J 3, 1-3; Mt 5, 1-12a;
Czwartek: Hi 19, 1. 23-27a; Ps 27; 1 Kor 15, 20-24a. 25-28; Łk 23, 44-46. 50. 52-53; 24, 1-6a;
Piątek: Rz 9, 1-5; Ps 147B; Łk 14, 1-6;
Sobota: Rz 11, 1-2a. 11-12. 25-29; Ps 94; Łk 14, 1. 7-11;

31. niedziela zwykła: Ml 1, 14b – 2, 2b. 8-10; Ps 131; 1 Tes 2, 7b-9. 13; Mt 23, 1-12;
Poniedziałek: Rz 11, 29-36; Ps 69; Łk 14, 12-14;
Wtorek: Rz 12, 5-16a; Ps 131; Łk 14, 15-24;
Środa: Rz 13, 8-10; Ps 112; Łk 14, 25-33;
Czwartek: Ez 47, 1-2. 8-9. 12; Ps 46; 1 Kor 3, 9b-11. 16-17; J 2, 13-22;
Piątek: Rz 15, 14-21; Ps 98; Łk 16, 1-8;
Sobota: Rz 16, 3-9. 16. 22-27; Ps 145; Łk 16, 9-15;
32. niedziela zwykła: Mdr 6, 12-16; Ps 63; 1 Tes 4, 13-18; Mt 25, 1-13.

Wybrał PIOTR SIKORA

ANDRZEJ DUDA, JEDYNA NIEWIADOMA

Objęcie rządów przez opozycję wydaje się przesądzone, ale natrafi ona jeszcze na wiele barier. Dla nowego gabinetu kluczowe będzie to, czy uda się nie pójść na wojnę z prezydentem.

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Wiele wskazuje, że w pierwszej kolejności prezydent powierzy misję kandydatowi wskazanemu przez PiS, zapewne dotychczasowemu premierowi Mateuszowi Morawieckiemu. Sugerowała to już prezydencka minister Małgorzata Paprocka. Taki ruch będzie oznaczać, że przy wykorzystaniu wszystkich możliwych terminów około połowy grudnia nowy rząd nie otrzyma wotum zaufania i dopiero wówczas będzie mógł powstać gabinet trzech zwycięskich ugrupowań opozycyjnych. Będzie to rząd utworzony wolą parlamentu, zgodnie z tzw. drugim krokiem konstytucyjnym.

Co prawda politycy PiS od wieczoru wyborczego twierdzą, że są w stanie zawrzeć koalicję rządową z PSL oraz ucieki nierami z KO, Lewicy i Konfederacji, a nieoficjalnie sugerują nawet, że byliby w stanie oddać fotel premiera Władysławowi Kosiniakowi-Kamyszowi – jednak sami ludowcy kategorycznie się od takiego scenariusza odżegnują, i to czasem w niezbyt parlamentarnych słowach.

ANDRZEJ IWAŃCZUK / REPORTER

Ogłoszenie Paktu Senackiego przez liderów opozycji. Warszawa, 17 sierpnia 2023 r.

Tym niemniej PiS, zagrożony utratą stanowisk w urzędach centralnych, spółkach Skarbu Państwa i licznych agencjach, a także postępowaniami karnymi za tworzenie niekonstytucyjnego prawa i wykorzystywanie publicznych pieniędzy do celów partyjnych – zrobi przez najbliższe dwa miesiące wszystko, żeby powstanie rządu Koalicji Obywatelskiej, Trzeciej Drogi i Lewicy uniemożliwić. W Ministerstwie Sprawiedliwości trwa więc pośpieszne szukanie haków na posłów opozycji, by móc ich użyć w „negocjacjach". Na razie nie przyniosło ono rezultatów. – Pan premier Morawiecki będzie miał misję tworzenia nowego rządu i będzie rozmawiał z wszystkimi, którzy będą chcieli rozmawiać – mówił w ostatni czwartek wybrany znów na posła PiS Zbigniew Kuźmiuk, dawny polityk PSL. Znaczący jest zwrot „z wszystkimi". W ustach polityka partii zarzucającej przed wyborami całemu blokowi senackiemu zdradę interesów narodowych brzmi to dość żenująco.

Pamiętamy, co mówiliście

Ugrupowanie Jarosława Kaczyńskiego jest samo sobie winne, że traktuje się je jak trędowate. Cała filozofia PiS przez osiem lat polegała na maksymalnej konfrontacji na wielu polach oraz upokarzaniu konkurencji przy każdej możliwej okazji. Politycy hołubionego dziś PSL przypominają bezwzględną walkę z jego działaczami na wsi, odbieranie ich posłom głosu przez marszałków z PiS oraz inne szykany, np. odmawianie im osobnego pomieszczenia w gmachu Sejmu.

– PiS nie ma dziś żadnej zdolności koalicyjnej, i to jest najlepsze podsumowanie rządów tej partii – uważa polityk Trzeciej Drogi Paweł Zalewski, niegdyś zresztą zarówno w PiS, jak i w PO.

Liderzy opozycji deklarują, że na zapowiedziane przez otoczenie prezydenta konsultacje każdy z nich pójdzie z identycznym przekazem – chcemy wspólnego rządu. Mają nawet już kandydata na premiera, wskazanego w ostatni czwartek przez zarząd Platformy Obywatelskiej i akceptowanego przez resztę opozycji, mimo początkowych wahań Trzeciej Drogi. – Demokratyczna opozycja zwyciężyła, jest gotowa do pracy, chcielibyśmy się za nią zabrać, zamiast odwlekać do grudnia czy nawet stycznia. Kandydat na premiera jest jeden, to Donald Tusk – mówi stanowczo posłanka KO Monika Wielichowska.

Tym niemniej wiara w to, że konsultacje w Pałacu Prezydenckim będą miały pozytywny efekt, jest umiarkowana. – Traktuję zapowiedź konsultacji tak, że prezydent będzie chciał przekonywać niektóre partie, by odstąpiły od opozycyjnej większości i poszły razem z PiS. Nie poddamy się tym sztuczkom – zapewnia dotychczasowy szef klubu Lewicy Krzysztof Gawkowski.

Otoczenie prezydenta powołuje się na zasadę, wedle której głowa państwa zwyczajowo powierza misję tworzenia rządu zwycięskiemu ugrupowaniu. A tym, choć tylko matematycznie, jest PiS. Tyle że w przeszłości prezydenci nie zawsze stosowali się do tej zasady. Po pierwszych w pełni demokratycznych wyborach w 1991 r. prezydent Lech Wałęsa powierzył jako pierwszemu misję tworzenia rządu kandydatowi zwycięskiej Unii Demokratycznej Bronisławowi Geremkowi. Sytuacja była podobna do obecnej, bo UD wygrała tylko pozornie; nie dysponowała większością, a misja Geremka zakończyła się fiaskiem. Dwa lata później, po przedterminowych wyborach w 1993 r., Wałęsa powierzył tworzenie rządu liderowi PSL Waldemarowi Pawlakowi, choć wybory wygrał SLD. Ale to właśnie Pawlak był wspólnym kandydatem koalicji SLD-PSL i Wałęsa, mimo pewnych oporów, uszanował to.

Political fiction?

W sejmowych kuluarach krążą pogłoski, że Andrzej Duda może posunąć się jeszcze dalej, by zostawić PiS przy władzy. Wykorzystać np. nieznany nam dziś jeszcze kruczek prawny, by nie zaprzysiąc parlamentarnego rządu opozycji w terminie 14 dni. Wtedy mógłby po raz kolejny przejąć inicjatywę i umożliwić powołanie rządu zwykłą większością, zgodnie z tzw. trzecim krokiem konstytucyjnym – choć dziś zupełnie nie wiadomo, ↦

↦ jak taki rząd mógłby zyskać większość parlamentu.

Jeszcze innym ruchem mającym prowadzić do zakwestionowania wyniku wyborów mogłoby być rozwiązanie parlamentu przez prezydenta, jeśli Sejm nie uchwali budżetu do końca stycznia. Jednak większość polityków traktuje te scenariusze w kategoriach *political fiction*. – Proszę bardzo, niech prezydent rozwiązuje Sejm, wtedy w powtórzonych wyborach opozycja będzie miała 307 mandatów – przewiduje Szymon Hołownia.

Zdecydowana większość polityków opozycji sądzi, że po burzliwych kilku tygodniach najpóźniej w połowie grudnia uda się sformować wspólny rząd. – Czekaliśmy osiem lat, to poczekamy i osiem tygodni – powtarzają.

PiS może dzięki ruchowi prezydenta uzyskać trochę więcej dni na sprzątanie ministerialnych szaf i niszczenie kompromitujących dokumentów, o ile oczywiście pojawiające się w tej sprawie doniesienia są w ogóle prawdą. Jak zapewnia lider Lewicy Włodzimierz Czarzasty, „nie ma takiej szuflady ze schowanymi świństwami, której by nie można otworzyć".

W ogłoszonych na wrześniowej konwencji KO „stu konkretach na sto dni" znalazł się postulat postawienia Andrzeja Dudy przed Trybunałem Stanu. Podtrzymywanie go obecnie będzie dla prezydenta dobrym powodem, by utrzymać stan „zimnej wojny" z obozem Tuska.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Msza święta za zmarłych Redaktorów, Pracowników i Przyjaciół „Tygodnika Powszechnego" oraz ich bliskich

zostanie odprawiona przez księdza Adama Bonieckiego w **poniedziałek, 6 listopada 2023 r., godz. 17.00** w bazylice św. Floriana (ul. Warszawska 1b, Kraków).

Zachęcamy do wspólnej modlitwy

Zarazem trudno sobie wyobrazić, że blok senacki wykonuje wobec niego jakiś pojednawczy gest. Elektorat mógłby takiej „realpolitik" nie zaakceptować.

Niemniej nawiązanie chociaż próby takiej współpracy świadczyłoby o dojrzałości politycznej. KO, Trzecia Droga i Lewica zdają sobie sprawę, że nawet jeśli zdołałyby w kluczowych głosowaniach dokooptować Konfederację, wciąż nie dysponują większością niezbędną do odrzucania prezydenckiego weta. Do 276 głosów wciąż brakuje aż dziesięciu.

Tymczasem większość planów reformatorskich wiąże się z uchwaleniem przepisów, do których tak czy inaczej będzie musiał ustosunkować się Duda. Trudno dziś oczekiwać, że podpisze np. ustawy naruszające obecny układ w mediach publicznych czy w wymiarze sprawiedliwości. Na ostatniej prostej Sejmu IX kadencji PiS przeforsował ustawę umacniającą bardzo prokuratora krajowego i czyniącą go nieodwołalnym bez zgody prezydenta. Niełatwe będzie też powołanie polskich reprezentantów w Unii Europejskiej; po ostatnich zmianach prawnych każdy kandydat wymaga akceptacji Dudy.

Projekty w szufladach

Politycy opozycji są przekonani, że nawet argument, iż zmiany w wymiarze sprawiedliwości mają służyć odblokowaniu środków z Krajowego Planu Odbudowy, nie przekonają prezydenta – to on przecież skierował do skłóconego Trybunału Konstytucyjnego ustawę wynegocjowaną przez rząd Morawieckiego z Komisją Europejską, powierzającą sprawy dyscyplinarne sędziów Naczelnemu Sądowi Administracyjnemu. – Niestety, pan prezydent jest niezwykle skoncentrowany na swoich kompetencjach związanych z wymiarem sprawiedliwości. Z nim można rozmawiać o wielu rzeczach, ale o tej rozmawia się bardzo trudno – przyznaje Szymon Hołownia. Znamienne jest, że w dniu, w którym Państwowa Komisja Wyborcza ogłaszała oficjalne wyniki wyborów, prezydent wręczył nominację kolejnej partii sędziów powołanych przez niekonstytucyjną neo-KRS.

Właśnie ze względu na spodziewaną postawę prezydenta Tusk już zapowiedział swoją wizytę w przyszłym tygodniu w Brukseli, podczas której będzie przekonywał do odblokowania środków z KPO jeszcze przed zmianami prawnymi. Jest na to szansa, gdyż Unia bywa w takich kwestiach – jeśli tylko chce – elastyczna, a radość z wyniku wyborów w Polsce sugeruje, że nie będzie rzucać nowej ekipie kłód pod nogi. Raczej jej pomoże.

Tak czy inaczej, opozycja ma już w szufladach pięć projektów ustaw przygotowanych przez środowiska prawnicze (Lex Super Omnia, Iustitia) oraz Fundację Batorego: o Trybunale Konstytucyjnym, prokuraturze, Sądzie Najwyższym, a także nowe prawo o ustroju sądów powszechnych, którego ideą jest to, by skończyć z nadzorem administracyjnym ministra i przywrócić samorząd. Jest też ustawa o KRS, której skład wybieraliby sędziowie.

Sędzia Piotr Gąciarek z Iustitii uważa, że konsekwencją tego wszystkiego muszą być ponowne konkursy na stanowiska obsadzone przez neosędziów, a oni sami powinni wrócić na poprzednie stanowiska. – Neosędziowie, którzy się niczym nie splamili, będą mogli ponownie ubiegać się o te stanowiska, ale muszą zostać powołani przez legalną KRS – przekonuje.

Ustawa o KRS, zgodnie z zapowiedziami liderów KO, ma być przyjmowana na pierwszym posiedzeniu Sejmu, właśnie z uwagi na KPO. Ma to być swego rodzaju szantaż moralny wobec prezydenta, który korzystając z prawa weta, stałby się osobą odpowiedzialną za brak dziesiątek miliardów euro.

Zwieńczeniem programu opozycji dotyczącego wymiaru sprawiedliwości jest oczywiście rozdzielenie funkcji prokuratora generalnego i ministra sprawiedliwości. – Liczę, że uda nam się przekonać pana prezydenta, żeby to zrobić – mówi poseł Trzeciej Drogi Marek Biernacki, niegdyś minister sprawiedliwości.

Z Pałacu Prezydenckiego nie płyną jednak żadne sygnały pozwalające opozycji mieć nadzieję w tej sprawie.

Czas rozliczeń

Drugim priorytetem są zmiany w mediach publicznych. Przez cały okres rządów PiS stanowiły one instrument sprawowania władzy i wsławiły się agresywną propagandą oraz szczuciem na opozycję, co sprawiło, że wybory 15 października nie były równe.

Kłopot w tym, że według stanu prawnego obowiązującego od 2016 r. wyboru władz TVP, Polskiego Radia i Polskiej

Agencji Prasowej dokonuje Rada Mediów Narodowych. Kadencja jej obecnych członków kończy się dopiero w 2028 r., a większość w niej mają aktywni politycy PiS. Można założyć z góry, że jakakolwiek próba skrócenia kadencji RMN napotka sprzeciw prezydenta. Stąd w kręgach opozycyjnych pojawiają się pomysły, jak go „obejść". Na razie liderzy opozycji trzymają je w tajemnicy, ale można podejrzewać, że jedną z opcji jest postawienie spółek, którymi są TVP, Polskie Radio i PAP, w stan likwidacji przez ministra sprawującego w imieniu Skarbu Państwa nadzór właścicielski. Powołani przez niego likwidatorzy dokonaliby odpowiednich czystek personalnych. Jednak w tej sprawie nie ma zgody całej opozycji. – Chorego się nie zabija, chorego się leczy – mówił niedawno Włodzimierz Czarzasty, przed laty sekretarz Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji.

Kolejny oczywisty segment, w którym po wyborach nastąpią czystki, to wszystkie służby mundurowe. Tu również nie będzie jednak łatwo, choćby w dowództwie armii i CBA, gdzie funkcje szefów są kadencyjne. – Wszyscy jednak pamiętamy, co się stało, gdy w 2007 r. Donald Tusk zostawił na czele CBA Mariusza Kamińskiego z uwagi na trwającą kadencję – przypomina Marek Biernacki.

Tu pojawia się pytanie, na ile nowy rząd, paraliżowany obstrukcją prezydenta wobec ustaw, może posunąć się do działań na granicy prawa. Stosując takie metody wchodziłby przecież w buty PiS, który nie wahał się omijać procedur i niszczyć instytucji dla doraźnych celów.

Pod tym względem najmniej kontrowersji będą zapewne wzbudzać zmiany w gospodarce, choć również tu sytuacja jest trudna. Opozycja przede wszystkim musi dokonać „bilansu otwarcia", którym wykaże, jaki jest rzeczywisty stan finansów publicznych. To niełatwe w sytuacji nieustannego wyciągania przez PiS wydatków poza budżet.

Izabela Leszczyna z KO zapowiada, że pierwszym ruchem powinna być ocena budżetu, który być może trzeba będzie nowelizować. – Nie wydaje się, by dochody z VAT i PIT mogły zostać zrealizowane – sądzi posłanka. – Bierzemy odpowiedzialność za Polskę w momencie, gdy wzrost gospodarczy jest mniej więcej zerowy, dług publiczny ma ponad 2 biliony złotych, a deficyt stał się zdecydowanie za wysoki jak na normy unijne. Zostawiają nas z dziurą Morawieckiego.

> Nie wiadomo, na ile nowy rząd, paraliżowany obstrukcją prezydenta, może posunąć się do działań na granicy prawa. **Stosując takie metody, wchodziłby w buty PiS.**

Na opozycyjnych sztandarach jest też generalne rozliczenie rządów PiS. Trzecia Droga ma nawet pomysł powołania w Sejmie nadzwyczajnej komisji „prawa i sprawiedliwości", ale Hołownia zapewnia, że przy rozliczeniach zwycięzcami wyborów nie będzie kierowała żądza zemsty.

Tarcia w koalicji

W sprawnym przejęciu władzy może jeszcze przeszkodzić jeden element: spory między koalicjantami. O ile tych wokół premiera raczej nie będzie i stanie się nim Donald Tusk, o tyle mogą się one pojawić przy podziale innych ważnych stanowisk, czyli marszałka Sejmu i Senatu. Według wstępnych przymiarek logiczny podział zakłada rozdysponowanie ich między trzy ugrupowania. Skoro KO bierze premiera, to Trzecia Droga marszałka Sejmu, a Lewica marszałka Senatu. Fotelem w Sejmie jest osobiście zainteresowany Hołownia, bo to idealne miejsce do budowania wizerunku przed wyborami prezydenckimi za dwa lata, bez zbytniego obciążenia minusami wiecznie poddawanej ocenom władzy wykonawczej. Problem w tym, że to stanowisko wymaga doświadczenia, którego Hołownia nie posiada.

Jednak KO również chce marszałka Sejmu mieć dla siebie, gdyż to kluczowe stanowisko w zarządzaniu procesem ustawodawczym. Najpoważniejszym kandydatem Koalicji jest dotychczasowy szef klubu Borys Budka, który w 2021 r. ustąpił Tuskowi fotel przewodniczącego PO. Stanowisko marszałka Senatu KO byłaby w tej sytuacji skłonna oddać Trzeciej Drodze, np. byłemu premierowi Waldemarowi Pawlakowi, choć ma też swojego kandydata: Małgorzatę Kidawę-Błońską (w miejsce Tomasza Grodzkiego).

Spory mogą się pojawić przy podziale resortów. Przedstawiciele Lewicy już zgłosili chęć objęcia Ministerstwa Edukacji i Nauki, by posprzątać po Przemysławie Czarnku. Tyle że apetyty na ten resort mają również KO oraz Trzecia Droga. Mogą one zostać częściowo zaspokojone, bo resort zostanie zapewne rozdzielony na Ministerstwo Edukacji Narodowej oraz Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Zarówno KO, jak i Lewica mają też kandydatów do resortu sprawiedliwości – to Krzysztof Brejza oraz Krzysztof Śmiszek. Z kolei o stanowisko szefa resortu obrony stara się Trzecia Droga, promująca gen. Mirosława Różańskiego. KO jest jednak za cywilnym nadzorem; były wojskowy mógłby preferować zbyt ręczne sterowanie armią.

Liderzy opozycji zapewniają, że personalia ich nie poróżnią. Hołownia twierdzi, że na pewno unikną gorszącej walki o stołki, a on sam nie będzie umierał za marszałka Sejmu dla TD, ani za wicepremiera dla PSL. Z kolei Borys Budka, pytany, czy PO rekomenduje go na marszałka Sejmu, podkreśla, że stanowisko to będzie obsadzane w porozumieniu z partnerami.

Sporów programowych jest niewiele, ale jeden może zaciążyć na współpracy. Chodzi u ustawę antyaborcyjną. Władysław Kosiniak-Kamysz, pytany już po wyborach o aborcyjne postulaty KO i Lewicy (terminacja do 12. tygodnia ma być wyłączną decyzją kobiety), oświadczył, że sprawy światopoglądowe nie mogą być elementem umowy koalicyjnej. Podobnie wypowiadał się Hołownia, przypominając, że Trzecia Droga proponuje referendum w tej sprawie.

Ten ostatni pomysł ma sens tym bardziej, że ustawa liberalizująca prawo aborcyjne zapewne zostałaby zawetowana przez prezydenta. Dlatego jako rozwiązanie tymczasowe pojawił się pomysł określenia wytycznych nowego ministra zdrowia, jak postępować w sytuacjach kobiet, u których konieczne może się okazać przerwanie ciąży. Zresztą nawet Marek Biernacki, który przed laty z powodu głosowania antyaborcyjnego wbrew stanowisku klubu został wyrzucony z PO, dziś bagatelizuje ten spór. – Porozumiemy się – zapewnia.

© PIOTR ŚMIŁOWICZ

Współpraca: MAREK KĘSKRAWIEC

Stoisz prosto, to wygrywasz

JAROSŁAW FLIS, SOCJOLOG:

W polityce zawsze jest dylemat, czym walczyć. Czy łajnem, czy konfiturami. PiS przyjął złą strategię: w trakcie ośmiu lat u władzy nie przestał miotać obelgami w przeciwników i w efekcie sam wylądował w opozycji.

MAREK KĘSKRAWIEC: Co było dla Pana najbardziej zaskakujące w wynikach wyborów do parlamentu?

JAROSŁAW FLIS: Oczywiście frekwencja, do której będziemy tu stale nawiązywać, ale sporą niespodzianką był również elektorat Prawa i Sprawiedliwości. Obóz władzy stracił tylko niecałe pół miliona z 8-milionowego poparcia uzyskanego w 2019 r.; w gminach średnich ubyło mu ok. 200 tys. wyborców, a w miastach na prawach powiatu 300 tys. PiS utrzymał jednocześnie poparcie w małych gminach do 20 tys. mieszkańców, ale to właśnie tam sytuacja jest najciekawsza i zarazem najbardziej dla nich bolesna.

No ale przecież wyniki mówią, że to wciąż bastion PiS. Niczego tam nie stracili.

Więź z dotychczasowym elektoratem w małych gminach się utrzymuje, ale została zrównoważona poprzez głosy na opozycję, których mocno przybyło. Tu wracamy do frekwencji. Poszerzyła się baza, więc te same liczby dla PiS dają mniejszy efekt. Zarówno teraz, jak i podczas wyborów przed czterema laty PiS zdobył na terenach wiejskich 3,1 mln głosów. Opozycja skupiona w bloku senackim uzyskała ich w 2019 r. 2,1 mln, czyli można powiedzieć, że partia władzy pokonała wówczas opozycję 3:2. Teraz jednak poparcie dla opozycji wzrosło w małych gminach do 2,8 mln, więc wynik to już tylko 10:9 dla PiS. Z kolei w gminach średnich cztery lata temu blok senacki wygrywał 10:9 z PiS, teraz zaś zwyciężył 3:2. Ciekawie ułożyły się te liczby.

Z ostatnich wyborów można wyciągnąć jeden wyraźny wniosek: niemal wszyscy nowi wyborcy poszli w stronę opozycji.

Kim są ci nowy ludzie?

To też jest zaskakujące. Są obecni jak Polska długa i szeroka, i nie jest to tylko fenomen większego zaangażowania kobiet czy też obudzenia się młodzieży. To oczywiście jest znaczącym i cennym zjawiskiem, a my powinniśmy ten wybuch zainteresowania demokracją pielęgnować. Warto zresztą zauważyć, że PiS, który pod koniec kampanii grał na skrajną polaryzację i zniechęcenie umiarkowanego elektoratu do wyborów, sam wcześniej napędzał frekwencję. Przecież władza obiecała dwa miliony dla tych gmin do 20 tys. mieszkańców, które osiągną najlepszy wynik w powiecie, dodatkowo zaś pół miliona złotych wszystkim gminom, w których frekwencja przekroczy 60 proc. W grupie 2100 gmin do 20 tys. mieszkańców kryterium uprawniającego do nagrody nie spełniło tylko sto. Obiecano w sumie miliard złotych dla kół gospodyń wiejskich i straży pożarnych.

I ten miliard nie przyniósł partii władzy korzyści.

Z PiS od pewnego momentu było jak w tym dowcipie Andrzeja Mleczki. Podłamany pacjent mówi lekarzowi: „Panie doktorze, czego się nie tknę, wszystko spieprzę". Koalicja Obywatelska zyskała pół miliona wyborców w najmniejszych miejscowościach, PSL wzmocnione Polską 2050 – 300 tys. Trzecia Droga to zresztą ciekawy przypadek, bo zarówno w małych i średnich gminach, jak też w dużych miastach ma po milionie zwolenników. Warto zauważyć, że w ogóle w ostatnich wyborach frekwencja stała się bardziej harmonijna, a liczba wyborców w małych miejscowościach po raz kolejny zbliżyła się do tej, która jest w większych miastach. W 2007 r. w miastach-powiatach oddano o połowę więcej głosów niż w mniejszych gminach, teraz – już tylko o jedną dwunastą.

ŁUKASZ GDAK / EAST NEWS

Nawiązując do „Wesela", maleje różnica między Czepcem a Dziennikarzem w wyborczym zaangażowaniu. Na wsiach przybywa osób z maturą i wyższym wykształceniem, prowadzących biznesy, ludzie są tam bogatsi, bardziej świadomi swoich praw i potrzeb, co zresztą dotyczy także osób z wykształceniem zawodowym.

Dogęszczenie komisji na terenach wiejskich nic więc władzy nie pomogło. Jeśli zresztą gdzieś trzeba zwiększyć liczbę lokali wyborczych, to w dużych miastach.

Otwarcie urn wyborczych po zakończeniu głosowania. Poznań, 15 października 2023 r.

System w dużych miastach okazał się niewydolny; zaprojektowano go na frekwencję 60 proc., podczas gdy w dużych ośrodkach przekraczała ona 80 proc. Wymowny był obraz Jarosława Kaczyńskiego, który musiał ustawić się w kolejce do stolika komisji i sporo minut spędzić w niezbyt przyjaznym tłumie.

Ile PiS stracił w dużych ośrodkach?

Jedną siódmą wyborców: miał 2,2 mln, ma 1,9. Wracając do sportowych proporcji: blok senacki cztery lata temu wygrał w miastach na prawach powiatu 3:2, teraz zaś niemal 5:2. W całej Polsce wyniki można podsumować tak, że tam, gdzie blok senacki przegrywał z PiS, tam go dogania, a tam gdzie wygrywał, powiększa przewagę. Widać też, że najczęściej zyskuje ten, kto wyrównuje poparcie, czyli ogranicza przechył pomiędzy swoimi matecznikami a tymi częściami kraju, gdzie jest najsłabszy. Można powiedzieć, że kto się prostuje, ten wygrywa. A kto się przechyla, tego władza upada. To właśnie przytrafiło się PiS.

Stracił władzę w nogach?

Na nogach stoi dość mocno, bo to wciąż bardzo silna partia, ale zachwiał się i władza wymknęła mu się z rąk. Konkurencja zaś nie wpadła w pułapkę polaryzacji, ale stanęła wyprostowana, wspierając się nawzajem w bloku. Urosła i to pozwoliło pokonać silnego, ale samotnego rycerza, jakim stał się PiS.

Co było największym błędem obozu rządzącego?

W polityce istnieje zawsze dylemat, jakim orężem walczyć. Czy łajnem, czy konfiturami. PiS przyjął złą strategię. Obrzucanie łajnem jest raczej bronią opozycji, a konfitury rozdają rządzący. Mimo ośmiu lat u władzy PiS nie mógł się pozbyć nawyku miotania obelg w przeciwników i w efekcie sam wylądował w miejscu, gdzie to jest naturalniejsze, w opozycji. Wyborcy nie wybierają rządzących, by udawali opozycję.

Konfitury zmieszane z łajnem straciły smak?

Sztabowcy PiS ćwiczyli ponoć pozytywne przekazy na elektoracie, nie tylko swoim, doszli jednak do wniosku, że nic nie działa. Ale może trzeba było wcześniej odpuścić konflikty i ataki? Na pewno błędem była jednostronność przekazu. Kiedy mieli najwięcej osiągnięć i mogli spuścić z tonu, cały czas robili wrażenie, jakby byli w opozycji. A przecież zmniejszyło się rozwarstwienie społeczne, rósł ogólny dobrobyt, mimo że opozycja wieszczyła katastrofę. To był realny, namacalny sukces. Ale władza nie umiała w tych warunkach stać się choć trochę przyjaźniejsza dla świata i zrozumieć, że walka z pojawiającymi się od czasu pandemii problemami nie może polegać na ciągłym zrzucaniu winy na przeciwników. Zamiast starać się rozładowywać napięcia, mnożyli złe emocje, wierząc, że one im pomagają. Gdy stali się rzecznikami jednej strony konfliktu wieś–miasto, nie wystarczyło im dowartościowanie marginalizowanych terenów, ale cały czas mówili: „Pamiętajcie, macie mieć do nich zawsze żal, że traktowali was z góry. Macie ten żal kontemplować, nawet jak będzie wam już lepiej". Tak się na dłuższą metę nie da.

Polska się nimi zmęczyła?

Tego negatywnego przekazu było tak dużo, aż nastąpiła jego gwałtowna inflacja. Poza tym, żeby wciąż rzucać oskarżenia, trzeba mieć elementarną wiarygodność. Ale gdy z czasem zaczynają się nawarstwiać błędy: wyrok Trybunału w sprawie aborcji, wybory kopertowe, piątka dla zwierząt, Polski Ład, KPO i konflikt z Unią, nieustanne tarcia w koalicji, starcia z szefem NIK, afery z wykorzystywaniem publicznych pieniędzy do partyjnych celów – wszystko to z czasem podważa wiarygodność atakującego. Albo wręcz go ośmiesza, jak wtedy, gdy jednocześnie z deklarowanym wetem wobec paktu migracyjnego wyszła na jaw afera wizowa.

Kto najlepiej wykorzystał to utknięcie władzy w okopie?

Szymon Hołownia. Sondażowo Lewica, Trzecia Droga i Konfederacja szły długo łeb w łeb, a TD bywała jeszcze niedawno ↦

↦ opisywana jako najsłabsze ogniwo. Ostatecznie mocno poszła w górę, w dużym stopniu niesiona talentami Hołowni podczas debaty w TVP oraz jego niezafiksowaniem na PiS, czego nie zdołał uniknąć Donald Tusk.

Okazało się, iż część wyborców potrzebuje czegoś nowego poza wojną KO z PiS i nie chce, by wajcha została przesunięta totalnie na drugą stronę, tylko żeby nastąpił powrót do jako takiej normalności. A ona nie musi oznaczać głosowania za postępową agendą KO i Lewicy. Jest spora grupa ludzi, którzy nie chcą PiS, ale zarazem uważają, że istotna część osób skupionych na promowaniu postępowych idei tak naprawdę czyni z nich oręż do okazywania swej wyższości nad resztą społeczeństwa. I nie tyle chcą je przekonać, co nieustannie pouczać i przywoływać do porządku.

Co by było, gdyby opozycja poszła do wyborów jednak na jednej liście, pod wodzą Donalda Tuska? Myślę tu m.in. o wspomnianej już debacie w TVP.

Jedyną alternatywą dla zajmującej się stale tylko sobą pary Morawiecki-Tusk byłby w studiu Krzysztof Bosak, który bardzo umiejętnie chował nacjonalistyczną twarz, pokazując tylko tę liberalną, wolnościową. Pewnie więc by mocno skorzystał. Debata wyraźnie pokazała, jakie są zalety większego wyboru dla kogoś, kto nie chciał już Kaczyńskiego przy władzy. Taki wyborca otrzymał socjalną alternatywę, na której skupiła się Joanna Scheuring-Wielgus, chowając antykościelną agendę, jakiej używał Włodzimierz Czarzasty na marszu opozycji. Z kolei Szymon Hołownia z bardziej konserwatywnej perspektywy mówił w zasadzie o tym, że wojna się skończyła dawno temu, a PiS wciąż siedzi w lesie i wysadza pociągi. Nawet nawoływanie do pakowania kuwet przez tłuste koty nie brzmiało w ustach Hołowni agresywnie. To nie było: „Będziecie siedzieć".

Reasumując: nie wiemy, co przyniosłaby jedna lista, ale wiemy, że opowieści o tym, iż gdy będą trzy, to opozycja przegra – okazały się nieprawdziwe. Żeby wygrać, niepotrzebna była sondażowa „mijanka" zjednoczonego bloku opozycji i PiS, niezbędna ponoć do wywołania efektu kuli śnieżnej i mobilizowania wyborców. Frekwencję zbudowano inaczej,

GRAŻYNA MAKARA

PROF. JAROSŁAW FLIS jest socjologiem, komentatorem politycznym i pracownikiem naukowym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Stale współpracuje z „Tygodnikiem Powszechnym".

różnorodnością, większą liczbą kandydatów, wewnętrzną konkurencją na listach. W efekcie zmniejszyła się polaryzacja: cztery lata temu 71 proc. ludzi zagłosowało na PiS i PO, teraz 66 proc.

W wyborach wzięło w sumie udział 3 mln więcej osób niż poprzednio, a 2,5 mln z nich zagłosowało na blok senacki, wybierając różne opcje.

Co może być największym problemem dla koalicji, która stworzy nowy rząd?

Najważniejszą kwestią jest to, czy Platforma uzna, że nie tylko ona wygrała te wybory. Patrząc na wyniki może czuć się mocna zwłaszcza wobec Lewicy, której część wyborców, około pół miliona, przeszła do KO. To z jednej strony efekt przesunięcia w lewo Koalicji i przejęcia części postulatów Lewicy np. w kwestii aborcji, a z drugiej – innego przywództwa. W 2019 r. było ono beznadziejne, czego kwintesencją stało się początkowe wystawienie przez Grzegorza Schetynę Małgorzaty Kidawy-Błońskiej jako kandydatki na prezydenta.

Czy dla wyniku Lewicy miało znaczenie jej kierownictwo?

To jedyne ugrupowanie opozycyjne, które nie zmieniło liderów po porażce w 2019 r. Polska 2050 w sojuszu z PSL jest nowym tworem, Platforma najpierw zmieniła szefa na Borysa Budkę, a potem na Tuska. Konfederacja schowała Korwina-Mikkego i Brauna oraz postawiła na parę Bosak-Mentzen.

Paradoksalnie w kierownictwie nowoczesnej Lewicy wciąż jest trzech panów, mimo mówienia o drużynie Avengersów i promowaniu trzech nowych liderek. Widać tam również pęknięcie między starym SLD i partią Razem. Jak się jeszcze do tego doda słaby wynik Czarzastego, który przegrał z ostatnim kandydatem z własnej listy, to widzimy, że może to nie jest dramatyczny kryzys, ale stagnacja na pewno. I straty. Było 49 posłów, jest 26, choć oczywiście można się cieszyć, że po 18 latach trafi się wreszcie do koalicji rządzącej.

Wynik Lewicy powinien być dla niej lekcją pokory. Skoro ma się niecałe 10 procent poparcia, nie można sobie rościć prawa do 100 procent racji, choć patrząc jak Lewica zachowuje się w kwestii aborcji wobec Trzeciej Drogi, posiadającej ponad dwa razy więcej posłów, można mieć wątpliwości, czy rozumie, ile naprawdę ma siły.

Koalicji Obywatelskiej, która akurat w sprawie aborcji mówi podobnym głosem jak Lewica, będzie pewnie trudniej układać się z Trzecią Drogą?

Platforma po marszu 4 czerwca myślała, że będzie jak w 2007 i 2011 r. hegemonem i potrzebuje tylko przystawek, nie sojuszników. Ówczesna, dość uległa postawa PSL wobec PO wynikała z tego, że Platforma mogła je w każdej chwili wymienić na SLD lub Ruch Palikota i dalej miałaby większość. Teraz sytuacja jest zupełnie inna. KO z żadnego z partnerów nie może zrezygnować.

Jeśli chodzi o aborcję jako problem nowej koalicji, to Lewica chce ustawy o legalnej aborcji do 12. tygodnia, ale nie chce referendum – do którego nawołuje Trzecia Droga – bo uważa, że to prawo człowieka, a tego się nie poddaje pod powszechne głosowanie. Pewnie skończy się na złożeniu ustawy w Sejmie i posłowie zdecydują zgodnie z własnym sumieniem. Politycy Trzeciej Drogi nie zmienią zdania, bo to kwestia światopoglądowa i nie będzie przedmiotem handlu. KO z Lewicą zaś na pewno nie pozbędą się TD po to tylko, by tworzyć rząd mniejszościowy. Zakładam, że nastąpi tu jakieś otrzeźwienie.

Co w takim razie będzie największym problemem nowego rządu, biorąc pod uwagę, że opozycja również sporo naobiecywała w kampanii,

choćby Tusk 60 tys. zł kwoty wolnej od podatku. Może tego nie dowieźć?

Wszystko zależy od oceny skali kryzysu finansów państwa, a to trochę potrwa z uwagi na duże zadłużenie i brak przejrzystości wydatków obecnej ekipy. Nie wiemy też, co stanie się w otoczeniu zewnętrznym. Czy konflikt w Gazie rozleje się na cały region, jak się potoczy wojna w Ukrainie, jak głęboki będzie kryzys wewnętrzny w Unii, choćby z uwagi na napływ imigrantów.

Dla naszej sytuacji ekonomicznej ważne będzie również, kiedy uda się załatwić pieniądze z KPO i czy dla tej operacji będzie ważna postawa prezydenta i losy ustawy, która utknęła w Trybunale. Myślę jednak, że Komisji Europejskiej wystarczą same deklaracje dobrej woli nowego rządu.

Wciąż mamy jeszcze stary rząd, który próbuje kokietować PSL. Trochę to wygląda jak akt rozpaczy. Co się stanie z PiS?

Partia upiła się władzą, po czym obudziła się z ciężkim kacem i teraz ma do wyboru: zastosować klin i pić dalej, upijając się żalem, albo – wytrzeźwieć. Tyle że trzeźwość pokazuje m.in., że PiS stracił 40 miejsc w Sejmie, a Zbigniew Ziobro, nad usunięciem którego tyle razy debatowali, ma nadal 18 posłów i może założyć własny klub. Tak samo liczny jak Konfederacji, która zdobyła 7 proc.! Tych problemów jest oczywiście więcej. Będziemy za chwilę obserwować zabijanie śmiechem Mateusza Morawieckiego, próbującego na siłę sklecić rząd. Albo gorzej, samego Jarosława Kaczyńskiego, którego może przecież złośliwie wyznaczyć prezydent za wszystkie swe upokorzenia.

Czy przywództwo Kaczyńskiego w PiS będzie kwestionowane? Jest coraz starszy, nie namaścił następcy, przegrał wybory i nie rozda żadnych stanowisk. Wyobrażam sobie coraz mniej ukrywaną walkę o schedę, także z udziałem prezydenta.

Andrzej Duda jest politykiem raczej zewnątrzsterownym, niezbyt samodzielnym. Pamiętajmy też, że mówimy o najsilniejszym ugrupowaniu w Sejmie, to nie jest żaden „koniec PiS", ma 7,5 mln zwolenników, więc pozycja Kaczyńskiego jest wciąż silna. Oczywiście, ma 74 lata i możliwe, że nie będzie już mu łatwo zapanować nad walkami frakcji, nad konfliktem Sasina z Morawieckim, nad Ziobrą rozbijającym środowisko od środka. Możemy sobie jednak też wyobrazić, że obecny minister sprawiedliwości w obawie przed rozliczeniami ze strony nowej władzy jednak zdecyduje pozostać w większym gronie, mogącym go w razie czego bronić. Tu mogą zajść różne scenariusze erozji, ale nie muszą one postępować szybko.

Kluczowe będzie to, jak uda się partię przegrupować przed zbliżającymi się wyborami samorządowymi i europejskimi w pierwszej połowie 2024 r. oraz prezydenckimi rok później. Jest jasne, że PiS został negatywnie oceniony „za całokształt" i – jeśli chce wrócić kiedyś do władzy – to musi w tym całokształcie wiele zmienić.

©℗ Rozmawiał MAREK KĘSKRAWIEC

REKLAMA

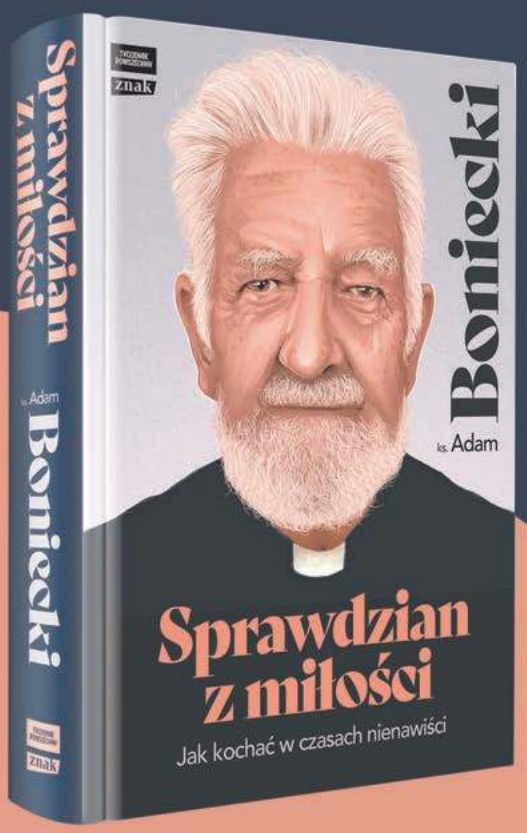

Głos rozsądku
w wariackich czasach
Nowa książka ks. Adama Bonieckiego
TYGODNIK POWSZECHNY znak

KAROLINA MISZTAL / REPORTER

Cmentarz Łostowicki w Gdańsku. 1 listopada 2022 r.

Martwa przestrzeń

MAREK RABIJ

Najpóźniej za dziesięć lat na cmentarzach w największych polskich miastach zabraknie miejsca. Nie wszędzie uda się otworzyć nowe nekropolie.

Na ich łącznej powierzchni zmieściłoby się największe polskie jezioro, czyli mazurskie Śniardwy – a i tak miejsca starczyłoby jeszcze na trzecie pod względem wielkości Łebsko. Według danych GUS z końca lipca 2019 r. w całej Polsce funkcjonowało 16 020 cmentarzy, które zajmowały w sumie niemal 18,3 tys. hektarów. Wielkie liczby skrywają jednak jeszcze większy problem. W dużych polskich miastach miejsc do pochówku wkrótce zabraknie – takie wnioski płyną z nieopublikowanego jeszcze raportu „Miejskie nekropolie" przygotowanego dla Unii Metropolii Polskich przez zespół badaczy pod kierownictwem prof. Agnieszki Piskorz-Ryń. To właśnie tu – w Warszawie, Krakowie, Trójmieście, Wrocławiu czy Katowicach – nałożą się na siebie trzy trendy, które sprawią, że wolne kwatery na cmentarzu już wkrótce staną się dobrem deficytowym.

Pierwszym trendem, oczywistym, jest demografia. Wedle jednego z prognostycznych wariantów już za siedem lat liczba mieszkańców Polski w wieku emerytalnym wzrośnie w porównaniu z rokiem ubiegłym o 7 proc. – do 9,2 mln osób. Dekadę później ten sam odsetek może wynieść 15 proc., a w roku 2050 liczba Polaków w wieku emerytalnym urośnie w stosunku do dnia dzisiejszego aż o 23 proc. W dodatku o kilkanaście procent zwiększy się także populacja dużych miast kosztem wsi i mniejszych miejscowości. O wiele wolniej zmieniać będą się za to polskie zwyczaje związane z pochówkiem; pozostałość po czasach, gdy tłok na cmentarzu dało się zaobserwować jedynie 1 listopada.

Denat na zagrodzie

Prof. Rafał Matyja z Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie, badacz polityk przestrzennych polskich samorządów, kończy właśnie pracę nad książką o krakowskim cmentarzu Rakowickim.

– Fascynuje mnie to miejsce od dawna, bo nawet w czasach PRL-u nie opuścił go duch kapitalizmu – mówi. – Tutejsze groby wprost krzyczą o dokonaniach ich lokatorów. Tu leży kupiec, który ciężką pracą zapewnił dobry byt rodzinie i przez to zasłużył na upamiętnienie nazwiska w formie wystawnej mogiły. Tam – wzięty przemysłowiec. W to dostojne towarzystwo po 1989 roku wmieszały się groby współczesnych, którzy siebie samych nazywali za życia ludźmi sukcesu. Widzę wręcz dla tych ostatnich wspólny mianownik. Dominują grobowce nieproporcjonalnie duże do rozmiarów kwatery, do tego najczęściej wykonane z ciemnego kamienia. Prawie jak mercedesy, w których tak lubowało się pierwsze pokolenie polskich biznesmenów – uśmiecha się prof. Matyja.

Mogiła jako symbol statusu społecznego to naturalny etap rozwoju społeczeństwa konsumpcyjnego, które zaspo-

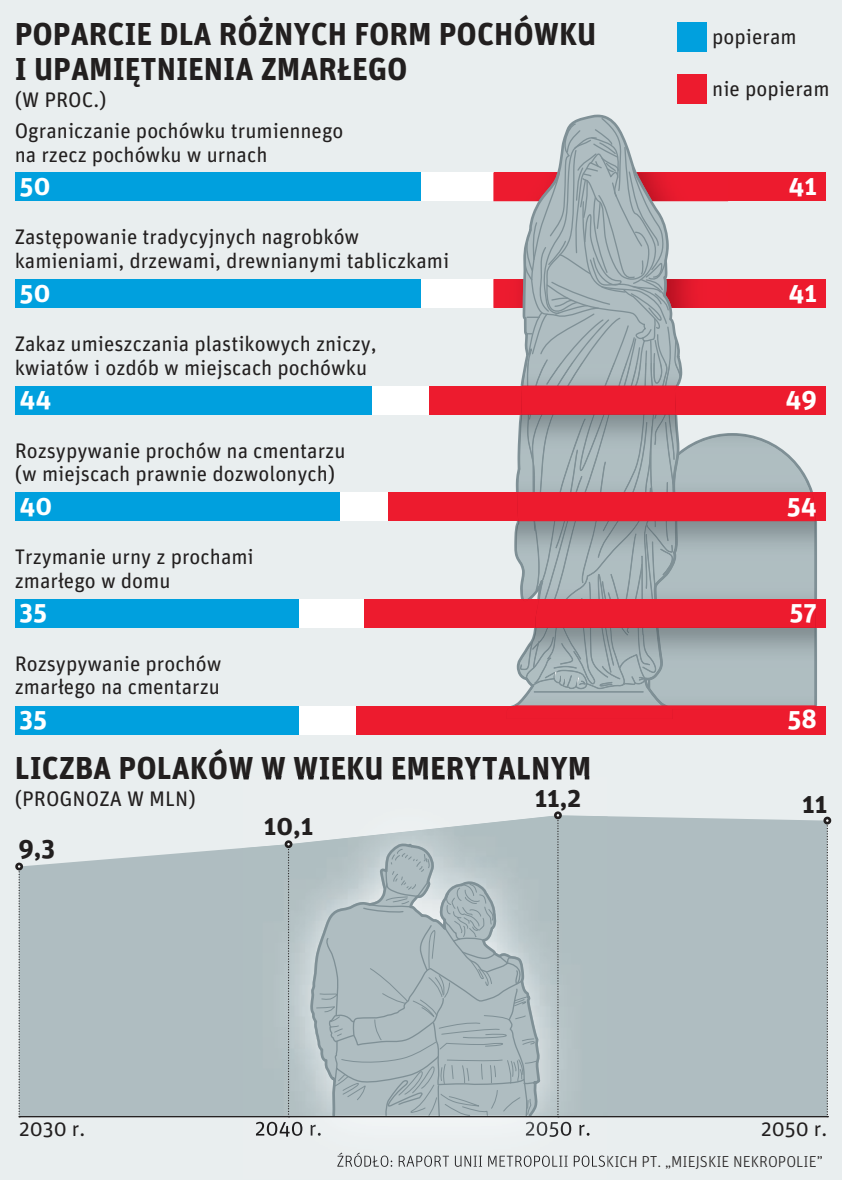

LECH MAZURCZYK

koiwszy doczesne apetyty, zaczyna inwestować także w wieczny odpoczynek, oczywiście z adekwatnym nakładem kapitału. Administratorów największych cmentarzy komunalnych nie dziwią więc już zapytania o kwatery do wynajęcia nawet na sto lat z góry, zamiast standardowych dwudziestu. W najbardziej prestiżowych lokalizacjach wolnych miejsc po prostu brak; w wielu nekropoliach nie da się nawet przejść między mogiłami. Jeszcze w 2020 r. na cmentarzach komunalnych w 10 największych polskich miastach rozebrano – w celu ponownego wykorzystania – pomniki na 1553 nieopłaconych kwaterach. W zeszłym roku tylko na 1429. Nic więc dziwnego, że na ogrodzeniu przy jednym z wejść na cmentarz Rakowicki w Krakowie, jeden z najbardziej rozchwytywanych funeralnych adresów miasta, pod koniec 2021 r. zawisło ogłoszenie „Kupię grobowiec. Cena do miliona złotych". Podany numer telefonu prowadził do agencji nieruchomości. Pośrednicy jako pierwsi dostrzegli, że w dużych miastach cenowe rekordy biją nie tylko mieszkania. Także popyt na miejsca cmentarne prześcignął podaż.

Tymczasem polskie zwyczaje pogrzebowe – jak wynika z cytowanego wyżej raportu – ulegają zbyt powolnym przemianom, by go choćby częściowo zrównoważyć. W tej sferze większość z nas cechuje konserwatyzm. Kontrowersje przestała już budzić kremacja (patrz grafika powyżej), raport wskazuje jednak na wciąż duże różnice postaw między mieszkańcami wschodu i zachodu Polski. We Wrocławiu aż 81 proc. ceremonii pogrzebowych na cmentarzach komunalnych w 2022 r. polegało na złożeniu urny z prochami w miejscu wiecznego spoczynku. W Szczecinie 62 proc. W Rzeszowie całopalenie poprzedziło tymczasem zaledwie 27 proc. pochówków, a w Białymstoku 29 proc.

Wspomniana ewolucja polskich zwyczajów pogrzebowych kończy się zresztą na wyborze między pochówkiem w ziemi a kremacją. Jeśli chodzi już o upamiętnienie zmarłego, w grę po staremu wchodzi przede wszystkim indywidualna mogiła. Większość Polaków sprzeciwia się zezwoleniu na przechowywanie urn z prochami w domu. Nie podobają się nam również pomysły z łąkami pamięci i innymi miejscami, w których można by je legalnie rozsypywać; jeszcze większy opór budzi ewentualne zezwolenie na rozsypywanie prochów na cmentarzach. Dopuszczamy jedynie powolną ewolucję kształtu samych nagrobków, np. poprzez zastąpienie ich kamieniami, drzewami czy tabliczkami. Polski grób musi zachować charakter indywidualny. Nie tylko upamiętniać zmarłego, ale też stanowić przedłużenie jego fizycznej obecności.

„Tylko nie u mnie"

W ostatniej dekadzie na polskich cmentarzach komunalnych zaczęły jednak powstawać również kolumbaria z niszami na urny. Samorządowcy próbują wypracować w ten sposób kompromis między konserwatywnymi oczekiwaniami swoich wyborców a tym, na co pozwalają im realia terenowe oraz plany zagospodarowania. Jedna nisza może pomieścić cztery urny, kolumbaria mogą więc pełnić nawet funkcję grobowców rodzinnych, zajmując przy tym nieporównywalnie mniej cmentarnej powierzchni. W latach 2018-2022 w dziesięciu największych polskich miastach zbudowano obiekty z 2245 niszami i pomimo względnie wysokiej ceny takiej formy pochówku (w przeciwieństwie do kwatery cmentarnej nisze zwykle kupuje się jednorazowo na bezterminowe użytkowanie) większość z nich nie czekała długo na nabywców. W Krakowie, gdzie problem braku miejsc na cmentarzach w centrum staje się szczególnie dotkliwy, niemal co trzecią urnę złożono w 2022 r. właśnie w kolumbarium. ↦

Alternatywne formy pochówku, pochłaniające mniej przestrzeni, będą zyskiwać na popularności nawet mimo światopoglądowych obiekcji i przyzwyczajeń. Taką zmianę wymusi na nas nieuchronny wzrost cen kwater grobowych. Autorzy raportu „Miejskie nekropolie" szacują, że w 10 największych polskich miastach dostępna dziś przestrzeń cmentarna wraz z terenami, które można przeznaczyć na jej rozbudowę, zostanie wykorzystana w ciągu ośmiu-dziesięciu lat. Lokacja nekropolii to żmudna procedura, którą muszą poprzedzić badania poziomu wód gruntowych, zawartości węglanu wapnia i poziomu kwasowości gleby, a nawet ukształtowania terenu. Nie wszędzie zresztą wystarczają korzystne ekspertyzy geologów. Okoliczni mieszkańcy niemal z reguły protestują przeciwko takim inwestycjom w obawie przed spadkiem wartości nieruchomości oraz zakłóceniem ich trybu życia.

Fenomen opisany w angielskim akronimie NIMBY (*Not In My Backyard*, czyli „nie na moim podwórku") można oczywiście wyśmiać jako kolejny przejaw obywatelskiej niedojrzałości, ale w kontekście cmentarza za płotem nie jest on aż tak niezrozumiały jak w przypadku innych inwestycji. Wielkie nekropolie rozpychają miasta od środka, pożerają tereny zielone i przecinają stare połączenia między dzielnicami. Największa z nich – zabytkowy, ale nadal użytkowany cmentarz Centralny w Szczecinie – zajmuje powierzchnię aż 173 hektarów, czyli niemal pięć razy więcej niż Morskie Oko w Tatrach. To już w zasadzie miasteczko w mieście, z własnym mikroklimatem i florą, która cieszy oko, ale również fauną, która bywa kłopotliwa, a czasem wręcz niebezpieczna. Na cmentarzu i w jego okolicy regularnie pojawiają się dziki, które nie tylko niszczą mogiły i ogołacają je z roślin, ale mogą też stanowić zagrożenie dla przejeżdżających opodal samochodów. Niewiele mniejszy warszawski cmentarz komunalny Północny (143 hektary), którego sieć dróg wewnętrznych liczy już ponad 200 kilometrów, trapią z kolei kradzieże i akty wandalizmu. Tak dużych obiektów nie da się skutecznie zabezpieczyć i monitorować bez znacznego zwiększenia wydatków komunalnych na ten cel, co z kolei musiałoby doprowadzić do oszczędności na czym innym.

Społeczeństwa konsumpcyjne, zaspokoiwszy doczesne apetyty, **zaczynają inwestować także w wieczny odpoczynek.**

Jak dojadę?

Lokowanie nowych dużych cmentarzy na peryferiach dużych miast to bardziej próba zrzucenia problemu na głowy kolejnych pokoleń niż jego rozwiązanie. Na przygotowanej niedawno przez GUS mapie zmiany liczby ludności w poszczególnych gminach dominuje czerwień oznaczająca spadek populacji do roku 2030. Kolor zielony, oznakę wzrostu liczby mieszkańców, widać tylko na kilku wyspach wokół aglomeracji warszawskiej i śląskiej oraz Krakowa, Poznania, Wrocławia i Gdańska.

Największe polskie miasta będą zatem coraz gęściej zaludnione i coraz łakomiej będą też spoglądać w stronę terenów, które obecnie leżą poza ich granicami administracyjnymi. Przeniesienie za rogatki również miejskiej infrastruktury pogrzebowej bez jednoczesnej zmiany sposobu jej funkcjonowania może jedynie powiększyć chaos przestrzenny na obrzeżach. Cmentarze w polskiej kulturze są miejscami regularnie odwiedzanymi, nie ożywają jedynie z okazji Wszystkich Świętych. Lokalizacja dużej nekropolii wymusza więc na mieście także zmiany w funkcjonowaniu komunikacji publicznej, rozbudowę sieci drogowej, parkingów i innej infrastruktury, a nawet gospodarowanie odpadami.

W tym ostatnim przypadku nie ma na dodatek co liczyć na zrozumienie ze strony odwiedzających nekropolię. Dla większości Polaków, jak wynika z cytowanego badania, zadbany grób to wciąż taki, który tonie w plastikowych kwiatach i zniczach.

©℗ MAREK RABIJ

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda (kierowniczka), Michał Kuźmiński, Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i sprzedaż: Anna Cieślak, Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska
Rozwój cyfrowy: Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Piotr Wójcik
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039 redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416 reklama@TygodnikPowszechny.pl promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075 prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

TOMASZ

Stawiszyński: *O potrzebie spoglądania wstecz*

Pamiętacie główną teorię spiskową z czasów pandemii? Że mianowicie jest to wyłącznie pierwszy akord w morderczym procesie przejmowania globalnej kontroli przez Nowy Porządek Świata (w skrócie, z angielska, NWO)? Proces ten, przypominam, miał mieć dwie zasadnicze składowe. Po pierwsze, depopulację prowadzoną cynicznie za pomocą szczepionek. Po drugie, powszechny reżim sanitarny, którego niepokojącym emblematem były „paszporty szczepionkowe".

I co? I nic. Szczepienia nie spowodowały masywnej depopulacji, przeciwnie: przyczyniły się do znacznego zmniejszenia śmiertelności z powodu COVID-19. Paszportów szczepionkowych nikt już nie sprawdza. A powszechnego reżimu sanitarnego – jak na, *nomen omen*, lekarstwo.

Podobnie – zachowując proporcje – wygląda historia ostatnich wyborów w Polsce. Pamiętacie? Miało ich przecież nie być. Także na łamach poważnych, opiniotwórczych gazet ostrzegano, że zamiast wyborów będzie wojsko na ulicach, czołgi, stan wyjątkowy. I w ogóle potężny łańcuch starannie przygotowanych przez rządzącą osiem lat dyktaturę prowokacji.

I co? I nic. Wybory się odbyły, wyniki znamy. Mogą się one komuś podobać albo nie, niemniej istnieje wokół nich konsensus: osiągnięte zostały w demokratycznej grze, zaakceptowane, wdrożone w życie.

Oczywiście i w jednym, i w drugim przypadku (i w mnóstwie innych) pojawiło się natychmiast nieskończenie wiele wyjaśnień i uzasadnień, które pozwalają błędne przepowiednie nadal uznawać za wiarygodne.

Zwolennicy teorii pandemii jako Nowego Porządku Świata argumentują np., że: *primo*, wojny w Ukrainie i na Bliskim Wschodzie to właśnie konsekwencja koronawirusa, *secundo* – wszyscy, którzy umarli po otrzymaniu szczepionki (choćby i dwa lata po), umarli tak naprawdę z powodu szczepionki (a na resztę wkrótce przyjdzie kolej). Nie posiadają na to wprawdzie żadnych dowodów, niemniej tak właśnie utrzymują.

Co do wyborów natomiast – pamiętam przedwyborczą rozmowę z pewnym znamienitym intelektualistą związanym z opozycją. Dowodził mi z absolutną pewnością, że „Kaczyński wystrzelałby nas, g d y b y m ó g ł i wyprowadził na ulice czołgi, g d y b y m ó g ł". Mój rozmówca podkreślał zarazem, że nie oznacza to wcale, że tak właśnie Kaczyński zrobi, nic podobnego. Być może obawia się, że wojsko za nim nie pójdzie, być może wie, że żołnierze odmówią zamykania opozycjonistów w obozach albo otwierania ognia do tłumów na demonstracjach – i to go powstrzymuje. Niemniej – no właśnie – g d y b y m ó g ł, Kaczyński tak właśnie by zrobił.

Widać chyba gołym okiem, że te wytwarzane *post factum* opowieści służą głównie karkołomnemu ratowaniu przewidywań, które zostały przez rzeczywistość negatywnie zweryfikowane. A żeby utrzymać w mocy negatywnie zweryfikowane przewidywania, potrzeba zdań niewywrotnych – i z takimi właśnie mamy tu do czynienia. Zwróćcie uwagę: tych wywodów nie sposób sfalsyfikować. To znaczy nie sposób wyobrazić sobie warunki, pod którymi uznać by je można za fałszywe, wychodzą cało z każdej próby obalenia czy sprawdzenia. Jest to definicyjna cecha narracji spiskowych, która sprawia, że chociaż narracje te wyglądają, jakby faktycznie coś o świecie orzekały, to w gruncie rzeczy nie mają żadnej poznawczej wartości. Proszę spojrzeć: zdanie „Kaczyński wystrzelałby nas, g d y b y m ó g ł" pozostanie tak samo „prawdziwe", zarówno jeśli faktycznie „Kaczyński nas powystrzela", jak i jeśli tego nie zrobi. Bo przecież okoliczność, że tego nie zrobi, nie unieważni tezy, że zrobiłby, g d y b y m ó g ł. Dzięki temu manewrowi można Kaczyńskiego traktować jak złoczyńcę niezależnie od tego, czy dokonuje czy też nie dokonuje zbrodniczych czynów. Problem polega tylko na tym, że ostatecznie o każdym z nas ktoś inny może powiedzieć, że g d y b y ś m y m o g l i, zrobilibyśmy to lub tamto. No ale przecież tego nie robimy – zakrzykniecie. Nie szkodzi – odpowie ów ktoś – ważne, że g d y b y ś c i e m o g l i, tobyście na pewno zrobili.

Cóż, mam przemożne wrażenie, że w epoce błyskawicznego obiegu informacji często zapominamy o tym, czego się jeszcze wczoraj baliśmy, o czym fantazjowaliśmy i co wydawało nam się absolutną prawdą. A co chwilę później okazało się wytworem nadmiernie pobudzonej wyobraźni, podszeptem sprawnych speców od politycznego PR-u albo marketingowców którejś z wielkich korporacji. I dlatego popełniamy nieustannie te same błędy, dajemy się uwodzić i wodzić za nos, ulegamy zbyt szybko apokaliptycznej histerii albo – odwrotnie – nieuzasadnionej euforii. Potem zaś, kiedy powody naszej histerii lub euforii okazują się umocowane wyłącznie w naszych fantazjach albo tej czy innej propagandzie lub perswazji – efektywnie redukujemy dysonans i wytwarzamy niewywrotne pseudodiagnozy, byle tylko nie uznać własnej pomyłki. I nie wyciągnąć z niej wniosków na przyszłość.

Dla jakości życia jednostkowego i zbiorowego ma to niestety wyłącznie fatalne skutki. Już choćby z tego powodu systematyczne spoglądanie wstecz, baczne analizowanie swoich niegdysiejszych pewności i lęków to niezbędny warunek lepszej orientacji nie tylko w tym, co działo się wczoraj, ale również w tym, co dzieje się dzisiaj i co będzie działo się jutro. ©

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Sanoku pod sygn. akt I Ns 291/21 toczy się postępowanie z wniosku Małgorzaty Wolińskiej o stwierdzenie nabycia spadku po Stanisławie Walerii Wolińskiej z domu Twardzicka, c. Józefa i Marii, ur. 20 maja 1912 r. w Ostrowie, zm. 23 marca 1985 r. w Sanoku, przed śmiercią zamieszkałej w Trepczy.

Wzywa się spadkobierców zmarłej, aby w terminie 6 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili swój udział w postępowaniu i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w stwierdzeniu nabycia spadku.

PIOTR TUMIDAJSKI / FORUM

DNI ZADUSZNE

PŁYŃ JAK RZEKA

Życie nieuchronnie wiąże się z utratą. Akceptacja tego faktu prowadzi do stanu, który daje pokój i nadzieję.

PIOTR SIKORA

PIOTR TUMIDAJSKI / FORUM

Kubek może wypaść z ręki, uderzyć o podłogę, rozbić się na kawałki. A jeśli nie, herbata w kubku na pewno wystygnie. A jeśli nawet nie, to dlatego, że wcześniej ostatni łyk spłynie do gardła. Tak czy inaczej płuca z konieczności wypuszczą w przestrzeń obłoczek dwutlenku węgla zawiniętego w parę wodną. Jeśli zrobi się dostatecznie zimno (złota polska jesień już się kończy), będzie można dostrzec, jak skrapla się i znika kilkanaście centymetrów przed – z każdą chwilą starszą – twarzą, nie wiadomo gdzie. *Habel habalim* – „bardziej ulotne niż para z ust", powiada Kohelet, „bardziej ulotne – wszystko jest jak para z ust" (Koh 1, 2).

Przemijanie, trwanie i ta chwila

Nie przesadzasz, Kohelecie? Twoje zdanie – ciągle to samo – czytały setki pokoleń. Mój dom stoi od wielu lat, samochód co rano czeka w miejscu, w którym zaparkowałem go w poprzedni wieczór. Choć oddech, który wziąłem pisząc te słowa, właśnie rozwiał się w przestrzeń wokół mnie, na jego miejsce wprowadzam do płuc następny, i jeszcze następny, regularnie, no, może raz szybciej, raz wolniej, to płycej, to głębiej, ale wystarczająco powtarzalnie, by zachować dobrze mi znany rytm życia: pobudka, śniadanie, do pracy, do domu... Rodzina, szef i podwładni, znajomi, rodzina... Czyż to nie twoje, Kaznodziejo, odkrycie: „To, co było, jest tym, co będzie, a to, co się stało, jest tym, co znowu się stanie: więc nic zgoła nowego nie ma pod słońcem" (Koh 1, 9)?

Regularny, powiadasz, twój oddech? A pamiętasz tę chwilę, gdy niewidoczny malutki skrzep krwi zaplątał się w twoje lewe płuco? Jak, zaskoczony, bezradnie pracowałeś przeponą, a powietrza wciąż ci było mało? Na tej ziemi to nic szczególnego, nie ty pierwszy i nie ty ostatni. Miałeś szczęście – jak wcześniej i później niektórzy, ale nie wszyscy – twoje płuca nie przestały oddychać. *Nihil novi*, groźba wisi w każdej chwili nad każdą i każdym: wirus, skrzep, krótki moment nieuwagi kierowcy. „Choćbyś nie wiem jaki wysiłek podjął, nie dowiesz się, co za chwilę się stanie" (por. Koh 8, 17).

Odkąd pamiętam siebie noszącego to, a nie inne imię, z powodzeniem napełniam sypką rzeczywistością foremki pojęć i przy pomocy słów ustawiam chaos w widocznym dla wszystkich porządku. Potrafię przewidzieć, co będzie nazajutrz, za tydzień, w następne lato; trafiam na umówione spotkania, mam terminarz, zgodnie z twoim, Kohelecie, stwierdzeniem, że „na wszystko jest czas pod niebem, na każdą sprawę odpowiednia godzina, minuta, sekunda; jest czas porodu i czas konania, czas burzenia i czas budowania, czas płaczu i czas śmiechu, czas żałoby i czas tańca, czas pieszczot cielesnych i czas powstrzymania się od nich, czas zysku i czas utraty" (Koh 3, 1-6). Dziś, królu w Jerozalem, poszedłem w góry. Jest pięknie.

Siedzisz beztrosko na polanie pod szczytem, czujesz tętno, pachnie nagrzana trawa, szumi las, widać coraz bardziej zamglone górskie pasma, jedno za drugim, aż po horyzont. Chwilo trwaj! Nic z tego, „nie nasyci się oko patrzeniem ani ucho napełni słuchaniem" (Koh 1, 8b). Słońce zajdzie za grzbiet góry po lewej, mgła wypełznie spomiędzy drzew, przyjdzie pora, by wstać, zejść w dolinę. Koło czasu toczy się i tylko w jednym punkcie styka się z życiem. Toczy się zaś bez ustanku, więc każdy moment jest tak naprawdę czasem utraty. Nie zatrzymasz tego, co piękne.

Lepsze – sam, Kaznodziejo, tak piszesz – jest to, na co oczy patrzą niż niezaspokojone pragnienie (por. Koh 6, 9). Choć wszystko jest jak oddech i pogoń za wiatrem, choć – masz rację – nie mam władzy nad tchnieniem życia i nie w mojej mocy leży dzień śmierci (por. Koh 8, 8): mojej własnej i moich bliskich, to jednak mogę po prostu siedzieć i patrzeć, cieszyć oczy feerią barw, zmiennością kształtów, tańcem liści wirujących niczym derwisze w drodze między miejscem narodzin a przeznaczeniem. A każdy z nich niepowtarzalny. Za twoją radą jem swój chleb (albo śliwkę), piję wino (albo herbatę). Cieszy mnie ich smak – ulotnie rzeczywisty.

Chociaż wszystko – tak, Kohelecie – nietrwałe, i każdy efekt mej pracy w końcu rozsypie się w pył, mogę – jak piszesz – „nie myśleć wiele o dniach swego życia", lecz „szczęścia zażywać przy pracy, którą teraz się trudzę pod słońcem" (por. Koh 5, 19). Mogę działać dla samego działania, czerpiąc radość z ruchu mięśni i myśli, czynić nie dla korzyści, zostawiając skutek samemu sobie: przyjdzie, nie przyjdzie, zostanie, odejdzie, co mi tam; co nie jest samym moim działaniem, nie jest też mną. Kiedy tak żyję, nie ma we mnie niepokoju i sprawdza się prawda twoich słów: „Lepsza jest jedna garść pokoju niż dwie garści bogactw i pogoń za wiatrem" (Koh 4, 6).

Na tej i poprzedniej rozkładówce: cmentarz Salwatorski, Kraków, październik 2021 r.

Akceptacja

Tak, wiem, nieuchronnie nadejdzie dzień, w którym „przerwie się srebrny sznur i stłucze się czara złota, i dzban się rozbije u źródła, i w studnię kołowrót złamany wpadnie; i wróci się proch do ziemi, tak jak nią był" (Koh 12, 6-7), i nigdy więcej nie będę mógł już przytulić kogoś, kogo bardzo kocham. I wtedy całe patrzenie, i całe działanie wyda mi się puste, wydrążone przez bezlitosny los. Wtedy posłucham innych twoich słów, Kaznodziejo, że „lepszy jest smutek niż śmiech, bo przy smutnym obliczu sercu dobrze się dzieje" (Koh 7, 3).

Nie wyrzeknę się smutku, który we mnie powstanie, nie będę udawał, że go nie ma, nie będę go zagłuszał śmiechem rodzącym się nie głębiej niż gardło. Pozwolę żalowi płynąć we mnie, narastać i przechodzić, jak fali, która w swoim tempie, zależnym od siły wiatru, który ją wzbudził, i ułożeniu dna, które nadaje jej kształt, zalewa piasek, zmywa wszelkie ślady i cofa się z powrotem w morze.

Usiądę, mocno chwycę się ludzi i przedmiotów wokół, wkopię się w swoje ciało, jakbym wkopywał się w piasek na brzegu, tak, by fala żalu nie porwała mnie w morze rozpaczy, gdy będę czuł całym sobą, każdą tkanką ciała, jak potężnym ruchem całego świata kołysze mnie – to w stronę głębi, to w kierunku brzegu. Pozwolę płynąć wszystkim czarnym myślom, widząc każdą, lecz nie idąc za nią.

Podniosę głowę i rozejrzę się wokół, wilgotnym wzrokiem obejmując rzeczy czekające na moją uwagę i ludzi podobnie jak ja doświadczonych. I zobaczę moją stratę tańczącą w kręgu wielu strat – zarazem jedyną i połączoną z innymi, kierującą mój wzrok na inne łzy, które można obetrzeć, na inne rany, na które można przykleić plaster.

Będę pamiętał o tym, że – jak mawiał patriarcha Hui-Neng (oświecony półsierota, który jako dziecko na wygnaniu utrzymywał owdowiałą matkę zbierając chrust) – „umysł jest niezmierzony jak przestrzeń, wolny od ograniczeń; nie jest kwadratowy ani okrągły, duży ani mały, nie jest niebieski ani żółty, czerwony ani biały; nie ma w nim góry ani dołu, długiego ani krótkiego; nie ma gniewu ani radości, tego, co właściwe ani niewłaściwe, ani dobra, ani zła – ani korzyści, ani utraty; nie ma pragnienia ani unikania; umysł jest tak rozległy, że przenika wszechświat".

Pozwalając na falowanie żalu, na rośnięcie i zanikanie ciężkiej guli w gardle, na zaciskanie się i luzowanie obręczy wokół mostka, spinanie i rozluźnianie karku, powstawanie i ulatywanie myśli ciemnych jak szpara pod szafą, znajdę w końcu przejście do siebie przestronnego jak bezmiar nieba, większego niż każdy ból i każda radość. Znajdę to przejście i popatrzę z jasnością słonecznego zimowego poranka i współczuciem smakującym jak wytrawne wino na świat, którego istotą jest przychodzenie i odchodzenie – substancja umysłu.

Działanie

I wtedy, nie walcząc z niczym w sobie, zobaczę przed sobą drogę albo wiele ścieżek. Spotkam ludzi do kochania: zrzędliwą ciotkę do pamiętania o jej imieninach; sąsiada z góry do zauważenia, że trzęsącą się ręką nie może otworzyć skrzynki na listy; dziecko do podziwiania, jak potrafi zrobić gwiazdę na trawniku; przyjaciela do napisania listu, a potem do przytulenia się do niego. Wpadną mi w oczy sprawy do poprawy świata. Wielkie, jak przebita opona w rowerze syna – razem wymieniając ją na nową tworzymy tandem, jakiego świat dotąd nie widział. I te mniejsze, jak dobrze wykonana robota, uruchamiająca któryś z zepsutych dotąd trybików mechanizmu światowej gospodarki.

Robiąc to, co jest właśnie do zrobienia, będę uważał na szczegóły, a myśli analizujące, jak wielkie (lub małe) znaczenie ma to, co robię, i jak bardzo (lub mało) prawdopodobne jest to, że mi się uda, zostawię samym sobie: cóż mi po nich? I nie zdziwię się wcale, że co jakiś czas napłyną wspomnienia tego, co utraciłem, ciągnące ze sobą sieci żalu. Świadomy tego, jak mnie otaczają, nie będę się szarpał – skupiony na tym, co robię, ja sam będę zbyt mały, żeby się w nie zaplątać – wymknę się z sieci, pozwalając po prostu, by porwał ją prąd czasu.

I może w końcu przeczytam bez buntu, a nawet ze zrozumieniem słowa Człowieka z ogrodu: „Jeżeli ziarno pszenicy wpadłszy w ziemię nie obumrze, zostanie tylko samo, ale jeżeli obumrze, przynosi plon obfity. Ten, kto lgnie do swojej duszy, do życia, jakie zna – traci ją, a kto swoją postać życia na tym świecie potraktuje lekko, zachowa siebie żyjącego wiecznie w Bogu" (J 12, 24-25). I – być może – pojmę, że Stojący tam po szabacie o świcie jest każdą i każdym, i – mam nadzieję – wszystkie moje komórki napełni zgoda na Jej/Jego słowa: *me mou haptou*, „nie chwytaj, nie zatrzymuj mnie" (J 20, 17).

©℗ PIOTR SIKORA

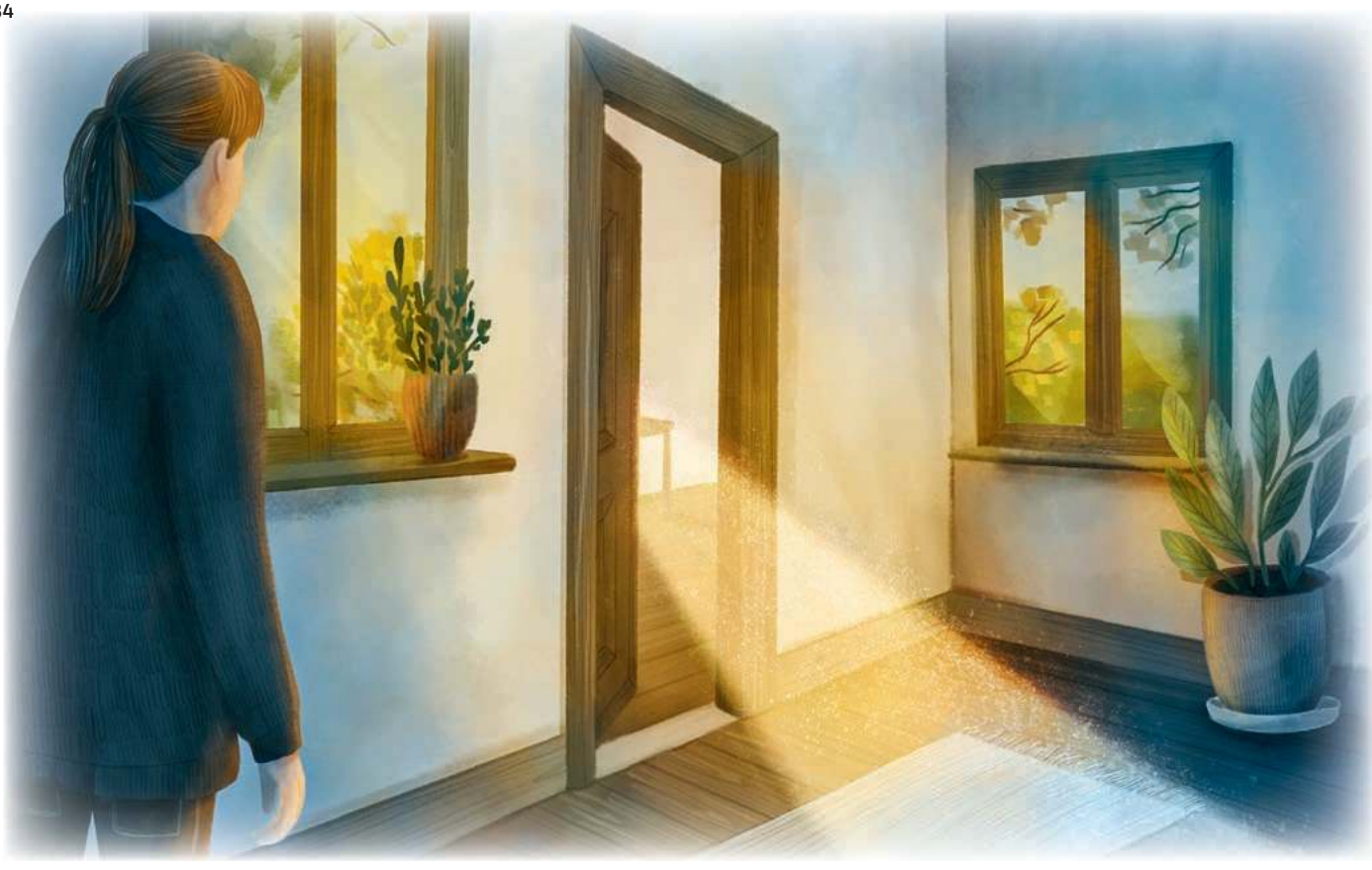

Żałoba, czyli miłość

JOANNA, MATKA I ŻONA PO STRACIE:

Dom Dusz jest dla kobiet takich jak ja. Mogą na mnie spojrzeć i powiedzieć: „Skoro jej się udało żyć, ja też mogę”.

ILUSTRACJE: KASIA KOZAKIEWICZ

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Gdzie jesteśmy, Joanno?

JOANNA: W samym centrum Mazur, we wsi Danowo między Orzyszem a Giżyckiem. Kilka domów na krzyż, przepiękna plaża z pomostem na Jeziorze Bielskim. Gdy poza wakacjami jest na niej kilka osób, to mówimy: „Ale ludzi najechało”.

Nie ma sklepu, nie ma kościoła. Spokój i cisza.

A wśród tych kilku zabudowań duży, poniemiecki dom z czerwonej cegły pokryty zielonymi winoroślami.

Teraz zielonymi – za moment się zaczerwienią. Naokoło, jak widzisz, duży prostokąt trawy – osiem tysięcy metrów kwadratowych.

Dużo drzew.

Wiązy i lipy. I przestrzeń, jakby stworzona do odpoczynku. Te wiszące, ogrodowe kokony to może być miejsce na sen, na czytanie, na smutek.

Widzisz domek na drzewie?

Wbity między gałęzie, drewniany, dobrych kilka metrów nad ziemią.

Gdy zdecydowaliśmy się kupić ten dom, pomyśleliśmy z moim mężem Marcinem to samo: musimy mieć domek na drzewie! Marcin chciał, żeby dzieci ćwiczyły, by były aktywne – powiesił więc linę, by po niej do tego domku wchodziły. Ja wolałam drabinkę, ale on się uparł. A gdy już ta lina była, powiedział: „Tata wam pokaże, jak się wchodzi”. Doczłapał się jakoś na górę, ale gdy zszedł, to powiedział: „Drabinka będzie jednak lepszym rozwiązaniem” (*śmiech*).

Opowiedz mi o Waszej czwórce.

Byliśmy rodziną, jak to się mówi, nie do pobicia. Szczęśliwą parą, która dorobiła się dwójki wspaniałych dzieci – najpierw dziewczynki, trzy lata później chłopca. Rodziną, która kocha spędzać ze sobą czas. Usportowioną, uwielbiającą narty.

Marcin był architektem. Zdrowym facetem, który trenował triatlon, biegał maratony.

Mieszkaliśmy pod Warszawą. A 12 lat temu – gdy dzieci były małe – kupiliśmy ten dom. Dom na piękne, polskie wakacje na Mazurach. I takie wakacje tu spędzaliśmy.

Chcesz je wspominać?

Chcę. Dobre wspomnienia mnie nie ranią.

Pamiętam np. Marcina, który rozciąga się przed treningiem albo po nim.

Widzę go, jak stoi przy murku otaczającym działkę i kładzie na tym murku nogę.

Albo dom – pełen hałasu i śmiechu. Całe wakacje razem: z dwójką naszych dzieci, i trójką mojego brata, a czasami dodatkowo z jakimiś zaprzyjaźnionymi dzieciakami. To był dom kłusującej tu nieustannie gromadki – tak intensywnie, że zastanawialiśmy się, czy ten wielki kamienny budynek wytrzyma. Dom zabawy w chowanego, gry w bilard, w ping-ponga. Dom z wielką, jakby stworzoną dla dzieci przestrzenią naokoło.

Pamiętam takie zdarzenie. Zima, dzieciaki biegają po ogrodzie. Poprosiliśmy, żeby nie szalały przy wjeździe – tam była piwniczka pokryta wątpliwej jakości stropem. Nagle krzyk. Podbiegamy, a mój Ignaś trzyma z całych sił za ramiona jedną z dziewczynek – żeby nie wpadła przez wąskie okienko do tej piwniczki. Trzyma ją, a jego trzymają pozostali – jak w „Rzepce" Tuwima.

Albo podchody. Jedna grupa napisała drugiej, że mają szukać „pod różową chmurą". Szukają, szukają, ale w międzyczasie ta różowa chmura zniknęła. No to kłótnia: „Oszukaliście nas! Nie ma żadnej różowej chmury!".

A wracając do wnętrza. Ten wielki, sosnowy stół, przy którym usiedliśmy, to był m.in. stół do planszówek.

Opowiesz mi o Ignasiu?

„To był taki jasny chłopiec" – powiedziała pewnego razu jego babcia. W podwójnym znaczeniu: radosnego usposobienia, ale też blond włosów. Tak jak na tym zdjęciu wiszącym na ścianie – podejdź, to ci pokażę.

Widać na nim radosny okrzyk.

Uchwycony nad naszym jeziorem, na pomoście.

A tu, na innym zdjęciu, widać już młodzieńca. Ma 15 lat.

Zdjęcie jest zrobione już po śmierci Twojego męża.

To był rok 2019, Dzień Matki, niedziela. Wracałam z psem, Marcin wychodził na trening, bo akurat przygotowywał się do triatlonu. „Pójdę potruchtać, koteczku" – rzucił, gdy się mijaliśmy. I już z tego biegania nie wrócił. Upadł, to musiało być coś z układem krążenia – pewna nie będę nigdy, bo nie miałam siły na robienie sekcji.

Sekunda. Ze świata, w którym byliśmy szczęśliwi, mieliśmy poczucie nieśmiertelności i mocy jako rodzina, zostaliśmy bez niego. A ja zostałam sama z dziećmi. Do dziś mi się wydaje, że to się nie mogło zdarzyć. Ale się wydarzyło.

A potem niemal od razu przyszła pandemia. Do tego mój syn koszmarnie złamał nogę. Rehabilitacja, gips, jakieś druty – nastoletni chłopiec, po stracie taty, zostaje w dodatku totalnie unieruchomiony. W domu na warszawskiej Sadybie, do którego przeprowadziliśmy się po śmierci mojego męża.

Jesienią 2021 r., a więc nieco ponad dwa lata temu, wydarzyło się kolejne nieszczęście. Syn wrócił z wyjazdu szkolnego, wyszłam odebrać z naprawy jego telefon. Wróciłam po dwóch godzinach. Karetka, szpital. Ignaś zmarł kilka dni później. Fakt, że nie odszedł w domu, że mogłam się z nim pożegnać, był dla mnie – i jest do dzisiaj – niesłychanie ważny. Wiele miesięcy później widziałam na jego zdjęciach z tamtego czasu smutek – wtedy go nie dostrzegłam...

Jedyne, co wtedy myślałam, to że ktoś pomylił historie. Że takie dwa zdarzenia nie mogą się przytrafić jednej i tej samej rodzinie.

Z pogrzebu i w ogóle z tamtych dni nie pamiętam prawie niczego. Zapamiętałam jedno – strach o córkę. Tylko ona się wtedy dla mnie liczyła. To był jej maturalny rok, bardzo ważny.

Przez pierwsze miesiące tkwiłam w jakimś otumanieniu. Przekonałam się, że to, co mówi wielu ludzi po stracie, to jest prawda – pierwsze miesiące wcale nie są najgorsze.

To właśnie wtedy, na samym początku, miałaś ważne spotkanie.

Spotkanie życia. Z ks. Adamem Bonieckim. Może półtora, może dwa miesiące po pogrzebie Ignasia.

Co z tego spotkania zapamiętałaś?

Ksiądz słuchał. Ale powiedział też kilka ważnych dla mnie rzeczy. Np. to, że tak jak jest choroba ciała, tak też istnieje choroba duszy. I że czasami tak jedna, jak druga może się okazać śmiertelna.

Miałam też bardzo silne lęki, nazwijmy je teologicznymi. To lęki osoby wierzącej – choć odrzucającej już instytucję Kościoła – o Ignasia. Co z nim dalej będzie? Czy on sobie da radę? To są odruchy mamy, która przecież – jako wierząca i do pewnego momentu praktykująca – żyła w rzeczywistości, w której księża odmawiali chowania osób odbierających sobie życie.

Ks. Boniecki ustawił mi myślenie. Uspokoił.

Ważne też było to, jak ja się w czasie tego spotkania poczułam. Ten kuśtykający, pewnie już schorowany ksiądz, ten ciepły starszy człowiek czekał na mnie na zewnątrz, gdy podjechałam. To on mnie potem odprowadził do samochodu, wyprawił. To są rzeczy, które się już pamięta – minuty, w trakcie których czujesz i wiesz, że jesteś dla kogoś najważniejszy.

Tamto spotkanie żyje we mnie do dziś.

Nie było w Tobie buntu?

Przeciw Panu Bogu? Nie. Ani wtedy, ani później. Może zanim zdążyłam się zbuntować, spotkałam księdza Bonieckiego? Nie wiem, nie potrafię tego wyjaśnić.

Nie szukam w swojej wierze sensu tego, co się stało. Ani ukojenia. Mam z Panem Bogiem taki układ, że skoro już się stało, co się stało, to znaczy, że w zasadzie na mało co mamy w życiu wpływ. A skoro tak jest, to ja się po prostu zawierzam.

Dostrzegam też znaki. Wydarzenia, które nie mają racjonalnego wyjaśnienia.

Chcesz o nich opowiedzieć?

Tak, choć doskonale sobie zdaję sprawę, że dostrzegasz znaki, gdy bardzo chcesz je widzieć.

Syn trafił do szpitala 23 września. Cztery dni później szłam – już nie pamiętam, po co – na piętro, gdzie jest jego pokój. Jego komputer był wyłączony od dwóch tygodni, bo Ignaś był na dwóch wyjazdach z rzędu. No więc idę do góry, a tam – w jego pokoju – poświata od włączonego komputera. Wchodzę, na ekranie napis: „Ignacy". Tego dnia zmarł w szpitalu.

Nie wiem, czy takie zdarzenia to są jakieś wybitne znaki. Ale są moje.

Jak przeżywałaś kolejne miesiące żałoby?

Wielkim problemem dla rodziców po stracie jest powrót po kilku miesiącach do pracy – to często koszmar. Oczywiście nie zawsze. Niektórzy uciekają w pracę – i to też jest w porządku. Wszystko, ↦

↦ co daje choć odrobinę ukojenia, jest w porządku.

Ale częściej zdarza się, że pracować się po prostu nie da. Jesteś zmęczony, zmęczona bólem – fizycznym, siedzącym pod przeponą. Nie jesteś w stanie o niczym myśleć. Nie potrafisz się na niczym skupić.

Ja wróciłam. Mam bardzo dobrą pracę – mój szef jest porządnym człowiekiem, mam możliwość aktywności zdalnej, nie musiałam z nikim rozmawiać. Ale nie wszyscy mogą sobie na to pozwolić. Wracają, choć nie powinni. A ich współpracownicy często nie wiedzą, jak się zachować. Matka świeżo po śmierci dziecka wchodzi do firmowej kuchni – a wszyscy pozostali wychodzą. Albo milkną.

Nie dlatego, że są źli.

Boją się. Co można zrobić?

Przytulić. Powiedzieć: „Możesz na mnie liczyć". Zaproponować proste rzeczy: „Zawiozę cię". „Pomogę". Po stracie dziecka masz nawet trudności z kojarzeniem podstawowych faktów. Luki w pamięci. Bywa, że nie jesteś w stanie prowadzić samochodu.

Tymczasem niektórzy bliscy ci ludzie właśnie wtedy znikają. A potem, po wielu miesiącach słyszysz: „Nie dzwoniłam, bo nie wiedziałam, co ci powiedzieć".

Jak reagujesz?

Mówię, że rozumiem – bo rozumiem. Ale czy ta osoba staje mi się w ten sposób bliższa? Nie. Milczenie, zniknięcie to robienie ze zmarłego dziecka tematu tabu – tak jakby tego dziecka nigdy nie było. Jakby nie istniało.

Gdy opowiadasz o Ignasiu, o Marcinie, płaczesz – ale chcesz mówić. Nie uciekasz też od wspomnień. Przywołujesz obrazy. Nie sprzedałaś Waszego wspólnego domu. Ani tego w Warszawie, ani tutaj.

Różne myśli przychodzą do głowy. Są momenty, że chcesz wszystkiego się pozbyć. Zapomnieć. Wyjechać w miejsce, które nie będzie ci o niczym przypominało. Z niczym się kojarzyło. A potem przychodzi do mnie moja córka i mówi: „Mamo, przecież to są miejsca naszych najpiękniejszych wspomnień".

Więc tak, zostałyśmy na Sadybie. Musiałyśmy oswajać przedmioty, miejsca. Podobnie zresztą jak tuż po śmierci Marcina, gdy dzieciaki nosiły jego swetry, a na spacery chodziliśmy – jeszcze z Ignasiem – w miejsce, gdzie wisi poświęcona pamięci Marcina tabliczka.

Nie zamknęłaś na klucz pokoju syna.

Niektóre matki, ojcowie robią mauzolea. Rozumiem to. Ale jest też druga strona tego medalu. Jedna z moich urodzonych jeszcze przed wojną cioć w 18. roku życia opuściła dom, a potem wyszła za pierwszego lepszego adoratora. A zrobiła tak właśnie dlatego, że jej mama po śmierci swojego drugiego dziecka skupiła się wyłącznie na swoim bólu. Ja tak nie chciałam – chciałam żyć dla córki.

Nie, nie zamknęłam jego pokoju. Pracuję w nim. Zrobiłam remont. Jasne, że czasami przychodzi myśl: „Sprzedam to, bo już tego nie wytrzymam". Przecież z każdego kąta wychodzą wspomnienia. Np. nie mogę spać, schodzę na dół. I staje mi przed oczami Ignaś, który też czasami nie mógł zasnąć, więc przekładał mi rzeczy z pralki do suszarki – chciał w tej swojej bezsenności zrobić coś pożytecznego. W tym wspomnieniu uśmiecha się filuternie...

A potem ta myśl o sprzedaży i wyjeździe przechodzi. Przecież to tylko kwe-

stia podejścia, ułożenia sobie wszystkiego w głowie. Ja chcę to miejsce pokochać – tak jak kocham jego.

Co to znaczy: pokochać to miejsce?

Że wchodzę tam rano do pracy i mówię: „Cześć, synku".

Tak, wiem, to się stało w tym domu. I co z tego? Albo sobie to miejsce przytulę, albo się stanie moją makabrą. Wybieram to pierwsze, bo przecież ten dom to miejsce setek wspaniałych zdarzeń, pięknych wspomnień. To nasz dom.

Niedawno czytałam na jednym z portali tekst. Matka dziecka, które samo postanowiło odejść, mówiła, że zawsze będzie czuła piętno. Ja tak tego nie odczuwam. Jestem i byłam mamą Ignasia, po prostu. Ktoś kiedyś powiedział, że żałoba, rozpacz – to nic innego jak miłość. Tak właśnie chcę ją przeżywać.

Wiem, że pomogła Ci psychoterapia.

Po odejściu Marcina nie zdecydowałam się na nią. Po śmierci Ignasia wiedziałam, że sama nie dam sobie rady. Głównie z poczuciem winy. Z początku nie da się od niego uciec. Umysł podsuwa ci zdania zaczynające się od „gdybym wtedy...". I pytania. Co przeoczyłam? Dlaczego wyszłam? Czemu nie zauważyłam? Umysł ludzki jest bardzo chętny do tworzenia takich myśli. Tysięcy myśli. I wszystkie one – przynajmniej w twojej głowie, przynajmniej do pewnego momentu – przekreślają jakość twojego macierzyństwa.

Dzisiaj już wiesz, że to nie ma nic wspólnego z jakością macierzyństwa.

Wiem – dzięki terapii. Że byłam najlepszą mamą, jaką mogłam wówczas być. Że nie byłam mamą niedbającą, niekochającą, nierozmawiającą, skupioną na sobie. Choć po śmierci Marcina nie byłam z pewnością mamą w najlepszej kondycji – co zresztą mogło sprawić, że Ignaś nie chciał mi o wszystkim mówić, żeby mi nie robić przykrości.

Dziś już wiem, że wtedy okrutnie zderzyły się w złym momencie dwa losy: mój i jego. Zabrakło czasu. Nie rozumiem, dlaczego tak się stało. Nie akceptuję zdań typu: „Wszystko jest po coś". Nie, to nie było po coś. Ale już się nie obwiniam.

Terapia nauczyła mnie, jak prowadzić swoje myśli, żeby ta spirala znowu nie ruszyła. Obrazuję to sobie. Jadę bryczką, w rękach lejce, przede mną konie. Zdarza się, że one skręcają z drogi. Moją rolą jest ściągać lejce, nie pozwolić im na to. „Joanna, stop. Nie wolno" – to jest decyzja.

Pomógł mi też mądry psychiatra. To nie był taki lekarz wypisujący receptę i mówiący „do widzenia". Powiedział: „Zrobiła pani wszystko, co w tamtym momencie było w pani mocy. Niech pani to sobie uprzytomni. I niech pani za każdym razem w chwilach wątpliwości pomyśli, jak bardzo pani się starała, jak bardzo kochała". To wielkie szczęście trafić na takiego człowieka.

Terapia pomogła Ci też w relacjach z córką.

Odkryłam, że muszę poukładać w sobie ten potężny strach o nią. Dzięki terapii tak jakby stanęłam z boku i spojrzałam na siebie. Zobaczyłam, że dusiłam moją córkę tym swoim lękiem. Wszystko chciałam mieć pod kontrolą, zadawałam mnóstwo pytań. Psychoterapeutka któregoś razu spytała: „Chciałaby pani być na jej miejscu?".

Kiedy byłaś w stanie rozmawiać, opowiadać, wspominać?

Po mniej więcej roku. Co nie znaczy, że po roku jest łatwiej. Przeciwnie: po wspomnianej fazie amoku przychodzi świadomość, że to wszystko stało się naprawdę. Że nie dotkniesz, nie przytulisz, nie porozmawiasz. Nigdy.

I właśnie wtedy, po mniej więcej roku, wpadłaś na pomysł, żeby ten mazurski dom spełniał też rolę – jak go nazwałaś – Domu Dusz?

Moja świętej pamięci babcia – osoba głęboko wierząca – mawiała, że każdy ma swój krzyż. Ale też dodawała, że każdy może swoje cierpienia i zranienia komuś ofiarować. Albo swój ból zamknę w sobie, albo spróbuję go w coś przekuć.

W pewnym momencie zdałam sobie sprawę, że potrzebuję rozmowy z kimś, kto przeżył to samo. Znalazłam taką mamę – osiem lat po stracie. Tylko że ona nadal nie była w stanie rozmawiać.

Ja miałam potrzebę mówienia – ale też bycia dla innych kobiet, takich jak ja. Od roku przyjeżdżają tu do mnie matki po stracie. Ale nie jest to żaden „pensjonat żałobników" – w danym momencie goszczę tylko jedną osobę, w sumie była ich jak dotąd niecała dziesiątka. Taka wizyta trwa zwykle kilka dni, podczas wydłużonego weekendu – bo i ja, i moi goście muszą przecież wracać do pracy.

Jestem niezależna finansowo – to nie jest żaden biznes. Przyjmuję tylko podstawowy zwrot kosztów pobytu. Chcę pomagać. ↦

↦ **Dajesz przestrzeń. I tę rozumianą dosłownie – i metaforycznie.**

Tę pierwszą już trochę znasz. Tu się można schować, bo to duży dom. Leżeć w pokoju na górze. Spać. Ukryć się przed światem. I przez te kilka dni pobytu niczym się nie przejmować. Dosłownie niczym – ja ugotuję, zaniosę, utulę. Nie pytając, nie namawiając do niczego, nie oceniając. Ale też będąc gotową do rozmowy. Na równych prawach, bo nie jest to przecież żadna psychoterapia ani pomoc psychologiczna – nie mam do tego żadnych uprawnień.

Daję również, jeśli ktoś chce, przestrzeń do ruchu. Do spacerów. Możliwość pójścia nad jezioro, które jest niecałe dwa kilometry stąd. Byłyśmy tam niedawno z jedną mamą. Na początku bała się w ogóle wypływać. Miałyśmy cel, żeby jednak to zrobić, zwłaszcza że woda sprawiała jej przyjemność. Na końcu pobytu przepłynęła całe jezioro.

Nie wszyscy chcą ruchu. Każdy przeżywa ten czas na swój sposób. Im bliżej straty, tym większa niemoc fizyczna. Wyczerpanie. Czasami wygląda to tak, jakby ta kobieta, która do mnie przyjechała, przechodząc przez mój próg kończyła jakiś maraton.

Co jest za metą – za Twoim progiem?

Przestrzeń do żałoby. Do smutku, płaczu, niemocy. Bo bywa, że na to wszystko nie dajemy sobie przyzwolenia. Zwłaszcza gdy minie ten mityczny „rok żałoby", tak bardzo zakorzeniony w naszej świadomości. Niektórzy myślą, że po tych dwunastu miesiącach stajemy się w cudowny sposób, że tak powiem, „wyżałobieni". Nie stajemy się. Żałoby po dziecku, zresztą nie tylko po dziecku, nie da się tak po prostu przejść. Z nią się idzie – przez całe życie.

Bywa, że ludzie dookoła przyznają sobie prawo, by ci coś w sprawie twojej żałoby powiedzieć. „Twoja rozpacz zaczyna być patologiczna" – usłyszała od krewnego pewna bliska mi osoba. „Musisz już się trochę ogarnąć, minęło tyle czasu" – słyszą inni. Zwykle znajdzie się ktoś, kto ci powie tzw. dobre słowo; ktoś, kto myśli, że wszystko wie – choć nie wie nic, bo nie może wiedzieć.

Bywa też, że sami rodzice nie dają sobie pozwolenia na taką żałobę, jakiej potrzebują. Rozumiem to. Jak masz jeszcze inne dziecko lub dzieci, usiłujesz ze wszystkich sił nie poddać się do końca smutkowi. Chcesz przecież pozostałym dzieciom dać też siłę. Ale bywa, że nie możesz. Bo to jest najbardziej naturalny stan ducha po stracie. Nie wstaję. Nie idę. Nie robię. Matka, która ma więcej dzieci, robi wszystko, by się temu nie poddać. By iść dalej. A tutaj, u mnie na Mazurach – nie musi „iść dalej".

Nie rozumiem,
dlaczego tak się stało.
Nie akceptuję zdań typu:
„Wszystko jest po coś".
Nie, to nie było po coś.
Ale już się nie obwiniam.

Jak było z przyzwoleniem na Twoją żałobę?

Ja miałam i mam szczęście. Wspaniałą rodzinę, fantastycznego człowieka przy moim boku. Nigdy nie usłyszałam od niego: „Może już dość?".

A to nie jest wcale proste. Siadamy do obiadu, ja płaczę. Wstajemy rano, płaczę. Nie wszyscy są w stanie to wytrzymać.

Łatwiej jest między dwiema osobami, które przeżyły to samo?

Łatwiej – dlatego ten mój Dom Dusz ma sens. On jest dla kobiet takich jak ja. Mogą na mnie spojrzeć i powiedzieć: „Skoro jej się udało żyć, ja też mogę".

Chyba każda z nas potrzebuje namacalnego dotknięcia bólu innej, choć takiej samej kobiety jak ona. Przecież gdy ja mówię matce, która straciła swoje dziecko: „To się prędzej czy później ułoży", to ona wie, że w moich ustach nie ma to nic wspólnego ze sloganem: „Wszystko będzie dobrze". Chcę bardzo mocno podkreślić, o czym jest ta historia Domu Dusz.

O czym?

O wspólnocie. O jedności. O przyjaźni i dbaniu o siebie nawzajem. Kontaktujemy się ze sobą. Wysyłamy esemesy. „Byłaś już na tej jodze? Jeszcze nie? To już, natychmiast!". Bo tutaj chodzi też o to, żeby dać sobie pozwolenie na życie, na drobne przyjemności. Więc walczymy razem o takie momenty, przebłyski.

Wiadomo, że przed każdą z nas setki słabych dni. Ale nie jesteśmy w tym same.

A Ty, Joanno, masz takie momenty? Takie przebłyski?

To momenty związane z moim dzieckiem – zaraz opowiem ci o takiej chwili.

Ale najpierw chcę podkreślić: to nie muszą być dzieci. Jedna z zaprzyjaźnionych ze mną mam działa w fundacji na rzecz rodziców po stracie. Inna współorganizuje np. marsz rodziców, których spotkała ta tragedia. Jestem z nich dumna – znalazły sens w dawaniu czegoś ważnego innym ludziom.

A mój moment zdarzył się ponad miesiąc temu. Sadyba, piękna pogoda. Ćwiczę jogę, zaraz mam skończyć. I nagle, zupełnie mimowolnie, mówię do siebie, że chciałabym być babcią.

Zobaczyłaś siebie w przyszłości.

Osłupiałam z tego swojego wewnętrznego wykrzyku. I nie chodzi koniecznie o te wnuki – to mogą być one, ale też może być szczęśliwa córka spełniająca się w zupełnie inny sposób.

Przebłysków jest więcej. Albo inaczej: momentów, na które się czeka. Że przyjedzie bliski mi człowiek. Że sobie gdzieś razem pójdziemy. Że odwiedzi mnie córka.

To są momenty szczęścia?

Szczęścia jako permanentnego stanu nie będzie chyba nigdy. Choć moja znajoma psycholożka mówi, że są różne warianty szczęścia... Mam dziecko. Jestem otoczona kochającymi mnie osobami. Mam psy, które wyciągają mnie z domu.

I plany, także te związane z Domem Dusz. Chciałabym, by jak najwięcej kobiet wyjeżdżając stąd zabrało choć trochę z tego, co ja czułam po spotkaniu z ks. Bonieckim. Że była ważna. Że jej strata jest ważna. Że czuła się – jak mi napisała jedna z mam – jak w domu. I że istnieje przyszłość.

©℗ Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

▪ Kontakt z Joanną dla rodziców po stracie możliwy jest pod adresem: domduszdanowo@gmail.com

ARCHIWUM RODZINY KOWALSKICH

Tomek Kowalski na masywie Denali, Alaska, maj 2010 r.

Wietrzne odpoczywanie

BARTEK DOBROCH

Tomek Kowalski leżał na grani szczytowej Broad Peaku przez ponad 10 lat. Jego pochówek przywraca wiarę w wysokogórską etykę.

Wszystko odbywa się po cichu, jakby poza światem zewnętrznym, od którego świat gór oddzielają nadal jęzory lodowców. Tak jak robiono to niegdyś, zawsze, gdy na stokach najwyższych szczytów grzebano tych, którym nie dane było zejść w doliny.

Dopiero po powrocie z Pakistanu Rafał Fronia, organizator wyprawy, podaje informację o pochówku Tomasza Kowalskiego. Setki ludzi ślą wyrazy szacunku, bo uczynek niby zwykły, zapewniony przez prawo i kulturę każdemu, ale dokonany z niezwykłą bezinteresownością, wielkim wysiłkiem, a przede wszystkim w nadzwyczajnych okolicznościach – tam, gdzie wszystko, co na nizinach proste, staje się wyczynem. Jak mówi legendarny himalaista Wojciech Kurtyka: „Ujmującą skromność tej akcji, w czasach bezwstydnego uklepywania celebryckiego gówna, odczuwam jako dar, który daje żyć. To rodzaj osiągnięcia, za które oddałbym każde z moich sportowych osiągnięć" (źródło: portal wspinanie.pl).

Jednak już w pierwszych słowach opisu tego wydarzenia Fronia – himalaista, a także pisarz – tłumaczył na Facebooku, jakby pogrzeb wymagał w ogóle wyjaśnień: „Dlaczego? Zanim ktoś zada to pytanie, odpowiem: Tomek leżał na grani szczytowej Broad Peaku, na wysokości 8000 metrów, przez 10 lat, 4 miesiące i 13 dni. 3787 dni i 3787 nocy. Dziesięć najsurowszych na świecie zim".

Pierwszy pogrzeb Tomka

Cofnijmy się o wyliczony przez Fronię okres. 5 marca 2013 r., po pierwszym zimowym wejściu na Broad Peak, z czwórki himalaistów tylko dwóch wraca do namiotów. Ślad po Macieju Berbece ginie: jego zakopiański grób, a właściwie groby – ten wyrzeźbiony w pniu drzewa, stojący pod murem na Pęksowym Brzyzku i ten rodzinny, na Nowym Cmentarzu – są jedynie symboliczne. Doświadczony wspinacz dzieli los setek himalaistów, których ciał nigdy nie odnaleziono.

Wyczerpany Tomek Kowalski zasypia na linach poręczowych podczas zejścia z Rocky Summit, przedwierzchołka ↦

↦ Broad Peaku. Na wysokości prawie 8000 m, w skalnym kominku, którego w drodze na szczyt nie sposób ominąć. Latem tego samego roku na jego ciało natrafiają pakistańscy HAP-sowie – tragarze wysokogórscy zakładający liny poręczowe na skalnej grani – a następnie wspinający się po nich Austriacy. Przekazują zdjęcia i informacje bratu Berbeki, Jackowi, który z Jackiem Jawieniem w ramach pospiesznie zorganizowanej wyprawy poszukiwawczej idzie w kierunku szczytu. Chce odnaleźć ciała himalaistów. Zarówno dla obu Jacków, jak przede wszystkim dla przebywających w bazie pod szczytem najbliższych Kowalskiego oczywistym jest, że jego ciało nie może pozostać w miejscu, w którym się znajduje. Nie tylko wystawione na widok, ale wręcz narażone na przypadkowy dotyk, bo wszyscy wspinający się na szczyt muszą nad nim przechodzić.

Zadanie jednak nie jest łatwe: ciała, które zostały na wysokości, są najczęściej przymarznięte do podłoża, ciężkie od pokrywającego je lodu, zesztywniałe. Dwóch silnych himalaistów to za mało, w Karakorum tamtego dnia panuje w dodatku zawierucha przy dwudziestu kilku stopniach na minusie.

Berbeka i Jawień są w stanie jedynie opuścić Tomka ponad sto metrów niżej, na bardziej płaski teren na uboczu wydeptanej ścieżki. Owijają go, czym się da, także własną odzieżą, wiążą liną, zabezpieczają i przykrywają kamieniami. Tak wygląda pierwszy pogrzeb Tomka Kowalskiego. Jawień opowiada o nim w książce „Broad Peak. Niebo i piekło": „Nie mogliśmy ryzykować biwaku na przełęczy, bo powtórzylibyśmy historię. To była walka, żeby go stamtąd opuścić. W tym huraganie zajęło nam to z sześć godzin (...) Czasami ktoś pyta, dlaczego go nie znieśliśmy niżej. Ale ile niżej i gdzie niżej? I w zasadzie po co?".

Znieruchomiali na wieczność

Ostatnie pytanie brzmi uderzająco, ale pada od czasu pierwszych wysokogórskich pochówków. W zasadzie po co znosić ciała niżej, w doliny? Można pytanie jednak zadać odwrotnie: czemu tego nie robić? Zwłaszcza przy współczesnych możliwościach, ze śmigłowcami transportującymi ekipy szerpów i sprzęt do położonych wysoko obozów, a to wszystko dla spełnienia czyichś ambicji. Trudno rozstrzygnąć, czy właściwszą formą pochówku jest ten dokonany w górach, w pobliżu miejsca śmierci himalaisty, czy też ten po przetransportowaniu go do podnóża góry albo w jego rodzinne strony. Nawet wśród himalaistów nie ma tu zgody. W powszechnym odbiorze dominuje pierwiastek romantyczny: spoczął tam, gdzie chciał, w górach, które kochał. Choć kwestia dotyczy tylko gór najwyższych, nikt nie organizuje pogrzebów w szczelinach alpejskich lodowców, które także pochłaniają ofiary, a ostatnio coraz częściej – minionego lata w Austrii i Szwajcarii zdarzyło się to kilkukrotnie – topniejąc wydają na powierzchnię ciała tych, którzy zaginęli kilkadziesiąt lat temu.

Spotkania ze zmarłymi nie wyglądają raczej jak te z pięknej, lecz mało prawdopodobnej opowieści, którą Paul Auster wpisał w scenariusz „Dymu". Młody narciarz zjeżdżając samotnie w Alpach natrafia na zamarznięte w lodzie ciało ojca, który lata wcześniej zginął w lawinie. Syn jest teraz starszy niż ojciec w momencie śmierci. „Patrzy on na samego siebie martwego, a ciało jest nienaruszone, zamarznięte w bloku lodu, jak ktoś znieruchomiały na wieczność".

Baśniowa wizja nie wytrzymuje zderzenia z rzeczywistością usłaną ciałami tych, którzy spoczęli w strefie wiecznej zmarzliny. Jej konserwującym, wręcz mumifikującym właściwościom (musiały je znać starożytne ludy Andów dokonujące rytualnych pochówków na stokach tamtejszych wulkanów) przeciwstawiają się potężne, ścierające w pył nawet skałę, siły będących w wiecznym ruchu, a obecnie szybko odchodzących lodowców. Większość himalaistów nie romantyzuje górskiej śmierci i zwyczaj wysokogórskiego pochówku też nie ma romantycznych podstaw. Utrwalił się w przeszłości, gdy sprowadzenie ciał w doliny było trudne, a transport na niziny prawie niewykonalny. Zmarłych znoszono więc co najwyżej do podnóża góry, by pochować ich w jej otoczeniu, choć jednak w miejscu dostępnym dla tych, którzy chcieliby w przyszłości odwiedzać ich groby.

Najbardziej znanym tego typu miejscem jest znajdujący się u stóp K2 kopiec Gilkeya, usypany w 1953 r. przez kolegów zaginionego na drugiej najwyższej górze świata uczestnika amerykańskiej wyprawy. Wokół symbolicznego nagrobka, obrastającego z czasem pamiątkowymi tablicami innych ofiar wspinaczek na okoliczne szczyty, na trwałym, nieulegającym przesunięciu czy wytopieniu terenie, pojawiły się także prawdziwe groby. Najpierw zmarłego rok później Włocha Mario Puchoza, którego ciało koledzy znosili ponad tydzień, by złożyć je w szczelinie tuż pod kopcem. Jednak latem 2023 r. po dekadach od pochówku między skałami wyłaniają się fragmenty spoczywających pod nimi ciał. Choć jeden z obudowanych kamieniami grobów wyjątkowo dobrze opiera się wpływowi klimatu czy pojawiających się w okolicy zwierząt.

Ciężar ciała i decyzji

W 1982 r. złożono w nim zmarłą pod K2 Halinę Krüger-Syrokomską. Decyzję podjęła kierująca wyprawą kobiecą na ten szczyt Wanda Rutkiewicz, ale pomysł podsunął uczestniczący w równoległej męskiej wyprawie Bogumił Słama, który uzasadniał, że pochówek dokonany niżej da bliskim szansę na odwiedzanie grobu. W celu sprowadzenia w dół ciała koleżanki wyprawy przerwali nie tylko Polacy, ale też próbujący wcześniej reanimować himalaistkę Austriacy. To oni –

RAFAŁ FRONIA

Kopiec Gilkeya pod K2, czerwiec 2022 r.

jak pisze Anna Kamińska, autorka biografii Krüger-Syrokomskiej – „wkładają Halinę w śpiwór, otulają jej drobne ciało na potrzeby transportu matami, a na głowę wkładają hełm".

Pomimo surowych warunków czy ostrej faktury skał i lodu troska o nieczujące już ciało także w górach może być wyrazem szacunku. Dwudniowy kondukt możliwy był jednak tylko dzięki zaangażowaniu kilkunastu zmieniających się co chwilę himalaistów, w tym ratowników górskich wyćwiczonych w transporcie żywych i zmarłych. Pogrzeb zaś dzięki doświadczeniu osób takich jak Jerzy Kukuczka, który fedrować nauczył się w kopalni, czy Słama, pracujący kiedyś jako pomocnik grabarza. Możliwe było też to, co wyżej niemożliwe: złożenie kwiatów zerwanych na skraju lodowca, zatknięcie tablicy nagrobnej z pokrywy od garnka i krzyża.

Krzyż stanął już w lipcu 1939 r. na lawinisku na zboczach Tirsuli w Indiach, w którym śmierć ponieśli nieodnalezieni w nim pierwsi polscy himalaiści, Adam Karpiński i Stefan Bernadzikiewicz. Towarzysze sklecili go z kijów do znaczenia drogi na lodowcu. Lata później z podobnych bambusowych traserów powstanie krzyż zatknięty nad szczeliną, w której pochowano zmarłego w wyniku choroby wysokościowej podczas zimowej wyprawy na Kanczendzongę Andrzeja Czoka. Symbole te przetrwały tylko w materiale filmowym i na zdjęciach. A te z górskich pogrzebów Jana Franczuka na Kunyang Chhish i Stanisława Latałły na Lhotse odpowiadały na krzywdzące słowa Reinholda Messnera, że Polacy mają zwyczaj zostawiania ciał towarzyszy. Obaj spoczęli w lodowych grobowcach, pochowani przez kolegów.

Przez lata to na tych ostatnich spadał ciężar decyzji o miejscu i formie pochówku. Wraz z rozwojem łączności zapada ona zwykle po konsultacji z rodziną lub wedle jej wskazań. Gdy w 2009 r. na Dhaulagiri zmarł Piotr Morawski, żona himalaisty zdecydowała, by ciało spoczęło w szczelinie: przerażała ją wizja trwających tygodniami konduktów, procedur, identyfikacji, choć do miejsca tragedii mógłby dolecieć śmigłowiec, a pomoc w ściągnięciu zmarłego do kraju oferował konsul.

Artur Hajzer w dyskusji na jednej z górskich grup zastanawiał się, czy ciał himalaistów, którzy swoimi osiągnięciami budują dobry piar kraju, nie powinno się sprowadzać tak jak ciał żołnierzy poległych na misjach. Himalaista, organizator akcji ratunkowej po Andrzeja Marciniaka w 1989 r. (jedynego ocalałego z lawiny pod Everestem, w której zginęło pięciu polskich wspinaczy), 20 lat później nawiązywał do głośnej wówczas sprawy sprowadzenia ciała zamordowanego przez talibów geologa: „Można się zastanowić, czy gdyby to się stało dzisiaj, to czy polskie państwo ściągnęłoby zwłoki pięciu himalaistów. Pracownik Geofizyki nie był ani w wojsku, ani przedstawicielem władz Polski, był na delegacji. Czy jemu się bardziej należało?".

Gdy jednak sam Hajzer w 2013 r., zaledwie cztery miesiące po Tomku Kowalskim, zginął w wypadku na Gaszerbrumie I, został pochowany w szczelinie lodowej w pobliżu miejsca, w którym partnerujący mu Marcin Kaczkan odnalazł ciało. Żona Iza skonsultowała się z mamą Artura, która stwierdziła, że tam przynajmniej nie będą go jadły katowickie robaki. Podczas pogrzebu Kaczkan połączył się telefonicznie z Izą, by mogła w nim w ten sposób uczestniczyć. Do szczeliny wraz z ciałem Hajzera wrzucono maskotkę Rosę, z którą się nie rozstawał – prezent od syna.

– Gdy ginie ktoś w obcym kraju, na przykład topi się w Egipcie, to państwa są zaangażowane, ambasady sprowadzają ciało, a góry to chyba jedyne miejsce, w którym się tego nie robi – mówi dziś dawny uczestnik kierowanego przez Hajzera programu Polski Himalaizm Zimowy Marek Chmielarski. – Zderzamy się jednak z zasadą, że jeżeli sprowadzenie ciała przerasta bezpieczeństwo członków wyprawy, to gra nie jest warta świeczki. Choć nic nie stoi na przeszkodzie, by wrócić tam w innym dogodnym terminie, składzie i warunkach.

Niepochowani i nieumarli

Polacy mają też na sumieniu pozbawione troski zachowania. Gdy w tym roku na stokach Nanga Parbat zmarł Paweł Kopeć, wobec trudnych warunków uniemożliwiających podjęcie dalszych działań jego ciało zostało na górze, ale niektórzy koledzy z wyprawy... pojechali zdobywać kolejny ośmiotysięcznik. Jeden ↦

↦ z nich, amator himalaizmu, deweloper z zawodu, kilka lat temu oburzył górską społeczność zamieszczając w facebookowej relacji z Lhotse zdjęcie napotkanych po drodze, anonimowych w jego mniemaniu zwłok czeskiego himalaisty. A zamarznięte ciała ludzi, którzy nie wrócili z wypraw, nie tylko nie są anonimowe, ale często wręcz łatwiejsze do identyfikacji niż ofiary wojen, zamachów, katastrof.

Nikt ze wspinaczy nie podpisuje zgody na bycie eksponatem w wirtualnej galerii. Tymczasem ośmiotysięczniki są cmentarzyskiem, na którym wciąż leży sporo niepochowanych ofiar. Przez lata ich ciała pełniły funkcję makabrycznego memento mori, ostrzeżeń dla zmierzających na szczyty czy, co gorsza, także punktów orientacyjnych. Do takiej roli przez lata sprowadzone były zwłoki Hannelore Schmatz, pierwszej kobiety, która poniosła śmierć na Evereście, czy też Green Boots – zielonych butów – jak bezimiennie określano zwłoki Tsewanga Paljora.

Do niedawna szacowano, że na samych stokach Everestu spoczywa ponad 200 niepochowanych ciał. Część z nich zniknęła za sprawą czynników naturalnych bądź chińskich porządków, które jednak nie przykładały wagi do godności pochówku. Większa dbałość o nią panuje po stronie nepalskiej, choć przez dziesięciolecia warunkowała ją wysokość i teren. Dziś, gdy śmigłowce potrafią wznieść się znacznie ponad 7000 m, ciała himalaistów transportowane są w doliny nawet kilka dni po śmierci i zgodnie z miejscowym zwyczajem kremowane. Tak było choćby w przypadku szwajcarskiego superalpinisty Uelego Stecka, pożegnanego w czasie ceremonii w położonym na szlaku pod najwyższe góry świata buddyjskim klasztorze w Tengboche.

Niepodlegająca narodowej czy kulturowej klasyfikacji znieczulica żywych – przeważnie animatorów i uczestników komercyjnych wypraw – czasem przypomina zmagania o najbardziej dosłowną egzemplifikację hasła „po trupach do celu". A czasem dotyka też nieumarłych, których – jak zamarzającego obok człowieka w zielonych butach Davida Sharpa – uznano za *effectively dead*. Podobnie jak niezauważone czy zignorowane umieranie Sharpa wyglądała tegoroczna śmierć pakistańskiego tragarza Mohammada Hassana na trawersie pod serakiem na K2. W drodze na drugi szczyt ziemi nad żywym jeszcze Pakistańczykiem przeszło stado himalaistów, wysokogórskich turystów i ich świty, wśród nich Norweżka Kristin Harila pędząca po rekord szybkości wejść na wszystkie ośmiotysięczniki na tlenowym dopingu. Uznali pomoc za niemożliwą, dlatego w drodze powrotnej przekraczali już pozostałe na poręczówkach ciało Pakistańczyka. Jego rodacy, pięciu wysokogórskich tragarzy wraz z dwoma przewodnikami z Austrii w 2007 r. wzięli udział w bezprecedensowej akcji transportu ciała Markusa Kronthalera, które zostało na ponad 8000 m pod Broad Peakiem. Dowiodła ona, że przy zaangażowaniu dużego zespołu nawet w najwyższych górach zniesienie zmarłego stanowi jedynie finansowe, logistyczne i techniczne wyzwanie.

> Celem było ściągnięcie Tomka z zasięgu ludzkich oczu, żeby nikt go nie filmował, nie robił zdjęć – **czasy mamy takie, że dla niektórych to atrakcja.**

– Przed wyjazdami wypełniamy często takie formularze: „W razie śmierci chcę, by moje ciało..." – opowiada Chmielarski, uczestnik funeralnej misji na Broad Peaku. – Ale gdy matka chce mieć grób syna blisko domu, nie ma co z tym dyskutować. Jeśli ciało nie wisi gdzieś np. w ścianie K2, w trudno dostępnym, niebezpiecznym miejscu. Dziś śmigłowce latają wysoko, to tylko kwestia pieniędzy.

Oraz woli rodziny.

Ostatni pogrzeb Tomka

Bliscy Tomka Kowalskiego chcieli pochówku pod niebem Karakorum. Choć propozycja Rafała Froni, siły zespołu i budżet wyprawy sfinansowanej ze środków PKOl zakładały transport do Polski. – Od razu powiedzieliśmy, że tego nie chcemy. Tomek ma zostać w górach – mówi jego mama, Alicja Kowalska. – W ogóle sobie nie wyobrażaliśmy, by Tomek spoczął pod ziemią. Dla mnie, gdy on tam jest, to w jakiś irracjonalny sposób ciągle jest.

Podobnie uważała Agnieszka, ówczesna dziewczyna Tomka. W miejscu, w którym się znajdował, nie miał jednak wiecznego odpoczynku. Najpierw ciało odbezpieczyła grupa Pakistańczyków szukających członków zaginionej irańskiej wyprawy. Potem inni wspinacze wzięli je za zostawiony dla nich depozyt.

Drugi pogrzeb Tomka Kowalskiego jest skromny. Pakistańczyk Karim Hayat, uczestnik tragicznej wyprawy z 2013 r., wynajęty przez rodzinę Kowalskich miał wsunąć ciało do specjalnie uszytego śpiwora-sarkofagu. Działając samotnie, w dodatku po zejściu ze szczytu, był w stanie tylko okryć Tomka i powiązać linami. Zima w Karakorum, jej niesamowite huragany sprawiły, że 9 lat później po materiale nie było już śladu.

O przebiegu trzeciego pogrzebu uczestnicy wyprawy nie chcą mówić więcej niż to, co można przeczytać w powyprawowym wpisie na FB Rafała Froni. Bo oni – to znaczy Fronia, Chmielarski, Grzegorz Borkowski, Jarosław Gawrysiak, Krzysztof Stasiak i Marcin Kaczkan – nie chcą być traktowani jak bohaterowie czy uczestnicy licytacji o to, kto zrobił dla Tomka więcej.

– My nie pojechaliśmy tam poprawić, zrobić lepiej, ale dokończyć pewną sprawę – podkreśla Chmielarski. Był w czteroosobowej grupie, która doszła do ciała Kowalskiego i dokonała pochówku. Dzieli się tylko osobistym przeżyciem: – Na miejscu byłem pierwszy i widząc już Tomka zalałem się łzami jak dziecko. Potem posiedzieliśmy wszyscy w ciszy, zadzwoniliśmy do Rafała, że jesteśmy przy Tomku i zaraz zaczniemy działać. Gdy chłopaki zajmowali się opakowaniem ciała, ja szukałem dogodnego miejsca i *de facto* wpadłem do szczeliny. Okazała się miejscem idealnym, odsuniętym od głównej ścieżki. Celem było ściągnięcie Tomka z zasięgu ludzkich oczu, żeby nikt go nie filmował, nie robił zdjęć, bo czasy mamy takie, że dla niektórych to jest atrakcja.

Opuścili ciało do szczeliny, odmówili nad nią, choć stosunek do Kościoła mają różny, „Wieczne odpoczywanie". Zadbali, by słowa modlitwy stały się ciałem. A wszystko to w święto muharram, islamski Nowy Rok: wymiar ludzki podniebnego pogrzebu wzniósł się nad tradycje religijne. Rafał Fronia pisze potem: „Tym, co łączy nas wszystkich, są godność i szacunek. I grań na 8000 metrów wcale nie jest tu wytłumaczeniem, by o tej godności i szacunku zapomnieć".

© BARTEK DOBROCH

WOODY OCHNIO / FORUM

Kondukt pogrzebowy w okolicy Kartuz, sierpień 1975 r.

Puste noce

DAWID GOSPODAREK

Niegdyś powszechny przejaw kaszubskiej pobożności, od połowy XX wieku zaczął zanikać. Dziś mówi się o jego odtworzeniu – po to, by łatwiej było radzić sobie ze stratą.

Zaczynało się po zmroku. W największym pokoju ustawiona otwarta trumna, za nią mały ołtarzyk, zapalone świece, wieńce. Zmarłemu złożone ręce opleciono różańcem, w trumnie znaleźć się mogła książeczka do nabożeństwa czy inne rzeczy, które lubił lub używał, np. tradycyjna kaszubska tabaka czy talia kart chętnie wykorzystywana do kaszubskiej gry w Baśkę. Wokół rodzina i sąsiedzi, przychodziła cała wioska, niektórzy przyprowadzali dzieci. Zasłonięte lustro i okna, zegar zatrzymany na godzinie śmierci.

– Całą noc siedzieliśmy i śpiewaliśmy. Aż do rana. Pierwsze „Kto się w opiekę". Odmawialiśmy też części różańca. Koło pierwszej w nocy była przerwa na poczęstunek. Dawali domowe jedzenie, była czarna kawa z cukrem, zawsze drożdżówka – opowiada Anna Szreder z Masłowic na Kaszubach. – I sznaps był, pili wódkę. Noc długa, a śpiewać było trzeba. Kiedyś śpiewano na zmianę, po zwrotce kobiety i mężczyźni. Rano trzeba było się umyć, ubrać na pogrzeb, a potem do kościoła. A szło się za trumną aż osiem kilometrów i całą drogę się jeszcze śpiewało. Nasza wioska była śpiewająca, wszyscy pięknie śpiewali. Teraz już tego nie ma.

Opis obrzędu pustej nocy, pamiętanej przez starszych Kaszubów jako zwyczaj powszechny, można znaleźć w opracowaniach XIX-wiecznych badaczy. Stanowi prawdopodobnie „ochrzczoną" wersję przedchrześcijańskich rytuałów czuwania przy zmarłym, na co wskazują pozostałości zabobonnych elementów. Na Kaszubach do początku XX w. wierzono w wampiry i praktykowano prewencyjne zwyczaje ochronne, z których najbardziej radykalnym było obcięcie głowy podejrzanemu o wampiryzm zmarłemu i złożenie jej u jego nóg.

Niektórzy uważają, że świadectwem przedchrześcijańskich korzeni pustych nocy jest także sama wódka, przez którą zresztą kościelna hierarchia zakazywała niegdyś uczestnictwa w tych ludowych obrzędach duchownym, którym zdarzały się gorszące przypadki nadużywania alkoholu. W znanej nam formie pusta noc na Kaszubach ukształtowała się w XVIII wieku.

Repertuar

Dawniej pieśni śpiewano z pamięci. Później zaczęły się pojawiać śpiewniki, które na Kaszubach cieszyły się fenomenalną popularnością. Jeden ↦

↦ z najważniejszych zbiorów wydał pod koniec XIX w. w Pelplinie ks. Szczepan Keller. Tzw. „Śpiewnik pelpliński", zawierający ponad 1100 polskich pieśni z XVII i XVIII w., a nawet średniowiecznych, dzięki reprintowi sprzed kilku lat znów cieszy się popularnością. W wielu domach znaleźć można jednak grube zeszyty ze spisanymi ręcznie pieśniami.

W „Śpiewniku pelplińskim" nie było zapisu nutowego, dzięki czemu nie wpływano na wypieranie z użycia lokalnych wariantów melodii. Do jednej pieśni, nawet w sąsiednich wioskach, mogło być ich kilka.

Kolejność i wariant melodyczny śpiewanych utworów wyznaczali prowadzący. Byli to głównie mężczyźni, świeccy lokalni liderzy pobożności. Cieszyli się dużym szacunkiem: często oprócz obrzędów pogrzebowych prowadzili też inne nabożeństwa wyznaczone okresem liturgicznym – różańce, majowe, gorzkie żale, godzinki.

Dawniej za prowadzenie śpiewów pustonocnych nie przyjmowano żadnego wynagrodzenia ani ofiary – wystarczył zastawiony stół. To był po prostu społeczny i pobożnościowy obowiązek.

Pieśni są literacko różnorodne. Wiele z nich to spolszczone łacińskie hymny liturgiczne, psalmy i inne utwory. Na Kaszubach w pogrzebowym repertuarze jest ich ok. 120, z czego podczas pełnej pustej nocy, ze względu na czasowe ograniczenia, wykonać można ok. 30. To często długie utwory, mające kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt zwrotek. Każdą pieśń, jak modlitwę, kończono słowem „Amen".

Podczas pustej nocy śpiewa się pieśni pokutne, żałobne, o męce Pańskiej i adresowane do patronów dobrej śmierci, zwłaszcza do Maryi. Ciekawe są pieśni dydaktyczne, traktujące o marności i skończoności życia oraz nieubłaganej konieczności śmierci. Niektóre z nich z katolicką doktryną o eschatologii związane są luźno, zawierają za to nawiązania do mitologii.

Śpiewający

W ostatnich latach wydano dwa śpiewniki na pustą noc – ks. prof. Jana Perszona i Sławomira Bronka, i nagrano także pustonocnych śpiewaków z różnych stron Kaszub. Zamiast pełnego obrzędu organizuje się godzinne śpiewanie – zdarza się, że do północy. Do dawnego repertuaru dochodzą nowe pieśni – czasem o dyskusyjnej wartości, jak „Panience na dobranoc" lub „Barka", a czasem utwory wysokiej kultury, ekumenicznie zaczerpnięte od ewangelików, jak „Rozpoznaj mnie Pasterzu" Bacha.

Nie zmienia się jednak przekonanie, że śpiewana modlitwa ma większą wartość niż recytowana, zgodnie z przypisanym św. Augustynowi powiedzeniem „Kto śpiewa, dwa razy się modli". Mówi się też, że śpiew naturalnie sprzyja skupieniu, bo gdy czuwa się nad tekstem i melodią, nie ma przestrzeni na rozproszenia.

Kaszubi, mimo że mają swój język, nabożne pieśni śpiewali po polsku. – Język kaszubski nigdy nie był językiem liturgii, uważano go za język codziennej komunikacji, dobry do pracy w polu, albo do targowania się w mieście, ale niekoniecznie służył modlitwie – opowiada Mateùsz Titës Meyer, młody kaszubski działacz, organista i nauczyciel języka kaszubskiego. – Do tego wiele pieśni, które śpiewa się na pustej nocy, to utwory dawne, znane szerzej w Polsce. Tradycyjne pieśni kaszubskie związane były raczej z pracą, relacjami damsko-męskimi, miłością. Takich o śmierci i przemijaniu nie było zbyt wiele. Co nie znaczy, że niektórych słów modlitw czy pieśni polskich nie przeinaczało się w wymowie tak, że brzmiały one po kaszubsku. Oczywiście, kaszubski był i nadal jest jedynym językiem komunikacji osób zebranych na pustych nocach, pomiędzy pieśniami czy modlitwami. Niektóre pieśni mają swoje kaszubskie nazwy, które padają, gdy ustalana jest kolejność śpiewów.

MICHAŁ SZLAGA / REPORTER

Śpiewnik do obrzędu pustej nocy. Sianowo, powiat Kartuzy, kwiecień 2005 r.

Rytuały pogrzebowe mają wielkie znaczenie dla żyjących, przeżywających żałobę. Nawet pomijając kwestie religijne – **pozwalają na skuteczne pożegnanie**.

Odchodzenie

Mateùsz Titës Meyer pamięta puste noce z dzieciństwa. – W tamtym czasie było dla mnie oczywiste, że po śmierci kogoś bliskiego wieczorami odmawiano w jego domu różaniec przy otwartej trumnie, a w ostatnią noc modlono się i śpiewano do rana, gdy ksiądz przyjeżdżał po ciało, by zabrać je z trumną do kościoła – opowiada. – Uczę w szkole podstawowej. Od kilku lat dostrzegam, że dzieci w wieku 10-14 lat nie są jeszcze oswojone ze śmiercią, z przemijaniem. Dla wielu to niezrozumiały i bolesny temat, który ciężko poruszać na lekcjach, choć jeszcze kilkanaście lat temu był to naturalny element życia, z którym kaszubskie dzieci oswajano od najmłodszych lat, tłumacząc im to w prosty, religijny sposób. Może to kwestia laicyzacji społeczeństwa?

Niegdyś powszechny przejaw kaszubskiej pobożności od połowy XX w. zaczął zanikać. Po pierwsze, coraz rzadziej umiera się w domach. Ciało trafia do szpitalnych kostnic, pogrzebem zajmują się profesjonalne zakłady. Obrzędy przenoszą się do cmentarnych kaplic czy kościołów.

– Jako organista od kilkunastu lat obserwuję, jak obcym dla ludzi jest uczestniczenie w pogrzebie – dodaje Mayer. – Coraz rzadziej odmawia się różaniec, mało kto uczestniczy aktywnie we mszach, w modlitwach. Ludzie nie potrafią odnaleźć się w najprostszych czynnościach związanych z przebiegiem liturgii, jak choćby siadanie czy klękanie we wskazanym momencie. Najlepiej, gdyby na wyświetlaczach poza tekstami pieśni,

których i tak ludzie nie śpiewają, wyświetlać instrukcje postępowania, jak dla publiki w programie telewizyjnym. No i nie zapomnijmy, że dawno już księża przestali przyjeżdżać do domów zmarłych po ciało. Pierwszą stację pogrzebową – w domu zmarłego, całkowicie się pomija.

Oswajanie

Pogrzebowe zwyczaje, choć ich głównym celem było zapewnienie zmarłemu wiecznego odpoczynku, miały pozytywny wpływ na lokalną społeczność. Wspólne przeżywanie zbliża, a dzięki ustalonym obrzędom łatwiej przeżyć żałobę.

– Rytuały pogrzebowe mają kolosalne znaczenie przede wszystkim dla żyjących, przeżywających żałobę, opuszczonych – wyjaśnia Jarosław Krawczak, psychoterapeuta. – Nawet pomijając kwestie religijne, zwyczaje okołopogrzebowe pozwalają na skuteczne pożegnanie. W swojej pracy często spotykam się z problemem niedokończonej żałoby. Było to szczególnie widoczne w czasie pandemii, kiedy wielu z nas nie miało standardowej możliwości pożegnania bliskich. Takie towarzyszenie zmarłemu stanowi dobrą okazję do pożegnania, przyjęcia faktu śmierci. Dzięki temu rozpoczynamy w naszej psychice proces wycofywania energii z wewnętrznego obiektu, z którym dotychczas mieliśmy żywą relację. Innymi słowy: pozwalamy mu odejść.

Jarosław Krawczak dodaje, że te tradycje stanowią też okazję do oswajania śmierci: – Konfrontujemy się z tym, że śmierć istnieje, jest blisko, dotyka nas. Oswajamy się z jej nieuchronnością. Orientujemy się, co jest ważne. Wszystkie troski dnia codziennego otrzymują niski priorytet. Zaczynamy doceniać i troszczyć się o wciąż żywe relacje. Pogrzeby i zwyczaje takie jak pusta noc budują wspólnotę żałobników, która dźwiga stratę przez obecność, modlitwę, śpiew. To poczucie jedności jest bardzo ważnym elementem towarzyszenia osobom, które doświadczyły straty. Smutek nie jest zły. Jest naturalny. Złe jest nieprzeżycie żałoby.

© DAWID GOSPODAREK

POŻEGNANIE

14 października po długiej chorobie zmarł w wieku lat 84

Stanisław Radwan

wybitny krakowski pianista i kompozytor, aktor i reżyser.

Legenda polskiego teatru, napisał muzykę
do przeszło 400 spektakli teatralnych i filmów.
W trudnych latach 1980–1990 dyrektor artystyczny i naczelny
Starego Teatru w Krakowie,
pracował z największymi reżyserami, m.in. Konradem Swinarskim,
Jerzym Grzegorzewskim, Andrzejem Wajdą, Jerzym Jarockim,
Zygmuntem Hübnerem, którzy jego wrażliwości
zawdzięczali kształt swoich dzieł.

Człowiek kochany przez wszystkich, filar Piwnicy pod Baranami,
erudyta, mistrz anegdoty i błyskotliwej konwersacji, obdarzony
subtelnym poczuciem humoru, przyjaciel czuły i pełen empatii.

Odznaczony m.in. Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski,
Złotym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”,
Nagrodą Miasta Krakowa.

Żonie Dorocie Segdzie i Rodzinie
najserdeczniejsze wyrazy współczucia składają

PRZYJACIELE Z WYDAWNICTWA ZNAK

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego”

REZERWUJ CZAS!

- **KRAKÓW,** piątek 27 października,
  spotkanie z Dariuszem Gzyrą, „Sztuka rozpamiętywania. Twórcze strategie upamiętniania pozaludzkich ofiar”,
  Piwnica Powszechna, ul. Pijarska 5/20, godz. 16.00
- **KRAKÓW,** sobota 28 października,
  spotkanie z Martą Sawicką-Danielak, „Ostatni Białystoker”,
  Piwnica Powszechna, ul. Pijarska 5/20, godz. 18.00
- **OGÓLNOKLUBOWE,** poniedziałek 30 października,
  spotkanie wokół książki Richarda Rohra „Uniwersalny Chrystus”,
  rozdział: „Chrystus to nie jest nazwisko Jezusa”,
  cykl „Wspólne czytanie” / online /

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

OFFICE CENTRAL DE LISIEUX

Teresa z Lisieux przebrana za Joannę d'Arc na zdjęciu zrobionym przez jej siostrę. 1894 r.

Święta Teresa nie jest mała

ARTUR SPORNIAK

Gdy w Polsce emocjonowaliśmy się wyborami, papież ogłosił jeden z najważniejszych dokumentów swojego pontyfikatu – adhortację w 150. rocznicę urodzin św. Teresy z Lisieux. Tylko pozornie jest to tekst okolicznościowy.

Jest świętą paradoksalną. Gdy sięgniemy do jej pism, uderzają dwie rzeczy: siła i głębia jej doświadczeń duchowych – oraz dziecinna infantylność języka, którym są opisywane. „Wiosenne dzieje małego białego Kwiatu, przezeń spisane i dedykowane..." – to nie początek pamiętnika dziesięciolatki, tylko pierwsza strona słynnego Rękopisu „A" (który wraz z Rękopisami „B" i „C" został pierwotnie opublikowany pod tytułem „Dzieje duszy"), napisanego przez wówczas 22-letnią kobietę, karmelitankę Teresę od Dzieciątka Jezus i Świętego Oblicza, która dwa lata później umrze na gruźlicę. „Lilie", „róże", „stokrotki" i „fiołki" przewijają się przez karty tej niezwykłej autobiografii i mogą zniechęcić mniej wytrwałych. Zagadka wyjaśnia się, gdy przyjrzymy się życiorysowi Teresy Martin, a zwłaszcza jej dzieciństwu.

Rodzi się w rodzinie, której miało nie być, zarówno bowiem ojciec, jak i matka chcieli wstąpić do zakonu: na przeszkodzie Ludwikowi stanie brak znajomości łaciny, Zelii – zdrowie. Zanim doczekają się dzieci, przez rok żyją jako białe małżeństwo. Po 19 latach związku, w 1877 r. Zelia umiera na raka piersi. W 2015 r. oboje zostaną kanonizowani przez Franciszka.

Teresa stanie się ukochanym beniaminkiem rodziny – rodzi się 2 stycznia 1873 r. jako ostatnie, dziewiąte dziecko. Tylko pięć sióstr dożyje wieku dorosłego – wszystkie wstąpią do zakonu. Pobożna rodzina żyje sprawami Kościoła, a Kościół wówczas zamyka swoje podwoje przed dynamicznie zmieniającym się światem – Pius IX w 1864 r. potępia nowoczesność w encyklice „Quanta cura", dołączając do niej słynny „Sylabus błędów", a sześć lat później na Soborze Watykańskim I ogłasza dogmat o nieomylności papieża. Dla rodziny Martin ideałem bezpiecznego życia jest życie zakonne. Teresa pisze później o Jezusie jako tym, który uratował ją przed światem („W swej miłości chciał uchronić swój mały kwiat od trucizny powietrza, w którym żyje świat").

Dziecinny język, który nie mógł dojrzewać z powodu braku kontaktu Teresy z pozakościelną rzeczywistością, w miarę jej rozwoju duchowego pozwolił wyrażać odkrywane przez nią i doceniane coraz bardziej dziecięctwo duchowe. W związku z tym się utrwalił. Sami jed-

nak infantylizujemy tę świętą, z uporem nazywając 24-letnią kobietę „Małą Tereską” (papież czyni to w adhortacji 26 razy).

W wieku 15 lat Teresa uzyskuje dyspensę (prosi o wsparcie samego papieża Leona XIII) i w 1888 r. trafia do Karmelu w Lisieux. Jak się okaże, nie będzie to najlepsze miejsce, które by sprzyjało rozwojowi osobowości. Teresa trafia na autorytarną przełożoną – matkę Marię Gonzagę, przy spotkaniach z którą musi całować ziemię. Wtedy uważano to za gest ćwiczący pokorę, dziś byśmy powiedzieli o łamaniu ludzkiej godności. Podobnie surowość relacji wewnątrzklasztornych postrzegano w kategoriach ascezy. Miłość bliźniego w postaci wrażliwości na drugiego człowieka nie była ceniona.

Mimo że mieszkankami tego klasztoru są także trzy starsze siostry Teresy – „ukochana Paulina”, Maria i Celina – nie dostrzegają one symptomów śmiertelnej choroby u najmłodszej z rodzeństwa. Teresa z właściwą sobie ironią skomentuje jedną z wizyt doktora: „Sławny dr de Cornière, któremu miałam przyjemność być przedstawiona wczoraj w rozmównicy... zaszczyciwszy mnie spojrzeniem, zadecydował, że dobrze wyglądam”. Jednak wszystko, co inną, słabszą istotę prowadziłoby do osobowej destrukcji, Teresę pcha w stronę Boga.

Choroba będzie się rozwijać przez siedemnaście miesięcy. Karmelitanka trzy miesiące będzie unieruchomiona w łóżku. Agonia potrwa trzydzieści siedem godzin. Wcześniej Teresa doświadczy dodatkowo straszliwej „nocy ducha” – nieznośnych religijnych wątpliwości i oschłości duchowej. Umiera 30 września 1897 r. w Lisieux. Sto lat temu zostaje beatyfikowana, dwa lata później następuje jej kanonizacja. W 1997 r. Jan Paweł II ogłasza ją Doktorem Kościoła (gdy na początku lat 30. XX wieku proszono o to Piusa XI, odpowiedział: „*sexus obstat*” – „płeć przeszkodą”).

Warto zauważyć, że ów Doktor Kościoła w żeńskim habicie całe życie marzył o święceniach kapłańskich. To marzenie było tak silne, że tuż przed śmiercią Teresa tłumaczyła siostrze Paulinie, iż Jezus ją specjalnie tak szybko zabiera, by nie cierpiała, przekroczywszy 25. rok życia, dopuszczający wówczas do święceń. Dlatego dzisiaj patronuje osobom domagającym się święceń dla kobiet.

Papieski program

Gdyby Franciszek zamierzał jedynie uczcić okrągły jubileusz urodzin popularnej francuskiej świętej, ogłosiłby kilkustronicowy list przypominający jej życiorys i dzieje kultu. Znalazłoby się w nim zapewne parę zdań, które mogliby cytować jego następcy przy kolejnych jubileuszach. Tymczasem otrzymaliśmy 23-stronicowy tekst, któremu papież nadał doktrynalną rangę adhortacji. To pierwszy argument za tym, że mamy do czynienia z ważnym wydarzeniem.

Kolejne argumenty odnajdziemy w miarę lektury. Już na początku pojawia się postać św. Franciszka. Wiemy, jak istotny w myśleniu o Kościele jest on dla papieża. I właśnie Biedaczyna z Asyżu wymieniany jest obok św. Teresy z Lisieux. „Mała Tereska jest jedną z najbardziej znanych i kochanych świętych na całym świecie. Tak jak św. Franciszka z Asyżu, kochają ją zarówno chrześcijanie, jak i niewierzący” – zauważa Bergoglio. Szczególność jej drogi życiowej przekracza nie tylko konfesyjne granice, ale w ogóle samą religijność – dzięki niej możemy dotrzeć do ważnych dla wszystkich źródeł człowieczeństwa. Dlatego Teresa jest dla papieża tak wyjątkowa.

Franciszek porównuje karmelitankę z Lisieux jeszcze tylko z jednym świętym – czyni to na końcu dokumentu i to zestawienie ma już inny charakter. Teresa tym razem przeciwstawiona jest Tomaszowi z Akwinu – oboje zostali Doktorami Kościoła, ale wkład św. Tomasza jest zdaniem papieża „analityczny”, a św. Teresy „syntetyczny”. O co chodzi?

Religijny geniusz

Ostatni, czwarty rozdział adhortacji – zatytułowany znacząco „W sercu Ewangelii” – Franciszek rozpoczyna nawiązaniem do swojego programowego dokumentu z początku pontyfikatu. „W adhortacji apostolskiej »Evangelii gaudium« położyłem nacisk na zachętę do powrotu do świeżości źródła, do podkreślenia tego, co istotne i niezbędne – przypomina i dodaje: – Uważam za stosowne ponownie podjąć i zaproponować to zaproszenie”. To wyjaśnienie, po co powstała najnowsza adhortacja. A św. Teresa z Lisieux bardzo nadaje się na przewodniczkę po tym, co najważniejsze.

Zamknięta w młodych latach pod kloszem przez nadopiekuńczą rodzinę; pozbawiona normalnych, ciepłych relacji w surowym klasztorze, nastawiona lękowo do świata przez Kościół, który w drugiej połowie XIX wieku na nowoczesność reaguje zwieraniem szeregów; nie mając dostępu do wiedzy teologicznej (formacja w klasztorze była kiepska, Teresa może tylko marzyć o studiowaniu hebrajskiego i greki, by móc w oryginale czytać Biblię, ponieważ irytują ją różnice w tłumaczeniach), młoda zakonnica całkowicie skupia się na Bogu.

Jej niezwykła religijna intuicja w połączeniu z silną i dynamiczną osobowością szybko doprowadza do erupcji duchowego doświadczenia. Teresa odkrywa proste, ale głębokie prawdy z oczywistością, która do dziś robi wrażenie na czytelnikach jej zapisków spisywanych na polecenie zakonnych przełożonych.

Niewątpliwie robi wrażenie także na papieżu. „Istotnie, szczególny wkład, jaki Mała Tereska daje nam jako Święta i jako Doktor Kościoła, nie jest analityczny, jak mógłby być, na przykład, wkład św. Tomasza z Akwinu – zauważa Franciszek. – Jej wkład jest raczej syntetyczny, ponieważ jej geniusz polega na doprowadzeniu nas do centrum, do tego, co istotne, do tego, co niezbędne. Swoimi słowami i osobistą drogą życia pokazuje, że chociaż wszystkie nauki i normy Kościoła mają swoje znaczenie, swoją wartość, swoje światło, niektóre z nich są pilniejsze i bardziej konstytutywne dla życia chrześcijańskiego. To właśnie tam Teresa skoncentrowała swoje spojrzenie i serce”. Co jest zatem niezbędne?

Duchowe odkrycia

Francuski tytuł adhortacji „C’est la confiance” nawiązuje do słów św. Teresy: „Tylko ufność i nic innego jak ufność powinna nas prowadzić do Miłości”. To jedno z jej duchowych odkryć. Komentując je, Franciszek zauważa: „słowa te streszczają geniusz jej duchowości i mogłyby wystarczyć za uzasadnienie, dlaczego została ona ogłoszona Doktorem Kościoła”.

Jej największym (i najprostszym) duchowym odkryciem jest słynna „mała droga” do świętości: uświadomiwszy sobie, że nic nie może uczynić, ↦

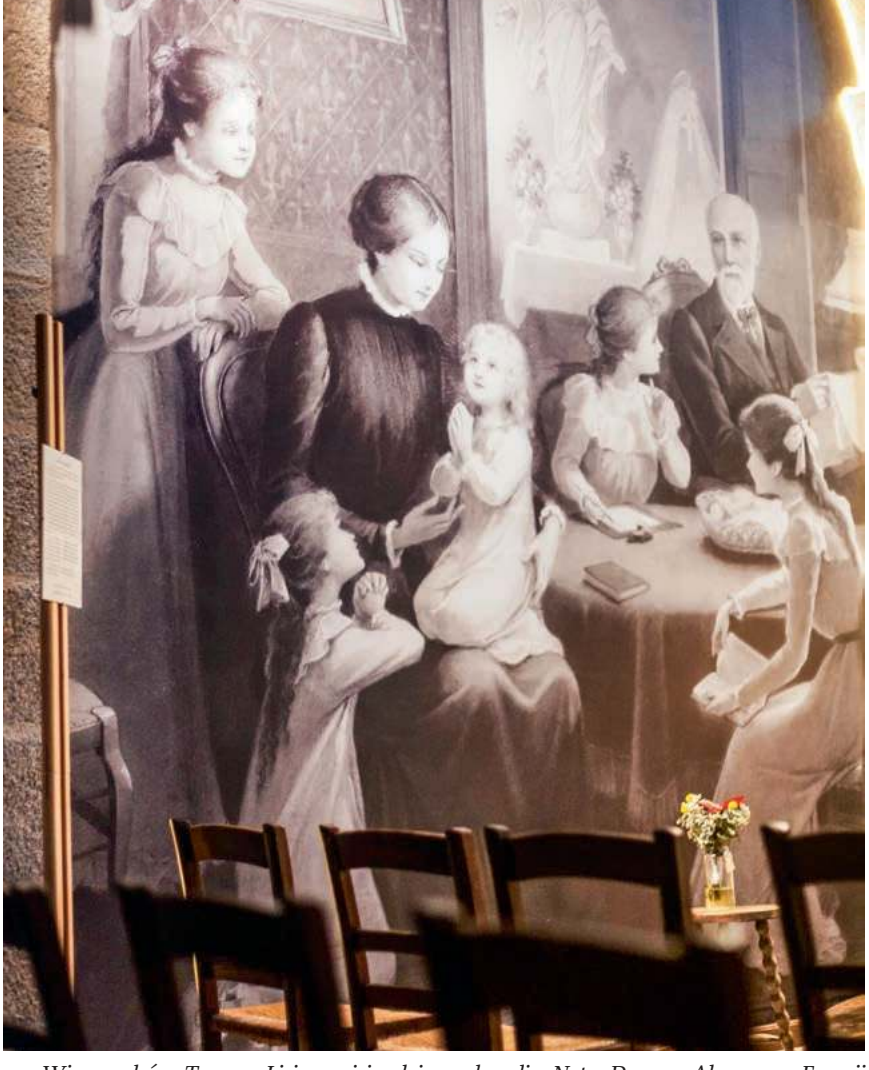

NELLY ROSS / ALAMY / BE&W

Wizerunek św. Teresy z Lisieux z jej rodziną w bazylice Notre-Dame w Alençon we Francji

↦ co przybliżałoby ją do świętości, postanowiła całkowicie zdać się na miłosierną miłość Boga – to Jezus będzie tą windą, która zabierze ją do nieba. Im bardziej będzie bezradna, tym bardziej Bóg będzie aktywny. W pewnym sensie tym podejściem „szachowała" Pana Boga. „Jej bezgraniczne zaufanie dodaje odwagi tym, którzy czują się krusi, ograniczeni, grzeszni, by pozwolili się poprowadzić i przemieniać, aby mogli osiągnąć wyżyny" – komentuje papież.

Prawdopodobnie na to duchowe odkrycie wpływ miało doświadczenie sprzed wstąpienia do zakonu, gdy Teresa gorąco modliła się o Boże miłosierdzie dla potrójnego mordercy Henriego Pranziniego. Była przekonana, że Bóg może przebaczyć mu w ostatniej chwili „nawet jeśli nie wyspowiadałby się ani nie okazałby aktu jakiejkolwiek skruchy". Jak się potem dowiedziała, przestępca w ostatnim momencie chwycił krucyfiks i go trzykrotnie ucałował.

Adhortacja przytacza słynny fragment z autobiografii świętej, w którym Teresa zastanawia się nad swoim powołaniem. Komentując 12. rozdział Pierwszego Listu św. Pawła do Koryntian, w którym pojawia się metafora wspólnoty jako ciała i jego członków, karmelitanka pisze, że odczuwa w sobie wiele powołań i nie umie wybrać. „Zrozumiałam, że skoro Kościół jest ciałem złożonym z różnych członków, to nie brak mu najbardziej niezbędnego, najszlachetniejszego ze wszystkich: zrozumiałam, że Kościół posiada Serce i że to Serce płonie Miłością. Zrozumiałam, że jedynie Miłość pobudza członki Kościoła do działania i gdyby przypadkiem zabrakło Miłości, Apostołowie przestaliby głosić Ewangelię, Męczennicy nie chcieliby przelewać krwi swojej... Zrozumiałam, że Miłość zamyka w sobie wszystkie Powołania, że Miłość jest wszystkim, obejmuje wszystkie czasy i wszystkie miejsca!... jednym słowem – jest Wieczna!... Zatem, uniesiona szałem radości, zawołałam: O Jezu, Miłości moja... nareszcie znalazłam moje powołanie! Moim powołaniem jest Miłość!... Tak, znalazłam swoje miejsce w Kościele, a to miejsce, mój Boże, Ty sam mi ofiarowałeś: w Sercu Kościoła, mojej Matki, będę Miłością!... W ten sposób będę wszystkim... W ten sposób moje marzenie zostanie spełnione!!!".

Sposób na kryzys Kościoła

Papież znamiennie to komentuje: „Nie jest to serce Kościoła triumfującego, jest to serce Kościoła kochającego, pokornego i miłosiernego". W tej „radykalnej opcji" i „ostatecznej syntezie" św. Teresy widzi sposób na kryzys Kościoła: „Takie odkrycie serca Kościoła jest wielkim światłem także dla nas dzisiaj, abyśmy nie gorszyli się ograniczeniami i słabościami instytucji kościelnej, naznaczonej ciemnością i grzechami, i abyśmy weszli w serce płonące miłością, które zostało rozpalone w dniu Pięćdziesiątnicy przez dar Ducha Świętego. Jest to serce, którego ogień jest nadal rozpalany przez każdy nasz akt miłosierdzia".

Akty miłosierdzia sprawiają, że w Kościele tli się życie. Nie rozumieją tego ci, którzy życie religijne postrzegają jako drobiazgowe wypełnianie 2865 punktów Katechizmu Kościoła Katolickiego. Franciszek przypomina to, co już napisał w swojej pierwszej programowej adhortacji: „Nie wszystko jest równie centralne, ponieważ istnieje porządek lub hierarchia między prawdami Kościoła, a »odnosi się to zarówno do dogmatów wiary, jak również do całości nauczania Kościoła, łącznie z nauczaniem moralnym«. (...) Ostatecznie liczy się tylko miłość".

Można powiedzieć, że na szczegółowe pytania-pułapki dotyczące zmian w doktrynie, stawiane papieżowi przez jego doktrynalnych przeciwników (przykładem niedawne dubia sformułowane przez pięciu kardynałów), Franciszek odpowiada w tym dokumencie: idźcie drogą św. Teresy, na pewno nie zbłądzicie i choć nie otrzymacie szczegółowych odpowiedzi, wasze wątpliwości zostaną rozwiane. Dlatego papież uważa francuską karmelitankę za świętą na nasze czasy. Bowiem „w chwili powikłań ona może pomóc nam odkryć na nowo prostotę, absolutny prymat miłości, zaufania i powierzenia się Bogu, przezwyciężając legalistyczną logikę etyki, która wypełnia życie chrześcijańskie obowiązkami i nakazami oraz zamraża radość Ewangelii".

©℗ ARTUR SPORNIAK

WOJCIECH

Bonowicz: *Początek*

Czy to da się skleić, pytacie. Da się, odpowiadam bez wahania. Nie wszystko ze wszystkim, nie każdego z każdym, ale owszem – da się.

Wiem, obiecałem pisać o poezji. I o poezji też będzie. Teraz jednak muszę napisać o zaskoczeniu. Zaskoczeniu, nadziei i... lęku. Jak wiadomo, choćby z tych felietonów, jestem zasadniczo dobrego zdania o ludziach w ogóle, a o ludziach, wśród których żyję, w szczególności. Kiedy pytano mnie o frekwencję w nadchodzących wyborach, odpowiadałem, że pewnie wyniesie 65, może nawet 67 procent. Większość kiwała głową z politowaniem: „No to jesteś optymistą". Przypominam ten nastrój: jeszcze kilka tygodni temu nie wierzyliśmy, że do urn pójdzie więcej osób niż podczas ostatnich wyborów prezydenckich. Już zbliżony wynik, mówiliśmy, będzie sukcesem. Ożywiły się profrekwencyjne kampanie, ale walczono tak naprawdę o kilka procent – 70 wydawało się sufitem nie do przebicia. Okazało się, że wcale siebie nie znamy, nie doceniamy własnych możliwości.

Zatem nadzieja... Mamy powody do nadziei, zresztą nie po raz pierwszy w najnowszej historii. Nawet ci z nas, którzy są zdystansowani wobec tego, co tłumne, odczuli dumę, że lokale wyborcze szturmowały tłumy. Opowieści o tym, że nie sposób poruszyć śpiącego olbrzyma, okazały się nietrafione. Olbrzym – zmęczony, zniechęcony – przebudził się jednak. Mówi się, że jesteśmy społeczeństwem generalnie nieufnym. Bywa jednak i tak, że nieufność działa jak pobudka. „Nie śpij, bo cię przegłosują" – to hasło wyświetlało mi się wielokrotnie w miesiącach poprzedzających wybory. Ale nieufność miała też inny, głębszy wymiar. Od dłuższego czasu większość z nas miała poczucie, że coraz bardziej pogrążamy się w nieprawdzie: to, co mówili rządzący, wyraźnie rozmijało się z tym, co widzieliśmy. Nawet ci, którzy rząd wspierali, przyznawali, że coś jest nie tak. Nie przypadkiem w komentarzach przywoływano lata 70. ubiegłego wieku, epokę „małej stabilizacji", która okazała się wstępem do wielkiego kryzysu.

Nadzieja to coś rzeczywistego i kruchego jednocześnie. Zawsze podąża za nią lęk i podkłada jej nogę. Lęk nie pozwala nadziei się zapomnieć, gasi jej entuzjazm, przekonuje, że dojrzałe winogrona tak naprawdę są kwaśne. I tym razem nie jest inaczej. Czy rządzący zechcą oddać władzę? A jeśli zechcą, to czy zrobią to sprawnie, czy też będą przedłużać niezbędne procedury? I czy ci, którzy w końcu władzę przejmą, zajmą się naprawianiem tego, co popsute, czy może zajmą się sobą? Lęk także wyrasta z nieufności, którą zasiały w nas wcześniejsze doświadczenia. Jest to dla nadziei moment próby. Próba cierpliwości jest dla społeczeństw jedną z najtrudniejszych.

Co dzień rano czytam jeden, czasem dwa wiersze. Nie mają one związku z tym, co się dzieje, także z tym, o czym tu piszę. Robię to, bo lubię to robić, bo potrzebuję tego. Chodzi o inne ustawienie dnia. To bardzo ważne, żebyśmy w takich momentach, kiedy nasza cierpliwość jest poddawana próbie, potrafili oprzeć się presji czasu. Świat, w którym żyjemy, jest tak skonstruowany, żeby nas nieustannie szantażować jego upływem. To prawda, że niektóre sprawy nie mogą czekać. Niecierpliwość jest jednak złym doradcą.

Wracam do pytania, od którego zacząłem. Każdy, kto w dzieciństwie kleił modele, wie, że najgorsze było oczekiwanie, kiedy klej wreszcie zaschnie. Klejenie porozdzieranej całości będzie bardzo trudne. Trwać będzie zapewne dłużej niż polityczna transformacja. I będzie wiele sił, które nadal będą działać rozdzierająco. Musimy uzbroić się w cierpliwość. Okazuje się, że jest coś, co nas łączy, nawet z tymi, którzy mają zupełnie odmienne poglądy od naszych: łączy nas wiara, że konflikty można rozwiązywać przy urnach wyborczych. Lęk podpowiada, że to zbyt mało. Nadzieja – że jest od czego zacząć. ©

REKLAMA

kp

IRLANDIA WSTAJE Z KOLAN

Książka, która daje nadzieję.

Marta Abramowicz zabiera nas w podróż do Irlandii, abyśmy zobaczyli, że zmiana jest możliwa.

wydawnictwo.krytykapolityczna.pl

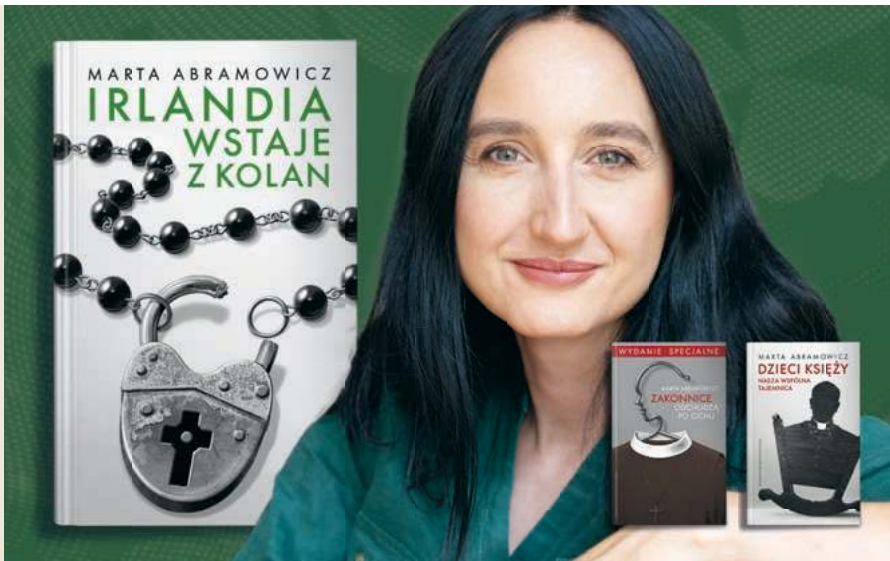

BEZDZIETNI AZJACI

Najmniej dzieci rodzi się dziś na Dalekim Wschodzie. Jak sobie z tym radzą Japonia czy Korea Południowa?

PIOTR BERNARDYN Z TOKIO

Zoddali widok nie przykuwa uwagi: ot, dorosły człowiek pcha wózek ze swą pociechą. Z bliska jednak, gdyby zajrzeć do wózka, często okaże się, że zamiast dziecka znajduje się w nim piesek, a czasem dwa. Nierzadko zwierzę ubrane jest stosownie do płci, a opiekun rozmawia z nim jak rodzic z dzieckiem.

Komuś spoza Japonii taka scena może kojarzyć się z gatunkiem *science fiction* czy groteską. Jednak na ulicach japońskich miast są one codziennością – i kolejnym symptomem zjawiska, jakim jest wyjątkowo niska dzietność tutejszego społeczeństwa.

Statystyka jest brutalna: w 2022 r. w Japonii urodziło się 770 tys. dzieci, najmniej w najnowszej historii kraju, zmarło zaś Japończyków dwukrotnie więcej. Populacja liczy niecałe 125 mln, czyli bli-

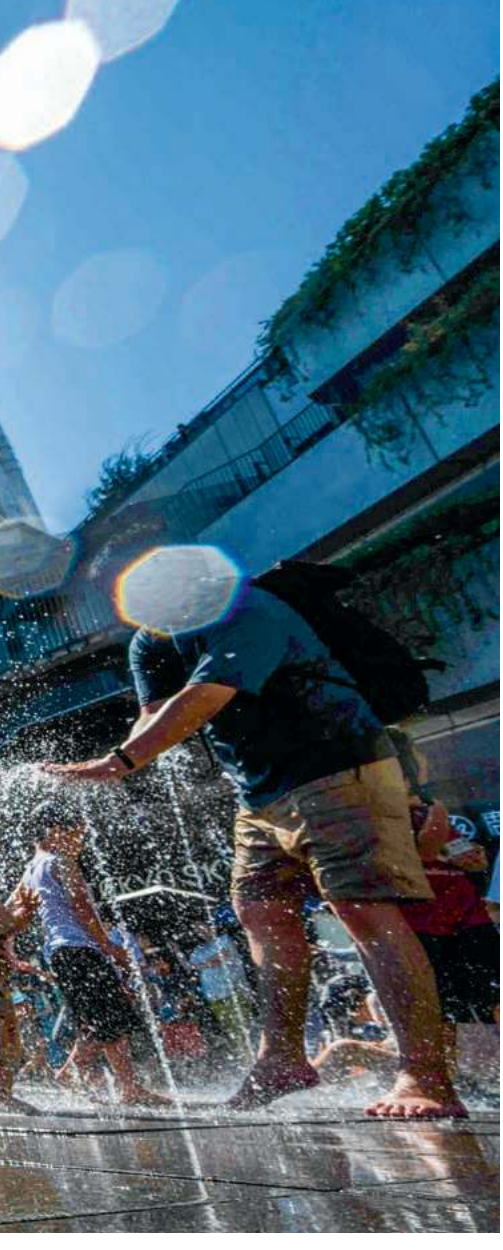

RICHARD A. BROOKS / EAST NEWS

Fontanna miejska przy wieży telewizyjnej Tokyo Skytree, lipiec 2023 r.

sko 3 mln mniej niż w 2017 r., od kiedy jej liczebność zaczęła regularnie spadać. Przy obecnej dzietności – na poziomie 1,26 dziecka na kobietę – do końca wieku XXI liczba Japończyków zmaleje o ponad połowę. Już teraz są drugim najstarszym społeczeństwem na ziemi, zaraz po księstwie Monako.

Teraz albo nigdy

Dramatyzmu sytuacji nie kryją rządzący. „Japonia znalazła się na krawędzi możliwości funkcjonowania jako społeczeństwo" – mówił niedawno premier Fumio Kishida, zapowiadając nowy program walki o przyrost naturalny. Jego szczegóły mają być znane pod koniec roku. Wiadomo już, że przewiduje potężny zastrzyk finansowy – równowartość dodatkowych 100 mld złotych rocznie – na subsydia dla żłobków i przedszkoli oraz na granty edukacyjne i wsparcie polityki pronatalistycznej. Mówi się też o kampaniach społecznych zachęcających do rodzicielstwa oraz o możliwości skracania czasu pracy dla rodziców małych dzieci.

Dziś w Japonii przysługuje co najmniej rok urlopu macierzyńskiego lub ojcowskiego oraz comiesięczne świadczenie na dziecko do 15. roku życia (o równowartości od 300 do 450 zł, zależnie od wieku). Ma ono zostać wydłużone o trzy lata, do pełnoletności. Zniknie też obowiązujące dziś kryterium dochodowe dla rodziców.

Politykę rządu uzupełniają władze lokalne. Najszczodrzej na wyludniającej się prowincji, gdzie rodzina z małymi dziećmi może otrzymać mieszkanie, auto czy po prostu gotówkę do ręki. Z kolei w Tokio gubernator Yuriko Koike zapowiedziała wypłatę świadczeń dla każdego mieszkańca do 18. roku życia (o równowartości 150 zł miesięcznie).

„Teraz albo nigdy!" – mówił Kishida, anonsując swoje projekty. Nawiązuje tym do ostrzeżeń części demografów, że jeśli trend dzietności nie odbije w górę do roku 2030 – tj. w okresie, gdy w wieku rozrodczym pozostawać będą dość liczne pokolenia lat 80. i 90. – to potem zapaść stanie się nieodwracalna.

Jak przekonać elektorat?

Z sondaży wynika jednak, że trzy czwarte Japończyków już dziś wątpi w sukces rządowego programu. Jako główną przeszkodę w posiadaniu potomstwa wskazują koszt edukacji, a zwłaszcza opłaty za studia – na prywatnych uczelniach wynoszą one średnio równowartość 30 tys. zł rocznie. Postulat likwidacji czesnego, wzorem wielu krajów Europy, nie zyskał jednak akceptacji rządu.

Opozycja z kolei pyta, skąd premier weźmie dodatkowe miliardy, skoro nie chce podnosić podatków, a zadłużenie wewnętrzne Japonii przekracza 200 proc. PKB. Tymczasem kraj czekają jeszcze poważne wydatki na zbrojenia, a budżet już jest obciążony kosztami opieki nad starzejącym się społeczeństwem.

Zwolennicy radykalnej rozbudowy polityki prorodzinnej wskazują jednak na hierarchię problemów: za spadkiem liczby ludności idą niższe dochody budżetu, a tym samym brak środków także na obronność. Postulują wręcz nowy paradygmat dla Japonii: „Najpierw dzieci!" – tak, by każda dziedzina polityki państwa została podporządkowana temu celowi.

Radykalne zmiany wymagają jednak silnego przywództwa i zyskania społecznego poparcia. Jak dokonać tego w Japonii, gdy elektorat się starzeje i niełatwo przekonać go do poświęceń na rzecz przyszłych pokoleń?

Cudowne miasto Nagi

Okazuje się jednak, że istnieją na mapie kraju „rodzynki", gdzie lokalne społeczności wzięły problem niskiej dzietności w swoje ręce i radzą sobie z nim całkiem nieźle.

Nagi, pięciotysięczna mieścina na wyspie Honsiu, gości w ostatnich latach wielu polityków i dziennikarzy, także ze światowych mediów. Powód? Kobiety rodzą tu średnio po prawie troje dzieci.

W medialnych nagłówkach mowa jest o „cudownym mieście". Ale jego sukcesy w polityce prorodzinnej nie są efektem działań sił nadprzyrodzonych, lecz konsekwentnie, od dwóch dekad, realizowanego planu. Dzieci mają darmową opiekę zdrowotną i subsydiowane posiłki szkolne oraz podręczniki. W specjalnie utworzonej placówce opiekuńczej, która zatrudnia i matki, i seniorów, rodzic może zostawić pociechę, płacąc równowartość tylko 10 zł za godzinę, aby w tym czasie załatwić swoje sprawy lub nawet popracować dorywczo.

Na skutek takich udogodnień miasteczko najpierw przestało się wyludniać, a potem dzietność zaczęła rosnąć. Gdy w bezpośrednim otoczeniu pojawiało się coraz więcej małżeństw z trojgiem, a nawet czworgiem dzieci, taki model rodziny zaczął być postrzegany jako normalny także przez młode pary u progu wspólnego życia.

Burmistrz Izumi ma pomysł

Społeczność Nagi ma powody do satysfakcji. Pytanie jednak, na ile ten model nadaje się do skopiowania w szerszej skali? W przypadku Nagi chodzi wszak o głęboką prowincję, gdzie wynajem trzypokojowego mieszkania to równowartość 1,5 tys. zł miesięcznie, i gdzie styl życia znacząco odbiega od wielkich ↦

↦ aglomeracji, w których żyje większość Japończyków.

Dlatego ciekawszy przypadek stanowić może miasto Akashi w prefekturze Hyogo. Po pierwsze, z 300 tys. mieszkańców jest całkiem spore. Po drugie, dzietność ma tu bardziej realistyczny poziom – 1,65. Prorodzinne rozwiązania w Akashi przypominają te z Nagi, choć są też modyfikacje, np. posiłki szkolne są bezpłatne. Podobnie jak pieluchy, które na próg domu dostarczają urzędnicy miejscy.

Pomysły te miały w Akashi konkretnego autora: to bezpartyjny burmistrz Fusao Izumi, który wybierany był na tę funkcję przez cztery kadencje z rzędu. Izumi od dziecka chciał być politykiem. Obserwując bariery, które w codziennym życiu napotykał jego niepełnosprawny brat, palił się, by działać dla dobra wspólnego.

Prorodzinna polityka Izumiego wymagała oczywiście dodatkowych funduszy. Znalazł je, rezygnując z części inwestycji infrastrukturalnych. Naraził się tym deweloperom i lokalnym działaczom partii politycznych, żyjącym w komitywie.

Pytanie zasadnicze

Przykład Akashi pokazuje, że aby forsować swój program mimo lokalnych układów, trzeba mieć upór i silną osobowość. W świecie japońskiej polityki, gdzie w cenie jest kolektywizm, nie zdarza się to jednak często.

Tacy ludzie jak Izumi bywają też niełatwi we współżyciu. Po raz pierwszy musiał ustąpić ze stanowiska w 2019 r., gdy wypłynęło nagranie, na którym łajał podwładnego i kazał mu (rzekomo w żartach) spalić budynek, który przeszkadzał w poszerzeniu drogi.

Chwilę potem Izumi wygrał jednak kolejne wybory, deklarując przy okazji, że chodzi na terapię, która pozwoli mu kontrolować wybuchy gniewu. Lecz po kilku następnych wybrykach, z naganą od miejscowego parlamentu, latem tego roku musiał definitywnie pożegnać się z urzędem. Trudno się dziwić, że w polityczno-medialnym mainstreamie chętniej mówi się o sukcesach Nagi i kilku innych małych miejscowości niż o Akashi.

Ostatecznie o ewentualnym odwróceniu trendu w demografii Japonii zdecyduje prawidłowa odpowiedź na pytanie: dlaczego coraz więcej ludzi wkłada tu do wózków swoje czworonogi, a nie dzieci?

Demograficzny trend trudno będzie odwrócić. Tymczasowymi środkami zaradczymi mają być **robotyzacja, sztuczna inteligencja i dłuższa praca seniorów.**

Tokio, mamy problem

Japonia nie jest rzecz jasna wyjątkiem – z niskim przyrostem naturalnym zmaga się niemal cały rozwinięty świat. Szczególnie intensywnie problem dotyka jednak kraje Dalekiego Wschodu. W Chinach współczynnik dzietności wynosi dziś 1,18; w Singapurze 1,05; podobnie w Hongkongu i na Tajwanie. Rekordzistką pozostaje Korea Południowa: jej 0,78 to najgorszy wynik na świecie. W tym gronie Japonia i jej 1,26 wypada wręcz całkiem korzystnie (dodajmy, że identyczny wskaźnik był w 2022 r. w Polsce; w całej Unii Europejskiej w 2021 r. wyniósł on 1,53).

Każde z wymienionych azjatyckich państw od lat prowadzi aktywną politykę prorodzinną i każde, jak dotąd, poniosło klęskę.

Singapur, obok preferencji mieszkaniowych dla młodych małżeństw, subsydiuje np. usługi matrymonialne. W Chinach prezydent Xi Jinping zaleca troje dzieci na małżeństwo, bo rodzina to „dusza społeczeństwa". Najpierw trzeba jednak znaleźć partnera, niektóre firmy udzielają więc wolnego na randki. Korea Południowa natomiast, która wydała już na walkę z niską dzietnością równowartość biliona złotych, zapowiada od 2023 r. wzrost miesięcznego świadczenia na dziecko do równowartości ponad 3 tys. zł miesięcznie przez pierwszy rok od urodzenia.

Zderzenie z nowoczesnością

Wymienione kraje mają swoje odrębności, ale geneza wielu ich społecznych problemów jest wspólna i wynika ze zderzenia konfucjańskiego obyczaju z nowoczesnością. Najgwałtowniej doświadcza tego Korea Południowa, tradycyjnie konserwatywna, której przebycie drogi od nędzy do kapitalistycznego bogactwa zajęło raptem kilka dekad.

W tradycyjnym modelu związki małżeńskie były aranżowane: córka, zwykle bez wykształcenia, musiała poddać się woli rodziców. Do jej obowiązków jako żony należało wychowanie dzieci i opieka nad teściami, a mąż dostarczał zasobów finansowych. Potomstwo przejmowało też rolę zabezpieczeń socjalnych, których kiedyś nie było.

A jak jest dziś? „Kobiety poszukują miłości, a mężczyźni żony" – uważa Dan Wang, badająca przemiany społeczne w Chinach. Precyzując, należałoby raczej powiedzieć, że kobiety też szukają męża, tylko wedle własnych kryteriów, coraz bardziej wyśrubowanych. To jedna z przyczyn późnych małżeństw, a więc i niższej dzietności.

Wraz z szybkim rozwojem w ostatnich dekadach kobiety na Dalekim Wschodzie zaczęły masowo wstępować na rynek pracy oraz, co równie istotne, podnosić kwalifikacje (studiuje ich często więcej niż mężczyzn). I choć nadal zarabiają mniej niż mężczyźni, zawarcie małżeństwa nie jest już dla nich kwestią egzystencjalną.

Co więcej, obok statusu partnera coraz bardziej liczą się inne kryteria. Np. w Chinach magiczną liczbę stanowi „170" (centymetrów) lub nawet „175" – minimalny wzrost u mężczyzny. „Kobiety szukają idealnego partnera, a jak go nie znajdą, to też jest OK, bo mogą sobie pozwolić na bycie singlem" – mówił Lee Kuan Yew, długoletni przywódca Singapuru.

Wydatki bez dna

Jeśli na rynku matrymonialnym precyzyjnie zadeklarowany poziom dochodów mężczyzny gra jednak istotną rolę, to nie tylko dlatego, że kobieta miałaby szukać dla siebie wygodnego życia. Większość badań wskazuje, że główną barierą dla posiadania potomstwa lub jego powiększenia są finanse, i że mówią tak również osoby lepiej sytuowane. Z drugiej strony można zapytać, czy priorytetu nie stanowi raczej utrzymanie dotychczasowego stylu bądź poziomu życia.

Tak czy inaczej, niezwykle istotna w konfucjańskim wychowaniu pozostaje edukacja, a wydatki na nią to dziś studnia bez dna.

Ideał zakładał co prawda równe szanse dla każdego: bez względu na pochodzenie młody człowiek, jeśli wykazuje zdol-

CHUNG SUNG-JUN / GETTY IMAGES

Targi Macierzyństwa z ponad 350 firmami oferującymi produkty i usługi dla kobiet w ciąży oraz młodych matek. Seul, luty 2015 r.

ności i chce się uczyć, powinien mieć otwartą drogę do lepszego życia w przyszłości. Tak pewnie było przez pierwsze dekady po II wojnie światowej, lecz potem nauka w szkole przestała wystarczać. Aby dostać się na uniwersytet, trzeba od dzieciństwa pobierać lekcje dodatkowe, których udzielają prywatne placówki nastawione na zysk. Koszt tych elitarnych „korków" (w Korei dochodzą do równowartości 10 tys. zł miesięcznie) potrafi drenować budżet nawet zamożnej rodziny.

Rzecz w tym, że edukacyjny wyścig, do którego stają małe dzieci, dla większości skończyć się musi mniejszą lub większą porażką – liczba miejsc na dobrych uczelniach jest ograniczona. Gorsza edukacja przekłada się na gorszą pracę, a w konsekwencji osłabia perspektywy matrymonialne. Z drugiej strony, „edukacyjne piekło", przez które – bez gwarancji sukcesu – przechodzi dzieciak z Seulu czy Singapuru, również może zniechęcać małżeństwa do posiadania potomstwa.

Terapeuta wytłumaczył

Daleki Wschód stał się więc poniekąd ofiarą własnego sukcesu: gwałtowny rozwój oparty na silnej rywalizacji wytworzył – większe niż gdzie indziej – napięcia z tradycyjnym systemem wartości. Przykładem jest także minimalna w wymienionych krajach liczba dzieci rodzących się poza małżeństwem. Wady tego zjawiska są znane, ale fakt, że w niektórych krajach Zachodu poza małżeństwem rodzi się nawet kilkadziesiąt procent dzieci, podnosi dzietność tych społeczeństw.

Teoretycznie istnieje możliwość zaplanowania rodziny inaczej, niż robi to większość. „Terapeuta wytłumaczył mi, że i bez nauki dodatkowego języka obcego czy zajęć z baletu mogę mieć szczęśliwą rodzinę" – mówi matka nowo narodzonej pociechy w dokumencie singapurskiej telewizji.

Życie pokazuje jednak, że mało kto odmówi edukacji dziecku. Być może rolę gra też konformizm dalekowschodnich społeczeństw: w sytuacji, gdy rówieśnicy uczęszczają na dodatkowe zajęcia, ten, kto tego nie zrobi, będzie dorastać w poczuciu, iż jest gorszy.

Stając wobec takich dylematów, większość nie zdecyduje się na dziecko pierwsze albo kolejne, a inni zrezygnują z małżeństwa.

Przestroga z Singapuru

„Gdybym miał dziś szansę, dałbym na każde dziecko w dniu urodzin równowartość dwuletnich średnich dochodów" – pisał Lee Kuan Yew niedługo przed śmiercią (zmarł w 2015 r.). Uczyniłby to jednak jako eksperyment, aby „ponad wszelką wątpliwość wykazać, że niska dzietność ma niewiele wspólnego z sytuacją finansową". Chodzi bowiem, jak twierdził, o nowy styl życia i sposób myślenia, wobec których władza pozostaje bezradna.

Doświadczenia Singapuru powinny być przestrogą dla każdego, kto wierzy w istnienie złotego środka na podniesienie dzietności. Ten pięciomilionowy kraj znany jest z osiągniętego bogactwa, drakońskich kar za naruszanie porządku publicznego i formy rządów łączącej elementy demokracji i autorytaryzmu. Lee Kuan Yew był zaś współcześnie najdoskonalszym bodaj ucieleśnieniem konfucjańskiego mędrca i jednocześnie patriarchy, który wie najlepiej, czego ludziom potrzeba.

Społeczeństwo traktował jak zbiór cyfr, które można formować według optymalnych wzorów. Dawniej, gdy przyrost naturalny Singapuru był zbyt wysoki, Lee wymyślił kampanię „Stop at Two" („Zatrzymaj się na dwójce dzieci"), polegającą m.in. na subsydiowaniu dobrowolnej sterylizacji. Potem uznał, że najlepiej, gdyby rozmnażali się głównie ludzie o wysokiej inteligencji.

Gdy pomysł ten został oprotestowany przez Singapurczyków, zwykle posłusznych, Lee poświęcił się walce o wyższą dzietność całego społeczeństwa. I odbił się od ściany. Przyznał potem, że była to jego największa porażka. Pozostało jedynie szerokie otwarcie się na imigrację – rozwiązanie, po które Japonia, Korea Południowa i Chiny sięgają niechętnie.

Bóg nie pozwoli

Obecny trend demograficzny na Dalekim Wschodzie będzie więc trudno odwrócić. Tymczasowo środkiem zaradczym ma być robotyzacja, sztuczna inteligencja i dłuższa praca seniorów. Potem spadek liczby ludności przełoży się może na niższe ceny nieruchomości, co usunie przynajmniej jedną barierę do zakładania i powiększania rodziny (dodajmy, że wśród Japończyków są i tacy, którzy w przerzedzeniu gęsto zaludnionych wysp widzą więcej zalet niż wad).

Jeszcze inny punkt widzenia przedstawił mieszkaniec Seulu podczas niedawnej sondy ulicznej. Pytany, czy jego kraj zaniknie, odparł: „Wierzę, że Bóg na to nie pozwoli. Kiedyś uwolnił nas z niewoli i biedy, teraz też ma swój dobry plan".

Zależnie od światopoglądu opinię tę można uznać albo za optymistyczną, albo za dowód, w jak beznadziejnej sytuacji znalazła się Korea Południowa.

© PIOTR BERNARDYN

JAIMI JOY / REUTERS / FORUM

Kampania przedreferendalna na terenach zamieszkanych przez Aborygenów, Alice Springs, wrzesień 2023 r.

Sól na rany

AGNIESZKA BURTON
Z MELBOURNE

Większość Australijczyków opowiedziała się w referendum przeciw wprowadzeniu do konstytucji zapisu, który miał dowartościować rdzenną ludność. Dlaczego?

NA DZIEŃ PRZED REFERENDUM JADĘ NA półwysep Mornington, położony u południowych wybrzeży kontynentu. Chcę dowiedzieć się, co o tym wszystkim myślą potomkowie ludu Boon Wurrung, na których ziemi mieszkam.

Zimny południowy wiatr znad oceanu – gdzieś od Tasmanii, od skalistych wysp, na których dawniej żyli zdziczali biali poławiacze fok i porywane przez nich aborygeńskie kobiety – przywlókł ciemne chmury i deszcz. Przejeżdżam rozległe dzielnice jednopiętrowych domów, dalekie rogatki rozciągniętego Melbourne, z autostrady w podmokłą zieleń, wysokie trawy, rozczapierzone eukaliptusy, wężowisko, busz.

Willum Warrain, czyli Dom nad Oceanem, to centrum aborygeńskie, organizacja charytatywna. Docierają tu potomkowie tych, którym udało się przetrwać inwazję (tak określają kolonizację Australii przez Brytyjczyków, rozpoczętą pod koniec XVIII w.), wojny i masakry, chrześcijańskie więzienia-misje (tak je dziś widzą), porywanie dzieci oraz wykorzenianie języków i kultury. Przyjeżdżają leczyć międzypokoleniowe traumy podczas warsztatów dla kobiet, mężczyzn, dzieci i młodzieży.

Boon Wurrungów ciężko znaleźć, powymierali od chorób przywleczonych przez Europejczyków, na misjach zagubili język i kulturę. Ale dziś jest tu gwarno, zapach grillowanych kiełbasek miesza się z dźwiękami didgeridoo, tradycyjnych instrumentów dętych. Wśród endemicznych roślin, które dawniej były pokarmem tutejszych klanów, a z których robiono też sieci, szałasy, przepaski i wyplatano kosze, biegają tłumnie aborygeńskie dzieci z okolicznych szkół. Większość ma jasne oczy, włosy i skórę.

Głosowanie

W sobotę 14 października wszyscy Australijczycy powyżej 18. roku życia będą musieli zagłosować w referendum. Udział w nim jest obowiązkowy, podobnie jak w wyborach (nie głosujesz – płacisz karę). Dokładnie 3 proc. Aborygenów, zwanych popularnie *blackfellows*, oraz 97 proc. *whitefellows* zaznaczą „tak" lub „nie" pod propozycją centrolewicowego rządu Partii Pracy. Głosi ona, aby „zmienić konstytucję w celu uznania Pierwszych Narodów Australii poprzez ustanowienie [w parlamencie] Głosu Aborygenów i Wyspiarzy Cieśniny Torresa" (wyspy te, w liczbie 274, leżą między Australią a Nową Gwineą; zamieszkują je rdzenni mieszkańcy, Melanezyjczycy).

Opozycja – centroprawicowa Liberalna Partia Australii – jest przeciw, wzywa do głosu na „nie". Argumentuje, że nie wiadomo, jak ów Głos miałby funkcjonować, jakie byłyby kompetencje tego organu.

Większość Australijczyków dopiero teraz dowiaduje się, że w konstytucji, która liczy sobie już 122 lata, nadal nie ma Aborygenów. Ale skąd mieliby to wiedzieć? Kto czyta taki nudny dokument? Poza tym w większości szkół nie uczą prawdziwej historii tego kontynentu, bo edukacja o Pierwszych Narodach nie jest obowiązkowa.

Wujek Peter

W Domu nad Oceanem wiszą plakaty „Zagłosuj na TAK". A także rysunki lokalnych roślin: murnong, lomandra, czekoladowal lilia, carawang, karkala. „Każda roślina ma swoje Śnienie".

W szklarni, przy delikatnych sadzonkach, pracuje grupa ludzi. Dowiaduję się, że od ostatnich kilku lat rośnie zaintere-

sowanie aborygeńskimi roślinami. Australijczycy kupują je do ogródków, obsadza się nimi ronda, skwery i przestrzenie wzdłuż autostrad. Ale o referendum nikt nie chce tutaj rozmawiać, bo „to sprawa polityczna".

Wśród rozbieganych dzieci pojawia się wysoka sylwetka śniadoskórego mężczyzny, o intensywnym spojrzeniu i ciemnych oczach. To Wujek Peter Aldenhoven, który pochodzi od ludów Quandamooka i Nughi, z tropikalnego stanu Queensland (na starszyznę plemienną mówi się Wujek lub Ciociu; to znak wielkiego szacunku).

Przez lata Wujek Peter był nauczycielem angielskiego i rdzennej edukacji w drogiej prywatnej szkole. Pracował też w oddalonych aborygeńskich społecznościach Terytorium Północnego. Tam *blackfellows* nadal mówią swoimi językami i starają się żyć według tradycyjnych praw. Pomimo wielu rządowych inicjatyw panuje tam straszna bieda: sfory zdziczałych psów, zniszczone domy-baraki, wysokie bezrobocie, alkoholizm, przemoc, analfabetyzm, choroby cywilizacyjne i krótsza niż u nierdzennych długość życia.

– Wszystko zaczęło się sześć lat temu – opowiada Wujek – gdy napisano Oświadczenie Uluru Płynące od Serca, które było zaproszeniem „białej Australii", by weszła z nami na drogę pojednania. Oświadczenie składało się z trzech elementów: Głosu w parlamencie, traktatu pokojowego i mówienia prawdy.

Ciało doradcze

Australia jest dziś jedynym krajem Brytyjskiej Wspólnoty Narodów, który nigdy nie podpisał traktatu z rdzenną ludnością. Traktaty takie zostały ustanowione wcześniej w innych brytyjskich dominiach, takich jak Nowa Zelandia czy Kanada. Gdy w 1840 r. nowozelandzcy urzędnicy kolonialni zasiedli z Maorysami do podpisania traktatu z Waitangi, w sąsiedniej Australii Pierwsze Narody były traktowane jak dzikie zwierzęta.

– Proponowany Głos w parlamencie – wyjaśnia Wujek Peter, zwolennik głosu na „tak" – byłby ciałem doradczym, składającym się z wybranych Aborygenów i mieszkańców Wysp Cieśniny Torresa. Idea Głosu polegałaby na tym, aby podczas opracowywania polityki zmian w sprawie poprawy warunków aborygeńskiego życia, w zakresie zdrowia, edukacji, zakwaterowania i zatrudnienia, biały rząd musiał wreszcie nas słuchać.

Aby wyjaśnić, o co chodzi z Głosem, Wujek powołuje się na parlament ludów Sámi, który w Norwegii istnieje od ponad 30 lat. Ale na koniec rozmowy wzdycha, że nie ma dobrych przeczuć na temat jutrzejszego dnia: – Od kiedy centroprawicowa Partia Liberalna zaczęła krzyczeć na „nie", wiadomo było, że trudno będzie wygrać. Gdy wpływowi Aborygeni, tacy jak prawicowa polityczka Jacinta Nampijinpa Price i biznesmen Warren Mundine, stają się twarzami kampanii na „nie", argumentując, że „Głos spowoduje społeczny podział", jest to przyzwolenie na stary australijski rasizm.

Dlaczego na „nie"?

Aby zrozumieć, dlaczego niektórzy Aborygeni stanęli po stronie „nie", dzwonię do Anthony'ego Dillona z Instytutu Pozytywnej Psychologii i Edukacji na Katolickim Uniwersytecie w Sydney. Dillon jest Aborygenem, komentatorem aborygeńskich spraw, ale nie identyfikuje się z konkretnym narodem. – Tradycyjni Właściciele, jak ich nazywamy, mają już prawa takie same jak pozostała Australia – uważa Dillon. – Jest wiele organizacji, które ich reprezentują, więc Głos w parlamencie byłby kolejną niepotrzebną biurokracją.

Sprawa Aborygenów głosujących na „nie" wydaje się tak skomplikowana, jak zawiła jest australijska historia.

Wielu z nich twierdzi, że skoro nigdy nie podpisano z nimi traktatu, są w stanie niewypowiedzianej wojny z Koroną brytyjską i nie będą głosować w żadnym referendum. Współcześni aborygeńscy wojownicy skupiają się wokół Black Sovereignty Movement (Ruch Suwerenności Czarnych). Dla nich referendum to po prostu za mało.

Podobnie zdaje się sądzić Wujek Jim Everett, 81 lat, potomek ludu Ben Lomond z Tasmanii, społecznik i zwolennik głosu na „nie". Przysyła mi list. Wymienia w nim poprzednie inicjatywy rządowe, które miały zmniejszyć liczbę Aborygenów umierających w aresztach i liczbę uwięzionej młodzieży, ale zakończyły się fiaskiem (Aborygeni należą do tych narodów na świecie, w których odsetek osób odsiadujących wyroki jest najwyższy w stosunku do ich udziału w danym społeczeństwie).

– Chcemy traktatu, prawdy, uczciwego podziału bogactwa płynącego z eksploatacji naszych ziem, chcemy ochrony naszego dziedzictwa kulturowego – wylicza Wujek Jim w rozmowie telefonicznej. – Owszem, „nie" w referendum przyniesie negatywne uczucia, ale może wreszcie nasi liderzy zostaną wysłuchani?

Wioski na Outbacku

Wujek Kevin Duncan, artysta, potomek ludu Gomeroi ze stanu Nowa Południowa Walia, mówi mi: – Głosuję na „nie", bo australijski rząd jest nadal podwykonawcą brytyjskiej Korony. Najpierw powinno odbyć się referendum, aby Australia stała się republiką, uniezależniła się od króla angielskiego. Potem powinna podpisać z nami traktat, w którym rząd uzna nas za właścicieli tych ziem i umożliwi dzielenie się bogactwem, które zostało nam odebrane. Obecne *native titles* [tytuły rodowe do ziemi – red.] nie dają nam pełnych praw. Aby w ogóle dostać *native title*, musimy latami udowadniać w sądach, że żyjemy tu od tysięcy lat.

Dan Wuduku Wuurruu Mayn Kennedy także jest na „nie". Pochodzi od ludów Tubbagah Wiradjuri i Gumbayngirr, od 10 lat pracuje w pomocy psychologicznej na Outbacku. Tak określa się rozległe, słabo zaludnione, zwykle pustynne lub półpustynne tereny środkowej Australii. Są tam aborygeńskie wioski.

– Ostatnio byłem w społeczności żyjącej w samym centrum kontynentu, gdzie przez sześć tygodni, co tydzień, ktoś odbierał sobie życie. Młodzi są w ciężkiej depresji, bo pracy i perspektyw brak, żywność, którą tam przywożą samolotami, jest droga, a przepadły tradycyjne metody polowania i leczenia. Najbliższy lekarz to ponad dwie godziny jazdy samochodem, jeśli w ogóle ma się auto, i jeśli są pieniądze na diesel czy gaz. W takich miejscach – twierdzi Dan – ludzie niewiele wiedzą o referendum. Angielski jest czwartym czy piątym językiem, trudno im się w tym wszystkim połapać.

Językoznawcy szacują, że w Australii jest ponad 250 aborygeńskich języków i 800 dialektów. Rdzenna mapa krain to mozaika narodów, często odmiennych kulturowo.

– To tak, jakby w Europie chcieli stworzyć Głos dla Europejczyków, do którego wybieraliby przedstawicieli z kilku narodów, pomijając inne – Dan wyjaśnia ↦

swoje stanowisko na „nie". – A przecież podstawowym prawem naszej kultury jest nie brać nic od innych narodów, zwłaszcza ich głosu. Jednak większość nierdzennych myśli, że wszyscy Aborygeni są tacy sami. To tak, jakby myśleć, że Niemcy i Polacy są jednakowi, bo dzielą granicę i mają ten sam kolor skóry.

Niepokój

W South Yarra, eleganckiej dzielnicy Melbourne, spotykam się z profesorem historii Uniwersytetu Monash, Bainem Attwoodem. Profesor mówi, że dzielnice takie jak ta, bogate i położone blisko centrum, będą głosować na „tak", natomiast te oddalone od *city* na „nie". Podobnie na „nie" będzie jego zdaniem Australia regionalna.

Attwood napisał kilka prac na temat poprzedniego referendum z 1967 r., które zakończyło się sukcesem i Aborygenów zaczęto liczyć w spisie ludności (ponoć Amerykanie śmiali się wtedy, że Aussies potrafią zrachować swoje owce, ale swoich *blackfellows* już nie). Pełne prawa wyborcze Pierwsze Narody uzyskały dopiero w 1984 r.

Czy referendum stanie się zwierciadłem, w którym przejrzy się Australia? – pytam.

– Niektórzy historycy twierdzą, że ten kraj cierpi na kryzys tożsamości, bo jesteśmy narodem złodziei. To problem moralny – smętnie kiwa głową profesor. – W roku 1967 chodziło o to, żeby Aborygeni otrzymali takie sama prawa jak wszyscy. A dziś chodzi o to, żeby dostali specjalne przywileje, odróżniające ich od reszty Australijczyków, na podstawie swojego statusu rdzennych mieszkańców. To powoduje w społeczeństwie ogromny niepokój.

Jak głosowałby Jezus

Sobota, 14 października, dzień referendum. Uprawnionych do głosowania jest niespełna 18 mln Australijczyków, w tym 530 tys. Aborygenów. Idę do punktu wyborczego w szkole podstawowej, w typowej dzielnicy australijskiego miasta. Aspendale Gardens to narodowy miks, głównie Azja i Indie, sporo białych, Aborygenów brak. Co tutaj myślą o referendum?

Dwóch chłopaków, na oko po 18 lat. – Są ważniejsze sprawy na świecie, ten Głos to strata czasu i pieniędzy – mówi jeden. Drugi wzrusza ramionami: – Nie mam zdania.

FELLOWSHIP FOR INDIGENOUS LEADERSHIP / YOUTUBE

WUJEK PETER *głosował na „tak". Chce pojednania z „białą Australią", które obejmie głos rdzennych ludów w parlamencie, traktat pokojowy i mówienie prawdy.*

TONY DILLON / FACEBOOK

ANTHONY DILLON *głosował na „nie". Uważa, że Aborygeni mają już takie same prawa jak reszta kraju, a nowe gremium byłoby tylko niepotrzebną biurokracją.*

Dziewczyna trzepoce sztucznymi rzęsami. – Nie chce mi się gadać.

Azjata z dwójką dzieci uśmiecha się grzecznie, przeprasza, nie ma czasu.

Młoda para wsiada do terenowego pick-upa. Ona nie chce się wypowiadać. On mówi, że ma za mało informacji (choć przed chwilą oddał głos).

Zatrzymuje się para Indusów. Zdradzają z uśmiechem, że głosowali na „tak".

Mężczyzna w kolorowej hawajskiej koszuli: – Abos kiedyś żyli w szałasach, dzięki nam, białym, mają teraz raj. Nie potrzebują więcej praw.

Elegancka starsza para, sądząc po akcencie Anglosasi: – To przecież nasz kraj, Aborygeni nie chcą asymilacji.

Uśmiechnięta blondynka w średnim wieku, okazuje się, Polka. Mieszka tu od lat, głupio jej, że słabo już mówi po polsku. Głosowała na „tak", choć jej mąż, Szkot, namawiał na „nie". – Szkot? – dziwię się. – Przecież oni też byli prześladowani przez Anglików. – Ale mąż uważa, iż *blackfellows* są leniwi i Głos niewiele im da.

Znajomy biały Aussie, ponad 50 lat, wykształcenie podstawowe. Jak głosował? Śmieje się, chce uciekać. – Wstydzisz się? – dopytuję. Ścisza głos, choć naokoło nie ma nikogo, na eukaliptusach skrzeczą tylko białe papugi kakadu: – Głosowałem na „nie".

Dlaczego? – Bo nie chcemy podziałów. Oni już mają pełno możliwości, te *land titles* i tak dalej. I wszystko gra.

Jadę do dzielnicy obok, Mordialloc, ze starymi białymi domkami z koronkową werandą. Wejścia do lokalu pilnuje starszy mężczyzna. Jest pastorem w kościele baptystów, zatrudnił się jako pomoc przy referendum.

Tutaj już w ogóle nie chcą rozmawiać. Nawet zakonnik w habicie przebiega, wzruszając ramionami. A przecież ksiądz w miejscowym kościele katolickim nawoływał na niedzielnych mszach, by głosować na „tak", „bo tak zagłosowałby Jezus".

W drodze do domu spotykam sąsiada, starszego Polaka. Jak zwykle przygarbiony, jedzie na rowerze. Mówi, że głosował na „tak". Dłonią dotyka serca: – To jest niesamowicie ważne, droga pani, oni są na tej ziemi od tylu lat, nie możemy dosypywać soli do ran.

■■■

Wieczorem 14 października władze podają wynik: prawie 60 proc. na „nie", we wszystkich stanach i terytoriach prócz Terytorium Stołecznego. Aussies odrzucili propozycję wpisania Pierwszych Narodów do konstytucji i ustanowienia Głosu w parlamencie.

Premier Anthony Albanese uznaje porażkę. Linda Burney, minister ds. Aborygenów, która wraz z premierem wyszła do mediów, mówi: „Dla wielu to smutny dzień".

Kolejnego referendum nie będzie. Oboje obiecują, że rząd będzie podejmować działania, by zmniejszyć dyskryminację Aborygenów.

© AGNIESZKA BURTON

PAWEŁ PIENIĄŻEK

Nowella, Armen i jego matka Raja opuścili Stepanakert po tym, jak Azerbejdżan zajął nieuznawaną republikę. Erywań, październik 2023 r.

Gdzie jest mój dom?

PAWEŁ PIENIĄŻEK Z ERYWANIA

Do stolicy Armenii trafiły tysiące mieszkańców Górskiego Karabachu, ale przede wszystkim widać w nim Rosjan. Ani jedni, ani drudzy nie czują, że znaleźli tutaj miejsce dla siebie.

Gdy Nowella zobaczyła flagę Armenii, zwiastującą granicę, przepełniła ją niesamowita radość. Zrobiło się jej lekko na duchu. Uśmiechała się, a nawet śmiała. Miała tak radosny głos, że gdy dzwoniły do niej koleżanki, to pytały, czy wszystko z nią w porządku. Nowella, 53-letnia pracownica działu kadr w biurze budowlanym, tylko co straciła dom w stolicy nieuznawanej republiki Górskiego Karabachu, przez Ormian nazywanego też Arcachem.

Po dziewięciu miesiącach azerbejdżańskiej blokady, kolejnej wojnie, a przede wszystkim po tym, jak trasę, którą normalnie przejechałaby w dwie godziny, musiała pokonywać półtorej doby, i to w samochodzie wypchanym ludźmi – poczuła się szczęśliwa, że to wszystko już za nią.

Zjedli coś, odsapnęli i ruszyli w stronę milionowego Erywania, stolicy Armenii. Ale radość ulotniła się tak szybko, jak się pojawiła.

Ormianie i Rosjanie

Centrum stolicy jak zwykle tętniło życiem. W godzinach szczytu kierowcy tkwili w długich korkach. Piesi tłumnie chodzili po ulicach śródmieścia. Wciąż jeszcze rozpieszczające słońce zachęcało do zajmowania stolików w ogródkach kawiarń. Od pogawędek i pracy przy komputerach odrywały ich tylko spadające na stoliki i samochody żołędzie, robiące przy tym straszny huk.

Tylko sporadycznie organizowane zbiórki, a także grupy ludzi przy punktach pomocy lub uchodźcy proszący o drobne, pozwalały zauważyć, że pod koniec września 120 tys. Ormian, cała populacja Górskiego Karabachu – w tym Nowella – opuściło ten region, właśnie odzyskany przez Azerbejdżan, o który wojny toczyły się od końca lat 80. XX w.

Mimo tego to nie oni rzucają się w oczy w centrum Erywania. Odkąd Rosja zaatakowała Ukrainę w 2022 r., do trzymilionowej Armenii przybyło ponad 1,1 mln Rosjan. Przeważająca większość niemal natychmiast poleciała gdzieś dalej. Zostało ich jednak do 100 tys., co dla tak małego kraju jest ogromną zmianą. Większość osiadła w Erywaniu, znacząco wpływając na miasto – w tym windując ceny do niebotycznych poziomów.

Mieszkańcy Karabachu, którzy w większości zostali pozbawieni zarobków, nie mogą znaleźć dla siebie miejsca w centrum miasta. Szczęśliwcy mogą liczyć, że zamieszkają w blokowiskach na obrzeżach, pozbawionych powabu śródmieścia. Większości jednak nie stać na Erywań.

Tak Rosjanie, jak i mieszkańcy Karabachu wierzą, że są tutaj tylko tymczasowo. Ci drudzy liczą, że wkrótce uda im się wrócić do domów. Ci pierwsi, że pojadą dalej, by gdzieś w świecie znaleźć miejsce do życia, realizować się zawodowo.

Najpierw była blokada

12 grudnia 2022 r. azerbejdżańskie wojska zablokowały tzw. korytarz laczyński. Od czasu przegranej przez Armenię 44-dniowej wojny sprzed trzech lat był on jedyną oficjalną drogą wjazdową do ↦

↦ nieuznawanej republiki. Chronił go rosyjski kontyngent, nazywany pokojowym. Żołnierze mieli pilnować, by mieszkańcy Karabachu nie niepokojeni przez azerbejdżańskie wojsko mogli przemieszczać się między nim a Armenią (choć nie zawsze tak się działo).

To, że powojenne porozumienie było kruche i cały ten porządek musiał w końcu się wywrócić, było jasne od samego początku. Mieszkańcy Górskiego Karabachu łudzili się jednak, że będą mieli spokój do końca 2025 r., bo do tego czasu miał obowiązywać mandat rosyjskiego kontyngentu.

Gdy zaczęła się blokada, początkowo rodzina Nowelli nie za bardzo się tym przejęła. Podobnie jak wielu mieszkańców Stepanakertu (po azersku Chankendi), stolicy nieuznawanej republiki. – Myśleliśmy, że to na kilka dni, a potem znowu otworzą – przyznaje 67-letni Armen, mąż Nowelli, który pracował na stacji benzynowej.

Kawa z grochu i żołędzi

Tak się jednak nie stało. Blokada się przedłużała i już po tygodniu zaczęły doskwierać braki produktów spożywczych. Najszybciej zniknęły warzywa i owoce, które przywożono z Armenii, bo po 44-dniowej wojnie nieuznawana republika utraciła większość ziem rolnych. Brakowało nawet ziemniaków, kapusty i marchwi. Wkrótce mieszkańcy, szukając pocieszenia w tej pogarszającej się sytuacji, opowiadali sobie taki żart: „Idzie ziemniak po ulicy i mija go sztabka złota. Patrzy na nią i mówi: – Ej, taniocha, jak się masz?”.

– Jak ktoś ugotował barszcz, to było święto! – wspomina Nowella.

Zapraszano sąsiadów i się dzielono. Mieszkańcy bloków nie mieli przydomowych ogródków, więc ich dieta szybko zubożała. Na warzywa, owoce, ser i jajka mogli liczyć tylko ci, którzy mieli gdzie je uprawiać lub hodować domowe zwierzęta. Albo mieli rodzinę na wsi – jak Nowella, której brat regularnie im pomagał.

Skończyła się też kawa. Mieszkańcy Stepanakertu prażyli więc groch i żołędzie, mielili i zaparzali z tego napar, który ją przypominał.

Jedynie z mięsem nie było problemów – ze względu na brak dostępu do karmy właściciele masowo zabijali zwierzęta hodowlane. Nowella, gdy chodziła po okolicy, ciągle czuła zapach szaszłyków. W końcu nie mogła już na nie patrzeć.

MARCO MORETTI / ANZENBERGER / FORUM

Restauracja CCCP w Erywaniu wykorzystująca marketingowo nostalgię za Związkiem Sowieckim, maj 2019 r.

200 gramów dziennie

W pewnym momencie sklepy opustoszały. Ci, którzy mieli pieniądze, handlowali z Rosjanami. Żołnierze rosyjscy zwietrzyli interes i za sowitą opłatą przywozili różne rzeczy.

Ceny w Karabachu eksplodowały. Dla przykładu kilogram ziemniaków do blokady kosztował 200 dramów (równowartość 2,1 zł), a w najgorszym momencie 2500 dramów (ponad 26 zł); papierosy z 220 dramów (2,3 zł) za paczkę podrożały do nawet 3500 dramów (niemal 37 zł); kanister benzyny z 10 tys. dramów (105 zł) do 80 tys. dramów (840 zł).

Kryzys na jakiś czas rozładowała pomoc humanitarna, dopóki jej też nie odcięli.

Od dawna nie było prądu i gazu, więc w zimowe mrozy od razu na podwórkach i balkonach wyrastały piece typu koza, w których palono drewnem ścinanym z okolicznych lasów. Jak była mąka, na nich też pieczono chleb. W sklepach można było znaleźć tylko czarny. Wydawali go po 200 gramów dziennie na osobę. Był strasznie ciężki i rodzina Nowelli z trudem mogła go przełknąć, ale przynajmniej był bardzo sycący.

Tak ciężkiej sytuacji humanitarnej nie było nawet podczas pierwszej wojny o Górski Karabach na przełomie lat 80. i 90. XX w. Mimo to rodzina Nowelli miała szczęście, zawsze znajdowała coś do jedzenia.

Droga gorsza od wojny

Do kulminacji doszło we wrześniu, gdy azerbejdżańskie wojska rozpoczęły atak na nieuznawaną republikę. Wówczas mieszkańcy zaczęli opowiadać sobie inny żart: „Gdy dzwonisz do Rosjan, w słuchawce słychać: »Kontyngent pokojowy czasowo niedostępny«”. Bo ci, którzy mieli ich bronić, zniknęli, a atakujący mieli ogromną przewagę nad niedużą i źle wyposażoną armią Karabachu. Stepanakert był ostrzeliwany. Nowelli wydawało się, że to wszystko dzieje się poza miastem, więc gdy wychodziła na balkon, spokojnie się przyglądała toczącym się walkom.

Finał nadszedł niespodziewanie szybko. Już drugiego dnia ofensywy władze nieuznawanej republiki przystały na azerbejdżańskie warunki zawieszenia broni. Oznaczały one koniec tego parapaństwa.

Kilka dni później ni stąd, ni zowąd ludzie zaczęli wyjeżdżać. Do dzisiaj mieszkańcy nie wiedzą, czy to Azerbejdżan zezwolił na to, czy po prostu Azerowie ugięli się pod presją masy ludzi. W każdym razie w ciągu kilku dni 120 tys. mieszkańców, czyli prawie wszyscy, wsiadło do samochodów i ruszyło korytarzem laczyńskim w stronę Armenii. Droga, która zwykle trwa nie więcej niż dwie godziny, teraz oznaczała kilkudziesięciogodzinną wyprawę.

Rodzina Nowelli nie zabrała ze sobą praktycznie nic, poza ubraniami; zresztą w małym samochodzie nie było na nic miejsca. Myśleli, że zaraz będą w Gorisie, miasteczku na granicy Armenii i Karabachu, i że tam kupią, co potrzeba. A przede wszystkim najedzą się do syta.

Wyglądało to tak: metr jechali, a następnie się zatrzymywali. Na azerbejdżańskich posterunkach byli dokładnie sprawdzani. Nie tylko nie było czego się napić ani zjeść, ale nawet nie było gdzie pójść do toalety. To był otwarty teren, więc kobiety nie miały się gdzie schować, by nie było

ich widać. Co chwilę ktoś się przepychał w korku, przez co wybuchały awantury.

– Przeżyłam trzy wojny, ale te dwa dni w drodze były najgorsze – przyznaje Nowella.

Kiedyś uwielbiała jechać tą trasą do Armenii, przez lasy i wzgórza, zwłaszcza nocą, przy pełni księżyca. Teraz nie mogła znieść tego widoku. Szczególnie księżyca, który uczynił noc tak jasną, że nawet wtedy nie mogła spokojnie się załatwić.

Nie wierzymy, że to koniec

W czasie trwania blokady rodzina Nowelli ciągle marzyła, aby zjeść przeróżne przysmaki. Najbardziej rybę. Po dotarciu do Erywania ich córka przyrządziła ją dla nich, ale coś było nie tak. Nie w smaku czy sposobie przyrządzenia. Po prostu nie mieli ochoty nic jeść. Tak było również z innymi rzeczami.

– Patrzę na nie i robi mi się niedobrze. Nienawidzę tego wszystkiego. Pewnie dlatego, że przez dziewięć miesięcy tego pragnęłam, a nie mogłam w żaden sposób dostać – przyznaje Nowella.

Mogą mówić o szczęściu, bo mają mieszkanie za darmo w Erywaniu – i nie trafili na jedną z prycz rozstawionych w szkołach w którymś z małych miast, gdzie nie ma perspektyw. Wciąż wierzą jednak, że nie zabawią długo w stolicy. Armen jest przekonany, że za pięć-dziesięć dni to się skończy i wrócą do siebie.

– Nie wierzyliśmy wtedy i nie wierzymy teraz. Choć jednocześnie wiemy, że to nie wydarzy się szybko – mówi, mając na myśli powrót.

To stan szoku, z którego jeszcze się nie otrząsnęli. Spędzają czas w mieszkaniu. Nie wiedzą, co ze sobą zrobić, czy uda im się znaleźć pracę, czy będą mieli z czego żyć. Mają emigrować dalej? Tego nie wiedzą, ale nie wykluczają, że wojna z Azerbejdżanem nie jest skończona i prędzej czy później wedrze się w głąb Armenii. Dopóki tak się jednak nie stało, będą czekać, by wrócić do domu.

Rosyjski zastrzyk gotówki

Nowella wraz z rodziną nie mają zbyt wiele do roboty w centrum miasta, gdzie zawsze było drogo, ale od 2022 r. ceny skoczyły gwałtownie. To za sprawą Rosjan, którzy masowo zaczęli tutaj przyjeżdżać.

Armenia to jeden z kilku krajów, gdzie mogli się udać nawet nie posiadając paszportu, jedynie zwykły dokument tożsamości. Z punktu widzenia armeńskich władz są dużo łatwiejszymi relokantami niż uchodźcy z Górskiego Karabachu. Często to ludzie dysponującymi dużymi zasobami finansowymi.

Jak mówił w marcu rosyjskiej gazecie „Wiedomosti" minister gospodarki Armenii Wahan Kerobian, do Armenii przeprowadziło się do 110 tys. Rosjan (znaczna część z nich była ormiańskiego pochodzenia). Wpompowali do tutejszego systemu bankowego równowartość 3 mld dolarów, co stanowiło jedną czwartą spektakularnego wzrostu PKB w zeszłym roku. Wynosił on aż 12,6 proc. i był najlepszym wynikiem na obszarze posowieckim. Ponadto Rosjanie otworzyli lub współtworzą kilka tysięcy firm.

Dlatego władzom Armenii zależy na tym, aby jak najwięcej Rosjan zostało w kraju na dłużej.

Ich obecność widać na każdym kroku w centrum Erywania. Czasami język rosyjski słychać częściej niż ormiański. Zastąpił on też angielski jako język, którym zwraca się w pierwszej kolejności do obcokrajowców. Powstało wiele miejsce, gdzie chodzą niemal wyłącznie Rosjanie, którzy zazwyczaj nie starają się poznawać lokalnej kultury. Próbują niejako odtworzyć miejsce, z którego wyjechali.

Niektóre lokale wręcz nawiązują do ubiegłorocznych wydarzeń – jak kawiarnia Emigrant czy ta o mało fortunnej nazwie 2022.

Ucieczka z Moskwy

Jeden z rosyjskich lokali jako miejsce spotkania proponuje 20-letnia Alsu. Do Erywania przyleciała z rodzinnej Moskwy już w kwietniu minionego roku, z jedną walizką.

– Cel wizyty? – zapytał pogranicznik.

– Turystyka – odpowiedziała Alsu.

Kiwnął głową i o nic więcej nie pytał, wszystko było jasne.

Miała podobną motywację jak wielu wówczas przyjeżdżających Rosjan. Nie chciała mieszkać w kraju, który napadł na inny. Wiedziała, że obywatele jej państwa zrobili za mało, by przeciwstawić się władzy. Ona uważa, że była zbyt młoda, by aktywnie działać. Jedyne, co mogła zrobić, to wyjechać.

Dopiero w kolejnych miesiącach z Rosji zaczęli wyjeżdżać również ci, którzy bali się, że zostaną zmobilizowani do wojska, za to niekoniecznie mieli opozycyjne poglądy.

Alsu chciała pojechać szybciej, ale, jak mówi, aż 14 razy kupowała bilety i za każdym razem kasowano rejsy. Tutaj także popularny był żart, oddający ówczesną sytuację: „Rosjanie klaszczą nie wtedy, gdy samolot ląduje, lecz gdy startuje".

Tymczasem oszczędności Alsu się kończyły. Nie miała żadnego planu, więc najpierw była w hotelu, potem nocowała po znajomych, aż wreszcie udało jej się znaleźć mieszkanie na przetrzebionym rynku nieruchomości (ich ceny gwałtownie wzrosły, często stawiając w trudnej sytuacji ormiańskich mieszkańców stolicy).

Przystanek Erywań

Alsu zajmowała się marketingiem w firmie, która prowadzi największą rosyjską wyszukiwarkę internetową Yandex. Po przybyciu do Erywania wciąż w niej pracowała, zdalnie, przez kilka miesięcy. Potem wraz ze znajomymi otworzyła *start-up* w tej samej branży. Obecnie szuka nowej pracy. Docelowo chciałaby zająć się filmem i szuka sposobu, jak realizować się w tej dziedzinie.

W Erywaniu bardzo jej się podoba. Czuje się tutaj akceptowana. Ale nie chce zostać w nim na dłużej. Miasto, trzynaście razy mniejsze od jej rodzinnej Moskwy, daje znacznie mniej perspektyw na rozwój.

– Bardzo dobrze się tu czuję, ale jestem już gotowa, by spróbować czegoś innego – stwierdza Alsu.

Przyznaje, że zawsze chciała wyjechać z Rosji, a wojna stała się katalizatorem: wtedy, wiosną 2022 r., zrozumiała, że już nie ma możliwości, aby tę decyzję odkładać.

Rozpoczęła maraton, który jeszcze nie wie, dokąd ją doprowadzi. Wspomina, że choć lubiła Moskwę, nie czuła się w niej zakorzeniona. Wierzy, że może znaleźć dla siebie miejsce gdziekolwiek na świecie, gdzie będzie mogła być sobą, rozwijać się, cieszyć się życiem.

Dla Alsu wojna stała się impulsem, aby rozpocząć poszukiwanie czegoś nowego. Dla rodziny Nowelli wojna odebrała im dom, zapewne na zawsze.

© PAWEŁ PIENIĄŻEK

Tekst powstał dzięki wsparciu stypendium artystycznego m.st. Warszawy.

Wszyscy dublerzy Putina

ANNA ŁABUSZEWSKA

To jedna z zagadek Kremla, która od lat zaprząta uwagę świata: sobowtóry rosyjskiego prezydenta. Udmurt, Bankietowy, Dyplomata – takie pseudonimy im nadano. Czy istnieją naprawdę?

Władimir Putin żyje w plątaninie lęków i fobii. Wyniesiona ze szkoły KGB obawa przed zdemaskowaniem, podbita w ostatnich latach strachem o osobiste bezpieczeństwo, sprawia, że prezydent Rosji ukrywa przed światem dosłownie wszystko, co dotyczy jego życia. W pierwszym rzędzie dotyczy to życia prywatnego, ale płynnie przenosi się też na sferę publiczną.

Czasem, w przypływie fałszywej szczerości, podczas spotkań z wybrańcami Putin przedstawia spreparowane legendy o swej przeszłości. Starannie zaś uchyla się od pytań o teraźniejszość i ludzi z bliskiego otoczenia. Tak jak tworzona na użytek polityki wersja historii czyni z Rosji kraj o nieodgadnionej przeszłości, tak niewiarygodne mity o życiu Putina czynią z niego człowieka o nieodgadnionym życiorysie i pełnej tajemnic codzienności.

Pytanie o sobowtórów także należy do pilnie strzeżonej sfery. Członkowie najbliższej rodziny mogliby tę kwestię raz na zawsze wyjaśnić: potwierdzić, że Putin żyje i nie potrzebuje dublerów. Sęk w tym, że nic nie mówią.

SPECJALNA OPERACJA PLASTYCZNA | Kreml zatrudnia ogromny sztab specjalistów od wizerunku i propagandystów, którzy pracują nad przekazem medialnym. Pokazywany codziennie w telewizji przywódca ma robić na widzach wrażenie zgodne z wymaganiami chwili i wieczności: dostojny, nienagannie ubrany, przyczesany, wyklepany.

Skoro jesteśmy przy wyglądzie Putina, to – zanim przejdziemy do dywagacji o jego sobowtórach – poświęćmy kilka słów jego aparycji. W tym celu przenieśmy się kilkanaście lat wstecz, do października 2010 r. Putin pojechał wtedy do Kijowa (odwiedzał prezydenta Janukowycza i targował się o gaz). Telewizji zezwolono tylko na migawki, bez trwających dłużej niż ułamek sekundy zbliżeń twarzy Putina. Ale to wystarczyło, by stwierdzić, że z twarzą przywódcy dzieje się coś dziwnego. Gruba warstwa pudru nieudolnie skrywała ciemne wybroczyny na kościach policzkowych. Putin miał też wyraźnie kłopot z mimiką – wyglądał jak złote maski starożytnych wodzów z muzeum w Salonikach.

Wywołało to wówczas szok. Potem Putin przyzwyczaił publiczność do periodycznych zmian w wyglądzie, a każde wystąpienie i zdjęcie były uważnie oglądane przez speców od chirurgii plastycznej. Indagowani przez media, analizowali oni, jakim zabiegom prezydent się poddaje: botoks, implanty kości twarzy, korekta powiek itd. Jeśli porównać jego zdjęcia z pierwszej dekady rządów – gdy twarz miał pociągłą, oczy wyłupiaste i liczne zmarszczki mimiczne – z obecnymi, na których oblicze jest nienaturalnie zaokrąglone, skóra naciągnięta, a okolice oczu wyrównane skalpelem, można nabrać wątpliwości, czy to ta sama osoba.

I może właśnie o to chodzi: chirurgicznie korygowane zmiany w wyglądzie można by uznać za część operacji mylenia śladów i wyprowadzania w pole tych, którzy pragną dotrzeć do jądra kremlowskiej ciemności i wyjaśnić, kto tak naprawdę rządzi Rosją. Skoro zmienia się oryginał (nie tylko naturalnie, z wiekiem, ale też pod wpływem zabiegów chirurgii plastycznej), to łatwiej „zrobić" podróbkę.

UDMURT, MŁODY, MÓWIĄCY | Latem 2011 r. Putin odwiedził obóz szkoleniowy kremlowskiej młodzieżówki nad jeziorem Seliger. Obecny na spotkaniu mężczyzna miał opuchniętą twarz. Gdy się uśmiechał, sztywne i masywne policzki podjeżdżały mu do góry, skośne oczy znikały w fałdach. Dokumentujący zmiany w wyglądzie prezydenta komentatorzy nazwali to jego wcielenie Udmurtem (nawiązując do ugrofińskiego ludu Udmurtów, mającego swoją autonomiczną republikę w ramach Federacji Rosyjskiej).

Może to jednak nie był dubler, tylko Putin po kolejnej operacji plastycznej, o których przecież służba prasowa Kremla nie informuje. Władimir Władimirowicz pracował wtedy nad wariantami przedłużenia swojej władzy (formalnie przez jedną kadencję był premierem, po czym w 2012 r. wrócił na fotel prezydenta) i flirt z młodzieżą miał pokazać go społeczeństwu jako pełnego werwy młodego człowieka (miał wtedy 58 lat), który jest w stanie jeszcze długo sprawować rządy. Odmładzające zabiegi wpisywały się w ten scenariusz.

Zwolennicy teorii spiskowych stworzyli całą listę sobowtórów Putina. Poza Udmurtem, który miałby zastępować prezydenta w imprezach na powietrzu, znalazł się na niej człowiek wyraźnie młodszy od Putina. Otrzymał kryptonim Młody. Jest bardzo podobny do oryginału, odgrywa rolę „konia roboczego", występując przy różnych mniej ważnych protokolarnych okazjach. Zwłaszcza takich, które nie wymagają zabierania głosu.

Bo głos, jak twierdzą znawcy materii, najtrudniej jest podrobić. Dlatego kremlowscy magowie odpowiadający za odcinek sobowtórów przygotowali, jak głosi jedna z teorii, dublera, któremu nadano pseudonim Goworun (Mówiący).

ABSTYNENT Z KIELISZKIEM | Ale to nie wszystko. Duplikat prezydenta przydaje się przy różnych innych okolicznościach, np. na bankietach. Jest więc i Bankietowy: wersja, która bywa na kremlowskich przyjęciach. Choć Putin ma opinię abstynenta, Bankietowy pozwala sobie na wychylanie toastów.

W grudniu 2022 r. na Kremlu zorganizowano spotkanie z uczestnikami „operacji specjalnej", podczas którego Putin wręczał gwiazdy Bohatera Rosji. Po oficjalnej części odbył się raut. Kamera telewizyjna towarzyszyła prezydentowi, gdy z kieliszkiem w dłoni stał otoczony wianuszkiem wojskowych. Z jedną ręką w kieszeni, tłumaczył zgromadzonym, że Rosja ma prawo do ataków na ukraińską infrastrukturę krytyczną, gdyż jest to „sprawiedliwy" odwet za dywersję na moście Krymskim, do jakiej doszło dwa miesiące wcześniej.

RUSSIA MYANMAR / AP / EAST NEWS

Władimir Putin w drodze na obrady Wschodniego Forum Ekonomicznego we Władywostoku, wrzesień 2022 r.

Publiczne przyznanie się do popełniania zbrodni wojennych Putin wygłosił na luzie, niedbale wymachując kieliszkiem na prawo i lewo. W mediach społecznościowych odbyła się potem dyskusja: czy to był prawdziwy Putin, zwykle starannie kontrolujący swoje gesty i słowa, czy roztrzepany Bankietowy?

„NIE, NIE MAM SOBOWTÓRÓW" | Oficjalnie na Kremlu nie ma żadnych dublerów. Specjaliści podnoszą, że na całym świecie służby ochraniające polityków stosują taki trik: do samochodu oznaczonego jako prezydencki wsiada osoba podobna do danego polityka, podczas gdy sam prezydent podróżuje innym pojazdem. Dlatego służby poszukują dublerów. Potwierdzenia, że prezydent Rosji korzysta z takich rozwiązań, służba prasowa nie wydała.

Za to pojawiające się regularnie pytania o sobowtórów musiały Putina na tyle wyprowadzać z równowagi, że zdecydował się dać temu odpór. W wywiadzie, którego w lutym 2020 r. udzielił agencji TASS, zapewnił, że nigdy nie miał sobowtórów. „Zrezygnowałem z takiego rozwiązania. To było jeszcze w najcięższych czasach walki z terroryzmem, na początku dekady lat dwutysięcznych".

Dziennikarz prowadzący rozmowę podpowiadał, że obecność klona byłaby uzasadniona w sytuacjach niebezpiecznych. Ale Putin pokręcił głową, dając do zrozumienia, że nie chciał, aby ktokolwiek nadstawiał za niego karku. Kreml konsekwentnie trzyma się tej kanonicznej wersji: Putin jest prawdziwy, a insynuacje na temat dublerów to teorie spiskowe, nic więcej.

CZAS SAMOIZOLACJI | Jednak od tego wywiadu minął jakiś czas i zdarzyło się kilka sytuacji, w których trudno stuprocentowo wykluczyć udział sobowtóra.

Zacznijmy od tego, że wielkie zmiany w zwyczajach Putina wprowadziła pandemia. Odciął się od świata, schronił w przerobionej na twierdzę rezydencji pod Moskwą. Tak chętny niegdyś do pokazywania się wśród ludzi, zrezygnował nawet z zademonstrowania społeczeństwu, że zaszczepił się rekomendowaną przez władze rosyjską szczepionką; ograniczono się do komunikatu.

Przeciwnicy kpili z obaw Putina o zdrowie, traktując jako materiał do niezliczonych memów zdjęcia z rzadkich spotkań na Kremlu, gdy siedział u szczytu długiego stołu, a jego gość w bezpiecznej odległości na drugim końcu. Jak ćwierkały dobrze poinformowane wróble, przed oblicze Putina mogli być dopuszczeni tylko ci, którzy przeszli dwutygodniową kwarantannę, testy i analizy wydzielin. Dotyczyło to nie tylko gości, ale też ochrony.

Nadzwyczajne środki ostrożności zachowano też po ogłoszeniu końca pandemii. Nawet w kwietniu 2023 r., na uroczystości wręczenia listów uwierzytelniających przez nowych ambasadorów, Putin stał samotnie w gigantycznej Sali Gieorgijewskiej za zaimprowizowaną trybuną, z dala od zebranych. Wygłosił mowę, ale nie podszedł do dyplomatów, nikomu nie podał ręki. Samoizolacja w pełni.

NOCĄ W MARIUPOLU | „Lider, który nie boi się napaść na sąsiedni kraj, za to lęka się podejść blisko do własnych ministrów, przejdzie do historii i będzie opisywany w podręcznikach jako przedziwne ↦

↦ indywiduum" – pisała niedawno Julia Łatynina w „Nowej Gazecie. Europa".

Po czym zauważała, że „w ostatnim półroczu równolegle pojawił się jednak drugi Putin, odmienny od tego lękliwego. Nowy typ Putina osobiście wybiera się na Krym. Przejeżdża mostem Krymskim (co prawda kamerzysta pokazuje ten przejazd z tyłu, widz może obejrzeć jedynie potylicę wodza). Odwiedza też w marcu Mariupol i nocą za kierownicą samochodu objeżdża okupowane miasto (używa kierunkowskazów i zatrzymuje się na światłach), a nawet śmigłowcem leci na linię frontu (to znaczy: tak mówi służba prasowa Kremla, bo wiele szczegółów w tej relacji świadczy o inscenizacji). Podczas tej wyprawy, lekceważąc śmiertelne zagrożenie ze strony wirusów i bakterii, podaje dłoń generałom, a nawet spontanicznie go witającym mieszkańcom Mariupola".

„Tak rażąca różnica w zachowaniu kazała sceptykom zastanowić się, czy nie mamy do czynienia z dwoma Putinami: oto wcielenie ostrożne i wcielenie brawurowe. Jeden Putin w dwóch postaciach?" – pytała Łatynina.

Warto dodać, że zaskakująca wizyta Putina w zniszczonym Mariupolu odbyła się wkrótce po tym, jak pozycje ukraińskiej armii w okolicach Awdijiwki odwiedził prezydent Zełenski. Taki specyficzny mecz.

BUTY BEZ WKŁADEK? | Zdaniem Łatyniny za teorią, że na Krymie i w Mariupolu zastąpił Putina sobowtór, przemawia to, iż ta podróżująca wersja zachowuje się zupełnie inaczej niż gospodarz Kremla, do jakiego przywykliśmy. Postępuje nierozsądnie z punktu widzenia człowieka skrajnie dbającego o zdrowie, którego widzimy podczas spotkań z politykami. Tam Putin nikomu nie podaje ręki. Wyjątek zrobił tylko dla przywódcy Chin Xi Jinpinga, gdy ten w marcu odwiedził Moskwę.

Tymczasem człowiek, który nocą przemykał po Mariupolu, zajrzał z niezapowiedzianą gospodarską wizytą do jednego z mieszkań. Kamera uchwyciła twarz gościa w świetle żarówki – miał mały cofnięty podbródek, inny niż ten, do którego Putin przyzwyczaił widownię. To także dało asumpt do rozważań, czy mieliśmy sposobność zobaczyć sobowtóra.

Za teorią, że w Mariupolu Putina zastąpił dubler. przemawia wrażenie, iż ta podróżująca wersja zachowuje się całkiem inaczej niż Putin, do jakiego przywykliśmy.

Niemiecki dziennik „Bild" analizował wtedy owal twarzy, kształt małżowiny usznej, wzrost. Zdaniem gazety autentyczny Putin chodzi w specjalnych butach na koturnach, dodających mu wzrostu, sobowtór zaś nosił buty bez podwyższających wkładek.

POCAŁUNEK W DERBENCIE | Kolejną okazję do domysłów dał bunt Jewgienija Prigożyna. Gdy herszt Grupy Wagnera wysłał swoich najemników na Moskwę, by zmienili szefostwo Ministerstwa Obrony, Putin wystąpił z orędziem, nazwał wagnerowców zdrajcami i... zniknął z radarów. Pojawił się dopiero, gdy Prigożyn poszedł na ustępstwa.

Wywołany przez Prigożyna kryzys miał kilka ważnych aspektów: Putinowi na oczach świata puściły nerwy, okazał niepewność. W Rostowie, skąd wyruszyli wagnerowcy, ludzie bratali się z nimi na ulicach. Potem na ich drodze do Moskwy nie pojawił się nikt, kto powstrzymywałby marsz buntowników i oddawałby życie w obronie prawowitego władcy.

Kremlowscy propagandyści musieli stanąć na głowie, by zniwelować to wrażenie, demolujące wizerunek przywódcy nieustraszonego i miłowanego. W tym celu naprędce zorganizowano niespodziewaną wizytę Putina w dagestańskim mieście Derbent. Widzowie musieli przecierać oczy ze zdumienia: oto chroniący się przed zarazkami i stroniący od ludzi prezydent rzucił się z serdecznościami w stronę oczekującej go sporej grupy mieszkańców. Ściskał dłonie, pozwalał się dotykać, obejmować, a nawet pocałował jedną z obecnych.

Wyreżyserowana spontaniczność miała przekonać Rosjan, że Putin kocha ludzi, a ludzie kochają Putina i żaden buntownik mu tego nie odbierze. I znów w odmętach internetu rozgorzała dyskusja: czy to autentyk się tak pieścił z obywatelami, czy tresowany zastępca?

A MOŻE WYSTARCZY HOLOGRAM? | Dbające o wizerunek Putina służby od lat zajmują się preparowaniem przekazu. Jednak obraz, który spływa z ekranów telewizorów, nie zawsze trzyma się kupy. Zdarzają się wtopy, podważające prawdziwość serwowanych propagandowych dań.

Od czasu, gdy w 2015 r. Putin z niewyjaśnionych do dziś przyczyn zniknął na wiele dni z życia publicznego, a jego rzecznik opowiadał dyrdymały o napiętym harmonogramie, do repertuaru dzienników telewizyjnych weszły tzw. konserwy – materiały nakręcone w nieokreślonym czasie, które emituje się w odpowiednim momencie. Trudno więc z całą pewnością wykazać, gdzie w danym momencie przebywa Putin. Czasami przekaz się rozjeżdża, gdy okazuje się, że jest jednocześnie i na Kremlu, i na dalekiej Syberii.

O to, że podczas ważnych wydarzeń prezydenta imituje już nie dubler, lecz hologram, zaczęto Putina podejrzewać w marcu 2022 r. Niespełna miesiąc od rozpoczęcia inwazji na Ukrainę na moskiewskim stadionie Łużniki odbył się koncert „Krymska wiosna". Kulminacyjnym momentem było pojawienie się Putina i jego słowa skierowane do upojonej pożądanym zwycięstwem hordy.

W pewnym momencie transmisja telewizyjna ze stadionu została przerwana, Putin zniknął z ekranu. Dziwna awaria pobudziła internet do dyskusji. Niektórzy wyrażali nadzieję, że Putina ustrzelił snajper. Inni pisali, że w telewizyjny obrazek wmontowano hologram.

■■■

W czasach mniej lub bardziej głębokich fake newsów wykreowanie wizerunku Putina bez Putina nie jest niemożliwe. Zwłaszcza gdy tego chce sam Putin, coraz mocniej obawiający się świata zewnętrznego.

Pogłoski o sobowtórach należą więc do żelaznego repertuaru kremlowskich legend – i być może nigdy się nie dowiemy, czy Udmurt z Bankietowym podzielili się władzą autentycznego Putina, który opuścił Kreml i rozpłynął się we mgle.

© ANNA ŁABUSZEWSKA

REKLAMA

Kraków

JACEK MAJCHROWSKI
PREZYDENT MIASTA KRAKOWA
ZAPRASZA

conradfestival.pl

15. Międzynarodowy
Festiwal Literatury
im. Josepha Conrada

MIGRACJE

Jak
wspólnie
zrozumieć
świat?

Kraków
23 – 29.10.2023

Sprawdź program

organizatorzy

dofinansowanie

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

partnerzy strategiczni

partnerzy

patroni medialni

księgarnia festiwalowa

ROZMOWA

NA KONTYNENCIE LATYNOSÓW

MARTÍN CAPARRÓS, REPORTER:

Nie możemy w kółko winić za wszystko konkwistadorów. Mieliśmy sporo czasu, aby zbudować społeczeństwa inne od tych, które nas podbiły.

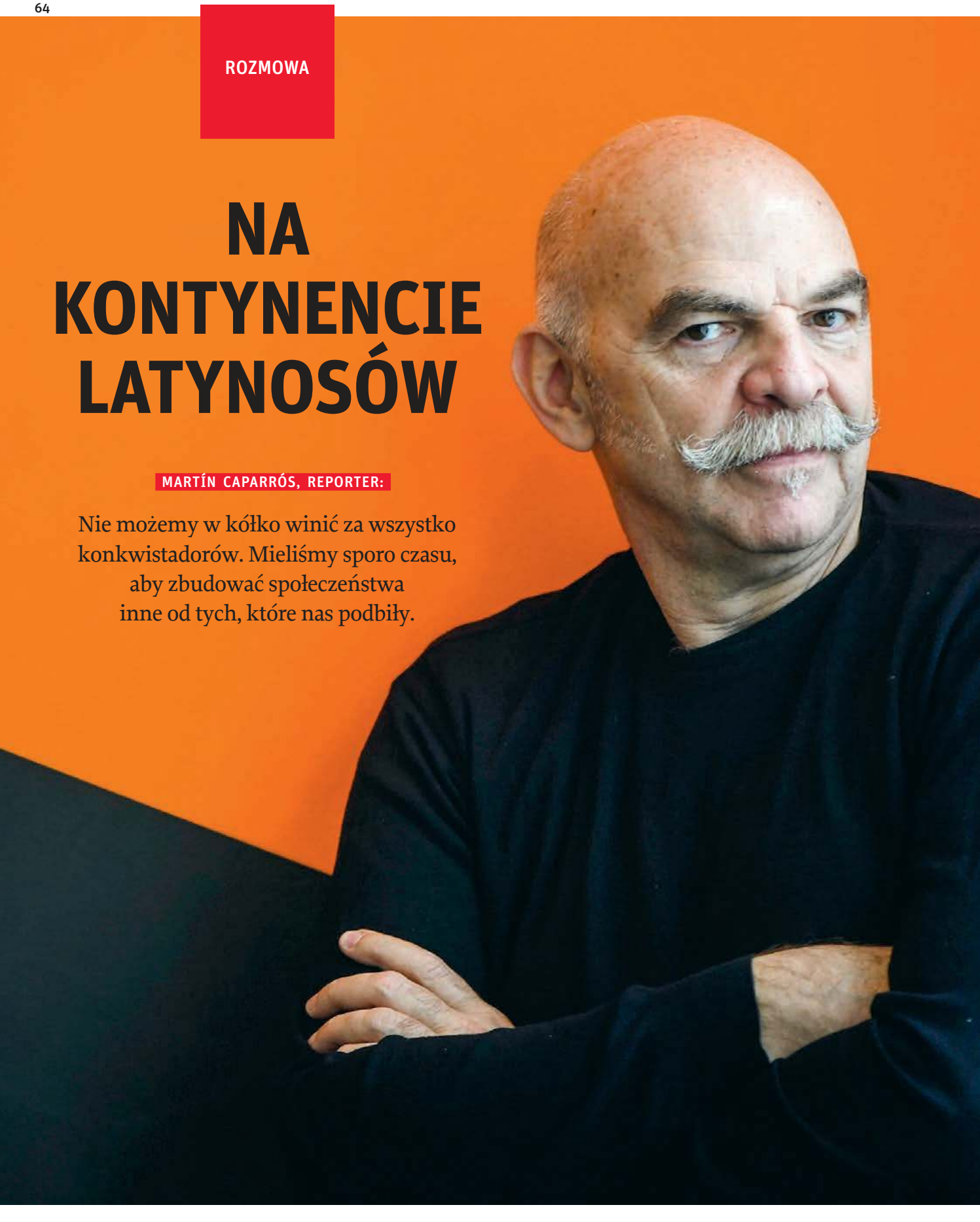

DOMA MATEJKO: Jak postrzegasz samego siebie? Jako Argentyńczyka czy, może przede wszystkim, Latynosa?

MARTÍN CAPARRÓS: Sam nie wiem. Ciekawą rzeczą w byciu Argentyńczykiem jest to, że ciągle zmieniamy kostiumy. Mamy częściowe, chwilowe tożsamości. Moi dziadkowie ze strony ojca urodzili się w Hiszpanii, podobnie sam ojciec. Babcia ze strony matki urodziła się pod Kijowem, dziadek – w Łodzi. Ja żyłem w Argentynie, a teraz mieszkam w Hiszpanii. Mam kuzynów w Anglii, Francji, USA i Izraelu. Cóż, są ludzie bardziej argentyńscy od nas – to pewne.

Ale bycie Argentyńczykiem to właśnie to – bycie wszystkim po trochu. Jorge Luis Borges pisał, że jako Argentyńczyk może przyjąć każdy aspekt globalnej kultury: „moim narodem jest świat". Idea, że jesteśmy mieszanką, odpręża mnie i uspokaja. W tym sensie lubię być Argentyńczykiem.

A jak postrzegali Cię inni Latynosi podczas podróży po kontynencie?

Przez wiele lat Argentyńczycy byli znienawidzeni przez resztę Ameryki Łacińskiej. Ponoć byliśmy odrobinę dumni i mieliśmy się za lepszych. Wynikało to z tego, że w odróżnieniu od innych państw kontynentu u nas przez wiele dekad istniała klasa średnia. A od kilku lat bardzo dziękuję naszym chilijskim braciom, którzy obecnie przejęli tę rolę. Nie było łatwo podróżować wiedząc, że dokądkolwiek się udasz, nie będą cię lubić.

Myślę nawet, że Chilijczyków nienawidzą bardziej. To oni są teraz nowymi bogaczami Ameryki Łacińskiej. My znaleźliśmy się w w dziwnym miejscu. Ludzie na nas patrzą i pytają: „Dlaczego mają tak, jak mają? Skąd ten kryzys? Dlaczego nie są tym, kim myśleli, że będą?".

Oprócz map oficjalnych, każdy kreuje własne, na podstawie doświadczeń. Ostatecznie namacalnie istnieją dla nas tylko te miejsca, w których byliśmy. Gdzie przebiega Twoja osobista granica Ameryki Łacińskiej?

Z pewnością poza tymi granicami znalazłaby się Brazylia. Ma zupełnie inną historię, kulturę i język. Zawsze gdy próbowałem pracować nad Ameryką Łacińską jako całością, odkrywałem, że Brazylia jest czymś innym. To kraj, który postanowił żyć w odcięciu od reszty kontynentu.

W pewnym momencie wyszło więc na to, że pisałem dwie książki jednocześnie. Aby pisać o tym, co chcę i jak chcę, muszę pominąć Brazylię. Może jeszcze kiedyś o niej napiszę, choć nie sądzę. Nie mam żadnego związku z tym krajem i uważam, że jest to dość dziwne i dość powszechne zarazem. Opublikowałem w Brazylii chyba sześć książek i nigdy nawet do mnie nie zadzwonili, żebym o nich opowiedział, a mieszkałem w Buenos Aires, czyli zaledwie dwie godziny lotu od São Paulo. Lubię i szanuję brazylijską literaturę i muzykę, ale, paradoksalnie, jest mi ona tak samo bliska jak np. literatura polska.

Do mojej Ameryki Łacińskiej włączyłbym natomiast Miami, bo to miejsce mocnej krystalizacji tego, co latynoskie. W Miami kiedy spotka się Kolumbijczyk z Chilijczykiem, są dla siebie nawzajem tym, kim są: Kolumbijczykiem i Chilijczykiem. Dla każdej innej osoby z zewnątrz są jednak Latynosami i tyle.

Trwa spór o to, w jakim stopniu latynoscy akademicy, aktywiści i pisarze są moralnie uprawnieni do tego, żeby zabierać głos za bohaterów wydarzeń, o których mówią i piszą, a w jakim stopniu powinno się oddać głos im samym. Po hiszpańsku sprowadza się to do pytania, czy można „hablar por", „mówić za" kogoś. Za kogo teraz mówi literatura latynoska? Komu oddaje głos?

Z pewnością to wspaniały moment dla gawędziarzy i prawdą jest też, że w Ameryce Łacińskiej wydaje się teraz znacznie więcej kobiet. To one przejmują stery. I dobrze.

Myślę o dwóch świetnych kronikarzach, zaledwie trzydziestoletnich, takich jak Carlos Manuel Álvarez – Kubańczyk, któremu właśnie została przyznana Nagroda Anagrama. Napisał ważną książkę o kubańskim ruchu oporu przeciwko cenzurze sztuki, utworzonym przez artystów i aktywistów, zwanym Movimiento San Isidro. Drugi autor to Peruwiańczyk Joseph Zárate, który też zdobył już kilka nagród, w tym jedną od Fundacji Garcíi Márqueza. Jego ostatnia książka opowiada o pochówkach ofiar pandemii covida w Limie.

Álvarez pisze o kubańskiej dyktaturze, ale już np. kolumbijska pisarka młodego pokolenia Lorena Salazar Masso w książce „Esta herida llena de peces" („Ta rana pełna ryb") opisuje strach i macierzyństwo w kontekście kolumbijskiego konfliktu, pisze też o kolumbijskiej dżungli. Opisywane przez Álvareza i Masso rzeczywistości dzieli więc nie tylko odległość geograficzna, ale też kompletnie inny kontekst historyczny i kulturowy. Trudno po lekturze ich tekstów stworzyć spójny obraz współczesnej Ameryki Łacińskiej.

O tym, co składa się na na dzisiejszy jej obraz, możemy dyskutować. Jednak pewne jest to, że nie ma w świecie innego regionu, w którym ponad 20 państw miałoby wspólny język, kulturę i historię. Ten fakt tworzy pewną jednorodność.

Dla nas, Latynosów, to zupełnie normalne – zawsze tak było. Ale ten fenomen nie występuje nigdzie indziej. Oczywiście to nie znaczy, że jesteśmy jednorodni. Jest nas czterysta kilka milionów, mamy różne klimaty, środowiska naturalne i historie, które ciągle się zmieniają. Między Meksykiem a Urugwajem różnice są ogromne. Zawsze najbardziej bawi mnie Kolumbia. Jest jak koncentrat, kostka rosołowa, która nadaje smak całości. To miejsce, w którym rzeczy przyjmują ostateczną formę, i to stamtąd zaczynają krążyć po świecie. ↦

MARTÍN CAPARRÓS (ur. 1957) – argentyński reporter, powieściopisarz i tłumacz (przekładał m.in. Woltera i Szekspira). Pracował w radiu, telewizji i prasie. Jest autorem ponad dwudziestu reportaży tłumaczonych na wiele języków, m.in. „Głodu" (wyd. pol. 2016) oraz przełożonej ostatnio na język polski „Ñameryki", zapisu podróży przez Amerykę Łacińską – wokół tej książki toczy się publikowana wyżej rozmowa.

FREDRIK SANDBERG / TT NEWSAGENCY / FORUM

↦ **Jak realizm magiczny?**

Tak, słynny realizm magiczny Márqueza. Tylko że on nie zaczął się w Kolumbii. Alejo Carpentier tworzył w tym nurcie na Kubie, Juan Rulfo w Meksyku, a mimo to realizm magiczny ma silne kolumbijskie piętno. To samo dzieje się z reggaetonem. W rzeczywistości ten gatunek muzyczny pochodzi z Puerto Rico, a jednak teraz najsłynniejszymi wykonawcami są Kolumbijczycy.

Kiedy studiowałam w Bogocie, moi profesorowie często komentowali bieżącą sytuację polityczną w Polsce. Pamiętam też, że wykładowca mówił o naszych sejmikach szlacheckich. Zastanawiałam się wtedy, czy podobna sytuacja mogłaby mieć miejsce w Polsce. Czy ktoś, kto nie jest związany z regionem, przytoczyłby nagle jakiś szczegół z historii Kolumbii? Pytam, bo w ten sposób myślę o Twojej książce, „Ñameryce" – że to próba przywrócenia znaczenia Ameryce Łacińskiej i przypomnienia o istnieniu tego poniekąd zapomnianego regionu.

Moim celem była chęć zrozumienia tego regionu. Nie ma on dużego znaczenia w światowej geopolityce. Żyje tu ok. 5, może 6 proc. mieszkańców świata, wytwarza się tu jakieś 5 proc. światowego PKB. Ale Ameryka Łacińska jest nadreprezentowana kulturowo. Przynajmniej w pewnych dziedzinach, które obecnie są szeroko rozpowszechnione, mam na myśli muzykę, piłkę nożną i być może, w mniejszym stopniu, literaturę. To wręcz dziwne – kulturowo jesteśmy o wiele bardziej obecni, niż uzasadniałoby to nasze znaczenie ekonomiczne i społeczne. Argentyna jest krajem przeciętnym pod każdym względem, ale wyprodukowaliśmy więcej koszulek ze sławnymi ludźmi – naszymi rodakami – niż jakikolwiek inny kraj. Mam na myśli Che Guevarę, Maradonę, Messiego, papieża i Evę Perón.

W książce pokazujesz, że wiele stereotypowych skrajności, które wiążemy z całym regionem, nie jest aktualnych. Piszesz np. o rodzącej się klasie średniej czy postępującej urbanizacji.

Te skrajności to nasza codzienność i zarazem właśnie najpowszechniejsze stereotypy. Książkę pisałem, aby się im ponownie przyjrzeć, zobaczyć, co jest prawdą, a co nie. Chciałem zbadać możliwie wszystkie *cliché*, aby dowiedzieć się, w jakim stopniu odpowiadają realiom. Niektóre powstały dawno temu i w żaden sposób nie odzwierciedlają aktualnej rzeczywistości.

Co na przykład?

Choćby przekonanie o tym, że Ameryka Łacińska jest kontynentem, w którym przyroda zajmuje centralne miejsce. Ten pogląd jest niezwykle rozpowszechniony. Ludzie myślą o dżunglach, rzekach, górach, pustyniach, pampach itd. I faktycznie, jeszcze 50 lat temu ponad połowa Latynosów żyła blisko środowiska naturalnego – bo ponad połowę społeczeństwa stanowili chłopi. Ale teraz to region o najwyższym odsetku ludności miejskiej.

Niektóre aspekty latynoskich miast są fascynujące. Np. transport publiczny w kolumbijskiej stolicy, gdzie idąc za przykładem brazylijskiej Kurytyby, stworzono system transportu autobusowego, który zastępuje metro. Ale o latynoskich miastach mówi się mało. W Polsce na popularności zyskują natomiast rytuały kakao i ayahuaski, które są mocno związane z naturą, ale zostały skomercjalizowane i zniekształcone.

To dobry przykład stereotypu, według którego kontakt z naturą jest dla nas najważniejszy. A prawda jest taka, że co czwarty, piąty mieszkaniec regionu żyje w mieście.

Podobnie jest z przemocą. Powszechnie uważa się, że Ameryka Łacińska jest najbardziej brutalnym regionem na świecie. I wydawało się, że tacy jesteśmy z natury, bo mamy w genach coś, co czyni nas, powiedzmy, gwałtownymi. Zastanawiałem się, czy tak rzeczywiście jest? Zacząłem się rozglądać i próbować policzyć skutki tej przemocy. Wyniki tej rachuby były imponujące. Przez cały XX wiek w Europie było ok. 80-85 mln ofiar przemocy publicznej.

Ustalmy, co masz na myśli mówiąc o „przemocy publicznej".

To ta przemoc, kiedy jedno państwo występuje przeciwko drugiemu, czyli kiedy dochodzi do wojny, albo kiedy państwo występuje przeciwko swoim obywatelom, czyli prowadzi represje. W Azji było ponad 100 mln ofiar tego rodzaju przemocy, w Afryce od 15 do 20 mln. W tym samym czasie w Ameryce Łacińskiej było mniej niż 2 mln ofiar. To i tak, podkreślam, bardzo dużo, ale wciąż 40 razy mniej niż w „wysoko cywilizowanej" Europie. Więc jak to jest? Czy naprawdę jesteśmy aż tak brutalni?

W Ameryce Łacińskiej przez cały XX wiek nie było wojen. Była jedna mała wojna między Paragwajem i Boliwią, która szybko się skończyła, podczas gdy reszta świata zabijała się nawzajem. I przypuszczam, że ma to również związek z tym, o czym mówiliśmy na początku, z faktem, że istnieją wspólna historia i kultura, co, jak sądzę, utrudnia walkę z bliźnim.

Z drugiej strony ostatnio obchodziliśmy 50. rocznicę zamachu stanu w Chile, który dał początek brutalnej dyktaturze wojskowej. W Argentynie w latach 1976-83 przeciwników prawicowej dyktatury więziono, a następnie zrzucano żywych z samolotów do Río de la Plata.

Często podkreśla się, że w tzw. *Cono Sur*, czyli na samym południu kontynentu, w Chile i Argentynie, rządy zabiły wielu obywateli. Racja, ale te mniej więcej 30 tys. zaginięć, które miały miejsce w Argentynie, odpowiada, powiedzmy, jednemu łagodnemu tygodniowi w czasie czystek stalinowskich w 1936 r. To, co działo się u nas, w sensie statystyk to nic w porównaniu z tym, co zrobiono w innych częściach świata.

Ciężko chyba tak porównywać okrucieństwo.

Owszem, po prostu zastanawiałem się, dlaczego jako Latynosi jesteśmy postrzegani jako ludzie agresywni. Przyszło mi do głowy, że w latach 80. i 90. XX w. w Ameryce Łacińskiej sprywatyzowano wiele firm, ale sprywatyzowano również przemoc. W niektórych krajach i w niektórych sektorach biznesu przedsiębiorcy chcieli robić to samo, co od wieków robili bogacze, czyli wydobywać i eksportować surowce. Pro-

blem w tym, że tym razem surowcem stała się koka przerobiona w kokainę i ci nowi „przedsiębiorcy" musieli zatrudnić uzbrojonych ludzi.

To właśnie ten rodzaj przemocy – biznesowej, prywatnej – spowodował, że niektóre kraje w regionie mają bardzo wysoki wskaźnik przestępczości. Ale w skali regionu to nieliczne grupy osób i należy podkreślić, że działają z bardzo konkretnego powodu.

W Ameryce Łacińskiej przez cały XX wiek nie było wojen. Istniejąca tu wspólna historia i kultura utrudnia walkę z bliźnim.

Latynoscy politycy często uciekają się do kolonializmu, chcąc w ten sposób usprawiedliwić przemoc i nierówności społeczne, o których mówisz. Socjalistyczny prezydent Wenezueli Nicolás Maduro mówi: „200 lat temu zniewolili nas i splądrowali nasze bogactwo oraz nałożyli piętno kolonializmu, nędzy, wyzysku, zacofania i zależności. To piętno wciąż jest nie do pokonania".

Nie możemy w kółko winić za wszystko hiszpańskich konkwistadorów. Wynika to z kolejnego stereotypu na temat Ameryki Łacińskiej, według którego kraje regionu są bardzo młode. Zawsze myślimy o nich jak o krajach, które dopiero co powstały, prawda? Tymczasem większość państw Ameryki Łacińskiej jest starsza niż prawie wszystkie inne na świecie.

Mieliśmy sporo czasu, aby zająć się naszymi problemami i zbudowaniem społeczeństw innych od tych, które nas podbiły. Ale nie chcieliśmy przemian i budowania nowych społeczeństw. Elity, które wyłoniły się w czasach kolonialnych, przetrwały do dzisiaj i chcą robić to, co robiły zawsze, czyli wydobywać i eksportować surowce. W pewnym momencie – nawet przez większą część XX w. – imperium hiszpańskie zostało zastąpione rzekomym imperium północnoamerykańskim. Efekt był jednak taki sam, a problemy społeczne narastały. Nasze kraje podporządkowywały się Stanom Zjednoczonym dlatego, że lokalne elity uznały to podporządkowanie za wygodne. Było dla nich konieczne, aby utrzymać się u władzy. Uważam zatem, że jeżeli chodzi o przyczynę naszych aktualnych problemów, to powinniśmy znaleźć sobie nową wymówkę.

W książce zwracasz uwagę na fakt, że do niedawna w regionie praktycznie nie było klasy średniej. Były głównie elity i ludzie biedni, czyli znowu ekstrema.

Klasa średnia jest fenomenem stosunkowo nowym. Wyjątkiem są Urugwaj, Argentyna i po części Chile, gdzie od 100 lat istnieje klasa średnia. I to zawsze stanowiło ogromną różnicę na tle innych państw regionu. Szczególnie w przypadku Argentyny, która z tych państw jest największa, ta różnica w jakiś sposób sprawiła, że my, Argentyńczycy długo nie czuliśmy się Latynosami. Przyznaję: jest to dość odrażające, ale ma właśnie podłoże ekonomiczne. Klasa średnia, której na reszcie kontynentu właściwie nie było, ukształtowała Argentynę. Podczas gdy w innych krajach państwo nie oferowało swoim obywatelom nic, w Argentynie mieliśmy publiczną służbę zdrowia, edukację – i to bardzo dobrą – oraz PKB dużo wyższy niż reszta kontynentu. Później się to zaczęło zmieniać: klasa średnia raz się umacniała, raz upadała, a my, Argentyńczycy, stawaliśmy się coraz bardziej latynoamerykańscy. W międzyczasie w innych krajach, np. w Kolumbii, zaczęło pojawiać się coś na kształt klasy średniej.

Krytykujesz jednak jej ideę.

Rządy i organizacje międzynarodowe lubią mówić o wzroście klasy średniej, bo to daje złudzenie, że mają korzystny wpływ na społeczeństwo. Problem w tym, że do klasy średniej zaliczają każdego, kto nie żyje w skrajnej biedzie. Dokonują podziałów społecznych według dochodów i każdy, kto ma dochód powyżej minimalnej płacy, czyli więcej niż trzy lub cztery dolary dziennie, jest uważany za klasę średnią. Czasami jednym z wyznaczników jest też fakt posiadania stałej pracy.

W rzeczywistości tak definiowana klasa średnia to nic innego jak klasyczna klasa robotnicza, która ma bardzo niskie dochody i – w większości – gwarantowaną pracę, pozwalającą np. posyłać dzieci do szkoły. Według logiki, jaką przyjmuje wiele krajów regionu, istnieje margines społeczny obejmujący 20-30 proc. mieszkańców danego kraju, którzy żyją na granicy ubóstwa lub w skrajnym ubóstwie, a każdy, kto jest powyżej tych 20 proc., jest już klasą średnią. Ta źle sformułowana definicja ma silne skutki polityczne, często zresztą pozytywne, ponieważ wielu ludzi uwierzyło, że należy do klasy średniej, i to dało im argumenty do walki o swoje prawa i poziom życia, który faktycznie byłby zgodny z definicją klasy średniej.

Tak się stało w czasie protestów w Chile czy w Kolumbii. Rządy mówią obywatelom, że należą do klasy średniej, więc cóż się dziwić, że ci chcą przywilejów, które wynikają z przynależności do tej grupy społecznej.

Czy któryś z polskich pisarzy był dla Ciebie inspiracją przy pracy nad „Ñameryką"?

Autorem z Polski, o którym zawsze myślę w pierwszej kolejności, jest Gombrowicz. Wynika to z faktu, że spędził długie lata w Argentynie. Czytałem go od małego. Zawsze mnie fascynował, zawsze był dla mnie ważny.

Innym literackim punktem odniesienia jest Kapuściński, którego nawet trochę znałem. Wiele z jego książek uważam za wybitne, przede wszystkim „Heban" i „Imperium". Uważam, że łączą się z „Ñameryką" w swojej próbie zsyntetyzowania wielkich regionów. Różnica polega na tym, że narracja Kapuścińskiego jest bardzo opisowa. Moja książka jest bardziej esejem.

Ostatnio czytam też Olgę Tokarczuk. Ale kiedy mówię o tych autorach, myślę jeszcze o jednej rzeczy związanej z Polską. Chyba cytuję ją nawet w „Ñameryce". Mój dobry znajomy, meksykański pisarz, twierdzi, że gdyby Hiszpania nie podbiła Ameryki, zrobiłaby to Polska. Podobnie jak Hiszpania, jest to kraj, który liczy ok. 40 milionów ludzi mówiących językiem, w którym nie mówi nikt inny. Teoretycznie Polska też mogłaby kulturowo zagarnąć Amerykę Łacińską.

© Rozmawiała DOMA MATEJKO

HISTORIA

MARINES Z POKUCIA

W wirze przewrotów i wojen, który po 1917 r. nastał w upadłym imperium carów, Ukraińcy próbowali stworzyć i swoje państwo, i jego siły morskie. Dlaczego werbowali do nich Hucułów?

GRZEGORZ SKRUKWA

Gdy wiosną roku 2022 Rosjanie otoczyli Mariupol, miasta tego bronili żołnierze głównie z dwóch jednostek. O pułku „Azow" mówiono wiele. Druga jednostka jest mniej znana: 36. Brygada Piechoty Morskiej im. kontradmirała Mychajła Biłynskiego. W obronie Mariupola prawie całkowicie zniszczona, potem odtworzona. Istnieje też 35. Brygada Piechoty Morskiej im. kontradmirała Mychajła Ostrohradskiego. Obie brygady biorą dziś prawdopodobnie udział w kontrofensywie na południu Ukrainy.

NAWIGATOR Z KALISZA | Kiedy to przed rokiem 1991 Ukraina miała admirałów, których imiona wzięto teraz na sztandary? Jej morskie tradycje długo były zapomniane, przemilczane, wyszydzane. W czasach komunizmu więcej mógł się o nich dowiedzieć polski czytelnik niż mieszkaniec Ukrainy pod rządami sowieckimi. W PRL-owskiej literaturze napomykano bowiem, że dowódca Polskiej Marynarki Wojennej podczas II wojny światowej, admirał Jerzy Świrski, miał epizod służby dla, jak pisano, „kontrrewolucyjnego rządu ukraińskiego hetmana Skoropadskiego".

Istotnie, ten urodzony w Kaliszu główny nawigator Floty Czarnomorskiej w 1918 r. był szefem Sztabu Morskiego i wiceministrem marynarki powstałego wtedy Państwa Ukraińskiego. W 1919 r. wrócił do Polski i sześć lat później został szefem Kierownictwa Marynarki Wojennej. Pozostał nim i za rządów sanacji, i przez całą II wojnę światową, jako jedyny z przedwrześniowych wyższych dowódców – co świadczy, że był uważany za niezastąpionego fachowca (zmarł w 1959 r. w Londynie).

Dziś jest dobrze wspominany na Ukrainie: w 2015 r. na gmachu Morskiej Straży Granicznej w Odessie wmurowano dwujęzyczną ukraińsko-polską tablicę na jego cześć. Ale nie był on jedynym ukraińskim admirałem.

W OGNIU REWOLUCJI | W roku 1917 także Flotę Czarnomorską chwiejącego się Imperium Rosyjskiego ogarnęło wrzenie. Część marynarzy była lojalna wobec Rządu Tymczasowego (powstałego po rewolucji lutowej, która obaliła carat), część popierała bolszewików lub anarchistów, ale wpływy we Flocie zyskiwała też idea niepodległej Ukrainy. Ukraińcy stanowili 65-80 proc. składu Floty, a od lata 1917 r. na rozpolitykowanych okrętach coraz częściej pojawiały się błękitno-żółte flagi.

W styczniu 1918 r. utworzono ministerstwo marynarki nowo powstałej Ukraińskiej Republiki Ludowej, ale nie udało mu się przejąć kontroli nad Flotą – wśród marynarzy zatriumfowały sympa-

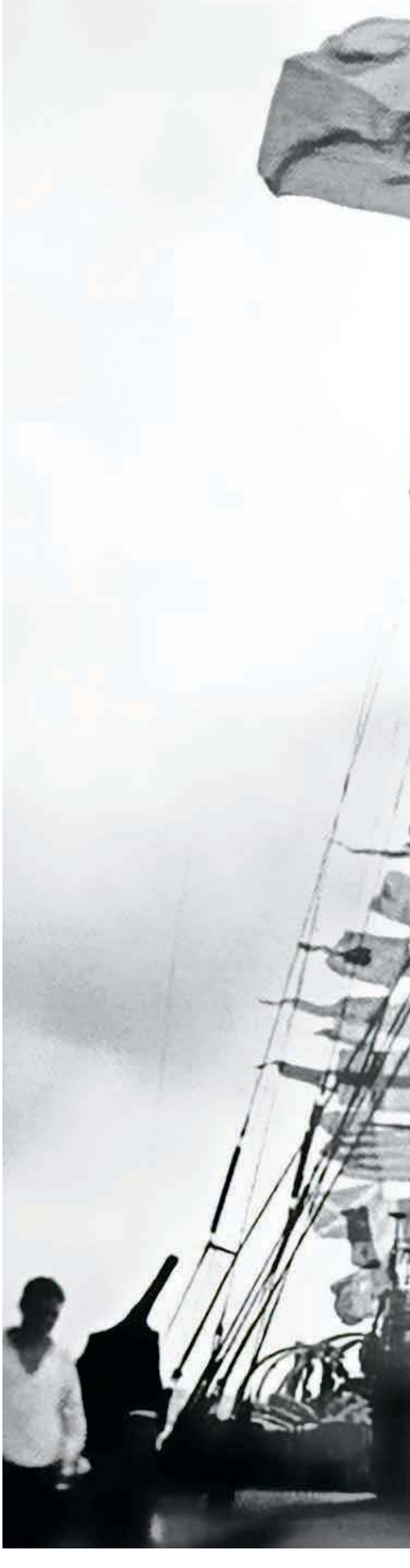

WIKIPEDIA.ORG

tie do bolszewizmu. Ukraina nie aspirowała zresztą wtedy do Krymu, na którym powstała Krymska Republika Ludowa – państwowość Tatarów Krymskich – podczas gdy większość Floty stacjonowała w krymskim Sewastopolu.

W końcu stycznia 1918 r. Krym opanowali bolszewicy, rozpętując terror. W kwietniu rząd ukraiński wysłał tam jednak wojska pod dowództwem płk. Petra Bołboczana. W błyskawicznym rajdzie wdarły się na półwysep, zajmując Symferopol i docierając pod Sewastopol. Wyprzedzały o krok wojska niemieckie, które wkraczały na Ukrainę po traktacie brzeskim (zawarty w lutym 1918 r., kończył I wojnę światową na froncie wschodnim, a jednym z jego postanowień było powstanie państwa ukraińskiego).

Rząd Lenina słał do Sewastopola telegramy z rozkazami, by okręty odpłynęły z Krymu na wschód, do Noworosyjska, lecz marynarze nie byli skłonni słuchać. 29 kwietnia 1918 r. na większości okrętów podniesiono ukraińskie flagi. Niemcy wystosowali jednak ultimatum z żądaniem wycofania sił Bołboczana z Krymu. Wtedy, 30 kwietnia, dwa pancerniki i siedem niszczycieli wypłynęły w końcu do Noworosyjska. Następnego dnia do Sewastopola wkroczyli Niemcy i zajęli pozostałe okręty.

MARYNARZE RZECZNI | Szansa na posiadanie marynarki przez Kijów nie była jednak stracona – Niemcy poparli nowy konserwatywny rząd hetmana Skoropadskiego i przekazali mu stocznie w Mikołajowie. A tam w budowie był pancernik „Diemokratija" (były „Imperator Nikołaj II"), kilka krążowników i kilkanaście niszczycieli. Tworzono sztaby morskie, w formowanie których zaangażował się właśnie komandor Świrski, awansowany przez rząd w Kijowie na kontradmirała.

Innym twórcą ukraińskiej marynarki był kontradmirał Mychajło Ostrohradski – potomek kozackiego rodu, spokrewniony z XVIII-wiecznym hetmanem Danielem Apostołem. Podczas I wojny światowej był kolejno dowódcą krążownika, pancernika i garnizonu Sewastopola, a w latach 1917-18 jednym z liderów ukraińskiego ruchu narodowo-demokratycznego we Flocie. To on w dniach 29 kwietnia – 1 maja 1918 r. dowodził Flotą, gdy przez kilka dni miała na masztach ukraińskie flagi.

Potem, w skomplikowanej sytuacji politycznej, próbował odzyskać dla Ukrainy okręty, negocjując z Niemcami, a potem z Ententą, już jako wiceminister marynarki Ukrainy. Po zawarciu sojuszu polsko-ukraińskiego w 1920 r. został mianowany przez Symona Petlurę dowódcą Floty Czarnomorskiej – choć miało to już znaczenie wyłącznie symboliczne, jako sygnał, że Ukraina chce być państwem morskim. Wojska polskie i ukraińskie we wspólnej ofensywie dotarły jednak tylko do linii Kijów-Bracław-Jampol, skąd do morza było jeszcze 300 km.

Lecz marynarze byli potrzebni także na rzekach – była to epoka rzecznych monitorów i kanonierek. W lipcu 1920 r. w Łańcucie zaczęto formować batalion marynarzy, który po zajęciu Kijowa miał stać się załogą flotylli na Dnieprze. Nie zdążono jej utworzyć, a niedoszli marynarze rzeczni stali się załogą pociągu pancernego „Czornomoreć", który walczył z Armią Czerwoną. Kontradmirał Ostrohradski został latem 1920 r. wysłany do Bukaresztu jako szef misji wojskowo-dyplomatycznej. Tam już pozostał i zmarł w 1923 r.

HUCULSKI PUŁK | Cofnijmy się w czasie. Po upadku hetmana Skoropadskiego, w grudniu 1918 r. ministrem marynarki odnowionej Ukraińskiej Republiki Ludowej został komandor Mychajło Biłynski, były oficer Floty Bałtyckiej. Zdążył ↦

Okręt „Pamiat' Merkurja" z flagą Ukrainy, Odessa, 1917 r.

ARCHIWUM AUTORA

Minister Mychajło Biłynski i porucznik Światosław Szramczenko w mundurach Huculskiego Pułku Piechoty Morskiej, 1919 r. Reprodukcja za „Litopys Czerwonoji Kalyny" sprzed 1939 r.

↦ wydać rozkazy nadające ukraińskie nazwy okrętom stojącym na pochylniach w Mikołajowie – pancernik zyskał nazwę „Soborna Ukraina" („Zjednoczona Ukraina"), a krążowniki zamiast imion carskich admirałów dostały nazwy „Hetman Bohdan Chmielnicki", „Hetman Petro Doroszenko", „Hetman Petro Konaszewycz Sahajdacznyj" i „Taras Szewczenko".

Przede wszystkim jednak, ponieważ Ukraina na przełomie lat 1918/19 straciła wybrzeże czarnomorskie, Biłynski przygotowywał wojska do jego odzyskania. I tak, w styczniu 1919 r. w Kołomyi zaczęto formować 1. Huculski Pułk Piechoty Morskiej.

Co Huculi mogli mieć wspólnego z morzem? Na pierwszy rzut oka powinno się z nich formować piechotę górską, a nie morską, tj. przeznaczoną do operacji morskich – jak ci najsłynniejsi, amerykańscy marines. A jednak: Kołomyja to stolica Pokucia, krainy Hucułów, a do piechoty morskiej zamierzano werbować zwłaszcza marynarzy z austro-węgierskiej marynarki, których spodziewano się znaleźć w Galicji.

Okazało się wprawdzie, że Ukraińców mających za sobą służbę na Adriatyku jest mało, ale za to na Pokuciu nie brakowało ludzi obytych z niebezpieczeństwami na wodzie – byli to Huculi, zajmujący się spławem drewna na Prucie i Czeremoszu. Pułk miał czarne mundury w stylu marynarskim i własny system oznaczeń stopni, z kotwiczkami na rękawach. A co najważniejsze, okazał się bitny i wytrwały.

OSTATNIE BOJE | W kwietniu 1919 r. Biłynski stracił urząd ministra, po czym objął dowództwo huculskiego pułku, który zaczął rozbudowywać do rozmiarów dywizji. Huculska piechota morska walczyła przeciw Armii Czerwonej na Podolu latem i jesienią 1919 r., potem jej resztki brały udział w Pochodzie Zimowym – desperackim marszu na tyły „białej" armii Denikina i Armii Czerwonej – po czym walczyły przeciw bolszewikom w okresie sojuszu polsko-ukraińskiego w 1920 r.

Gdy Polska zawarła z Sowietami w 1921 r. pokój ryski, część internowanych w Polsce i Rumunii żołnierzy ukraińskich nie godziła się z przegraną. Na sowieckiej Ukrainie wciąż walczyło kilkadziesiąt tysięcy chłopskich powstańców w luźnych grupach. Wydawało się, że wystarczy skoordynować ich działania, a wybuchnie ogólnokrajowe powstanie.

W listopadzie 1921 r. na kontrolowaną przez bolszewików Ukrainę wkroczyły trzy kilkusetosobowe grupy Powstańczej Armii Ukraińskiej Republiki Ludowej. Biłynski z piechurami morskimi wyruszył w jednej z nich. Tzw. Drugi Pochód Zimowy był jednak od początku przedsięwzięciem nieudanym – był źle przygotowany, a jego plany były zapewne znane sowieckiemu wywiadowi.

Grupa, w składzie której był Biłynski, została otoczona przez konnicę Armii Czerwonej Grigorija Kotowskiego pod miejscowością Bazar (dziś obwód żytomierski). Po krwawej bitwie, gdy skończyła się amunicja, Biłynski się zastrzelił. Bolszewicy rozstrzelali 359 jeńców. Sprawca tej kaźni, Kotowski, były odeski bandyta przedzierzgnięty w „czerwonego kawalerzystę", aż do 2016 r. był upamiętniony w nazwie miasta Kotowsk w obwodzie odeskim. Dopiero w ramach dekomunizacji po Euromajdanie przemianowano je na Podolsk.

PAMIĘĆ WYSZYDZONA | O Biłynskim, Ostrohradskim i innych twórcach ukraińskiej marynarki długo wiedzieli tylko czytelnicy niszowej literatury i nieliczne grono oficerów ukraińskiej floty, którzy pragnęli wprowadzić do niej tradycje inne niż sowiecko-rosyjskie.

Marynarka współczesnej Ukrainy po 1991 r., w tym jej marines, długo były bowiem tożsamościowo pozostałością po armii sowieckiej. Nawet jeśli za prezydentów Krawczuka, Kuczmy i Juszczenki próbowano rozwijać ich ukraińską tożsamość, to za Janukowycza admirałowie znów składali kwiaty pod pomnikiem Katarzyny II w Sewastopolu.

W prorosyjskich mediach szydzono z „jednodniowej" marynarki Ukrainy z 1918 r., a półki z literaturą historyczną były wciąż pełne książek o rosyjskich admirałach, rosyjskich okrętach, rosyjskim „specnazie". W 2012 r. dowódcą ukraińskiej marynarki został admirał Jurij Iljin – ten, który potem w ostatnich dniach rządów Janukowycza został na chwilę szefem sztabu generalnego i chciał (nieskutecznie) posłać wojska na Kijów, by zdławić Euromajdan. Credo Iljina brzmiało: „Z Rosją nigdy wojować nie będziemy".

WOBEC ANEKSJI | Gdy w 2014 r. Rosja zajmowała Krym, Ukraina miała dwa bataliony piechoty morskiej (w Teodozji i Kerczu) oraz 36. Brygadę Obrony Wybrzeża pod Symferopolem. Ukraińscy marines nosili – tak jak ich rosyjscy odpowiednicy, dotąd uznawani za braci i towarzyszy – czarne berety. Czarne jak mundury matrosów floty carskiej i sowieckiej. Spod bluz wystawały im tielniaszki – podkoszulki w paski, na obszarze postsowieckim uważane za symbol prawdziwego twardego mężczyzny. Z rosyjskimi piechurami morskimi Floty Czarnomorskiej odbywali wspólne defilady.

Gdy żołnierze rosyjscy otoczyli ich koszary i zaczęli przez megafony żądać przejścia na stronę „ludu Krymu", większość była zdezorientowana. Choć „zielone ludziki" nie miały odznak, ukraińscy morscy piechurzy rozpoznawali w nich kolegów z defilad i sąsiadów z Sewastopola. Jednych skuszono: „Chodźcie do nas, będziemy znów razem, dostaniecie lepsze mieszkania". Innych zastraszono esemesami: „Wiemy, gdzie mieszka twoja żona, gdzie twoje dzieci chodzą do szkoły. Nie obronisz ich". Jeszcze innym zaimponowała armia rosyjska, wtedy jawiąca się jako sprawna machina.

Ostatecznie z 2200 żołnierzy piechoty morskiej i obrony wybrzeża na Krymie tylko 400 pozostało wiernych przysiędze i wyjechało na kontynentalną Ukrainę, choć bez broni. Z tej resztki zorganizowano 36. Brygadę Piechoty Morskiej, której dowództwo objął podpułkownik Dmytro Delatycki. Wcześniej był dowódcą batalionu, który najdłużej trwał pod ukraińską flagą. Ciężko pobity przez Rosjan, opuszczał Krym z połamanymi żebrami.

LEKCJA KRYMU | Tamta porażka jednak wiele zmieniła. Pojawiła się refleksja w społeczeństwie ukraińskim i wśród żołnierzy, że „wyglądamy tak jak wróg". W 2018 r. za prezydentury Petra Poroszenki piechota morska otrzymała turkusowe berety (jak to uzasadniono: koloru morskich fal). W 2019 r. Wołodymyr Zełenski nadał 36. Brygadzie imię Biłynskiego, a w 2020 r. nowej 35. Brygadzie – imię Ostrohradskiego.

W 2014 r. ukraińska piechota morska nie obroniła się przed atakiem prowadzonym za pomocą megafonów i precyzyjnie kierowanych esemesów. Lecz od tego czasu zmieniło się wszystko.

© GRZEGORZ SKRUKWA

TYGODNIK POWSZECHNY

Prenumeratę papierową kupisz na TygodnikPowszechny.pl/sklep

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- prenumeratę papierową kupisz przez internet na TygodnikPowszechny.pl/sklep
- poprzez dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Nr konta Bank Pekao SA 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Potrzebujesz pomocy? Zadzwoń lub napisz

W sprawie prenumeraty cyfrowej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Chmielowski w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem e-mail: **kontakt@TygodnikPowszechny.pl**

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy udziela Agnieszka Dyrcz w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: **prenumerata@TygodnikPowszechny.pl**

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	OKRES	CENA	
		Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
13 wydań	3 m-ce	160 zł	200 zł
52 wydania	rok	550 zł	680 zł
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne	**rok**	**640 zł**	**770 zł**
4 Wydania Specjalne – kwartalniki	rok	100 zł	
52 wydania – w ofercie POKOLENIA*	rok	480 zł	
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne – w ofercie POKOLENIA*	rok	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów oraz posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Pełna oferta, w tym krótsze okresy oferty łączonej, na TygodnikPowszechny.pl/sklep

PARTNER MARKETINGOWY SALESmanago marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

SPOGLĄDANIE W GŁĄB OKA

POLSCY NAUKOWCY NA TROPIE SUPERNOWOCZESNYCH TERAPII WZROKU

Z badania opublikowanego w magazynie „Lancet" wynika, że w 2020 r. ponad miliard ludzi miało jakąś formę wady wzroku, a w ciągu kolejnych 30 lat ich liczba ma wzrosnąć do 1,8 mld. Badania naukowe, które mogą dać lekarzom lepsze narzędzia do prewencji, diagnostyki i leczenia tego typu chorób, stale zyskują na znaczeniu. W Polsce ważną placówką prowadzącą prace w tej dziedzinie jest Międzynarodowe Centrum Badań Oka ICTER, wchodzące w skład Instytutu Chemii Fizycznej PAN. ICTER działa w ramach programu Międzynarodowe Agendy Badawcze prowadzonego przez Fundację na rzecz Nauki Polskiej i finansowanego ze środków pochodzących z funduszy europejskich z programu Inteligentny Rozwój (POIR). Dyrektorem Centrum jest prof. dr hab. Maciej Wojtkowski.

Choroby wzroku uważane są za schorzenia cywilizacyjne, ale istnieją dowody na to, że operacji oczu dokonywali już starożytni Egipcjanie.

PROF. DR HAB. MACIEJ WOJTKOWSKI: Pierwsze zabiegi zaćmy przeprowadzano już w starożytności. Były dość prymitywne i przez wiele wieków nie rozwinęły się, głównie ze względu na to, jak wrażliwa jest tkanka oka i jak łatwo ją uszkodzić. Dopiero w drugiej połowie XX w. zaczęto prowadzić operacje, w ramach których instrumenty chirurgiczne wprowadzane są do wnętrza gałki ocznej.

Przyzwyczailiśmy się do postępu, ale wykorzystywane obecnie technologie nie pojawiły się z dnia na dzień, lecz rozwijały od 20 czy nawet 30 lat. Tak samo jest z terapiami. Potrzeba czasu, by stały się bezpieczne, ustandaryzowane i wpasowane w systemy opieki zdrowotnej. Spodziewamy się jednak, że w najbliższym czasie będzie się pojawiać coraz więcej nowych sposobów leczenia wzroku. Cel jest taki, by oczy utrzymać w formie, która pozwoli nam bezpiecznie i komfortowo funkcjonować do późnej starości.

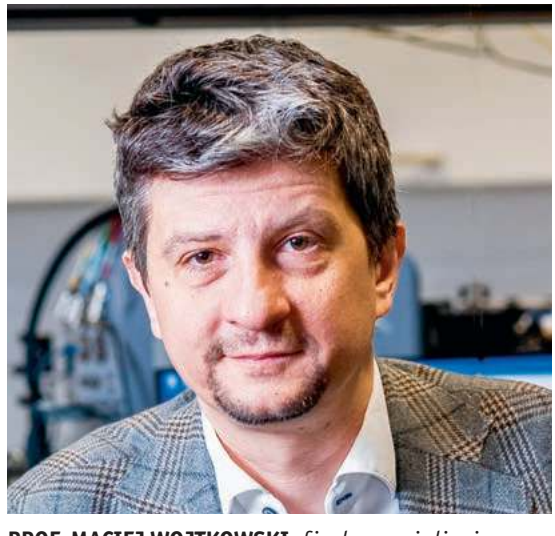

PROF. MACIEJ WOJTKOWSKI, *fizyk, specjalizuje się w optyce fizycznej i optycznych metodach obrazowania. Wprowadził tomografię optyczną OCT do obrazowania ludzkiego oka, która została wdrożona w wielu urządzeniach medycznych dostępnych w gabinetach okulistycznych na całym świecie. Przyczynił się do wyjaśnienia zjawiska widzenia dwufotonowego i poprowadził udany projekt pierwszego obrazowania żywej siatkówki za pomocą fluorescencji wzbudzonej dwufotonowo.*

Oczy to poza mózgiem chyba najdelikatniejszy organ naszego ciała.

Tak, oko jest dość mocno funkcjonalnie wyizolowane od reszty organizmu. To ma swoje zalety, ale jednocześnie także swoją cenę. Wewnętrzna fabryka chemiczna, która znajduje się w oku, produkuje dużo odpadów, co powoduje problemy.

Coraz szerzej w leczeniu chorób oka stosowane są m.in. terapie genowe. Okuliści i naukowcy wprowadzają metody wyszukiwania uszkodzonych genów i selektywnego, bezpiecznego wprowadzania informacji genetycznej tak, by białka funkcjonowały poprawnie. Są oni już w stanie zahamować ślepotę wrodzoną, choć jeszcze niedawno wyjście z niej traktowano w kategoriach cudu.

Co w tym złożonym układzie jest dziś najtrudniejszym problemem badawczym?

Oko to bardzo złożony układ, w którym nie ma nadmiarowego materiału biologicznego. Tworzą je pojedyncze warstwy komórkowe. Na przykład nabłonek barwnikowy odpowiada za wszystkie operacje przetwarzania energii, które odżywiają fotoreceptory. Jakiekolwiek uszkodzenie tego nabłonka powoduje nieodwracalne zmiany w komórce, bo na tak niewielkiej przestrzeni nie ma miejsca na to, by komórki mogły się zregenerować.

Pan do całego problemu podszedł od nieco innej strony niż większość badaczy – nie od strony medycyny czy biologii, ale fizyki.

Jestem z wykształcenia fizykiem. Fizyka nie lubi układów tak złożonych, jak ludzkie oko, bo jej aksjomatem jest to, by podać jak najprostszy przepis na zrozumienie zjawiska. Kiedy wchodzimy w świat układów bardziej złożonych, sama fizyka nie wystarcza, trzeba łączyć różne dziedziny wiedzy, jak chemia czy biologia.

Całą medycynę można w zasadzie podzielić na prewencję, diagnostykę i leczenie. Co jest najtrudniejsze w przypadku oka?

Wydaje się, że w tej chwili największym wyzwaniem jest terapeutyka i zmiana metod leczenia. Dodatkowym problemem jest to, że nadal nie znamy przyczyn niektórych chorób. Na przykład za odżywianie oka odpowiada naczyniówka, czyli warstwa leżąca bezpośrednio pod siatkówką. To struktura podobna do nerki, przez

MATERIAŁ PARTNERA

którą przepływa dużo krwi. Z tego powodu choroby ogólnoustrojowe mogą mieć duży wpływ na kondycję oka.

Zdarza się, że nie wiemy, gdzie leży źródło problemu. Potrzebujemy więc coraz lepszych narzędzi diagnostycznych. Musimy też upewnić się, że te nowe narzędzia będą nadążały za terapiami, byśmy byli w stanie oceniać, w jakim stopniu pacjentowi pomaga zastosowane leczenie. To system naczyń połączonych, gdzie wyzwanie w jednej dziedzinie generuje wyzwania w pozostałych.

Praca Waszego Centrum opiera się na łączeniu doświadczeń i wiedzy lekarzy, chemików, fizyków czy specjalistów zajmujących się robotyką.

Nie tylko łączymy różne dziedziny nauki, ale również musimy skupiać się na konkretnych celach. Nie możemy po prostu zebrać w jednym miejscu naukowców i powiedzieć: „teraz zajmijcie się badaniami". Staramy się rozwijać technologie, które będą nadążały za terapiami, oraz tworzyć narzędzia diagnostyczne i chirurgiczne na ich potrzeby.

Czym w tym momencie możecie się pochwalić i jakie będą główne kierunki Waszych badań w najbliższych miesiącach i latach?

Najbardziej jesteśmy dumni z wprowadzenia nowych metod diagnostycznych. Dwie z nich służą badaniu siatkówki. Dzięki nim jesteśmy w stanie mierzyć czynność fotoreceptorów w sposób bezinwazyjny i bezkontaktowy.

Pierwsza z tych metod to obrazowanie dna oka z wykorzystaniem fluorescencji ze wzbudzeniem dwufotonowym. To przypomina obrazowanie mikroskopowe. Pozwala nam jednak wskazywać tylko te elementy, które są aktywne w procesie widzenia. Każde zaburzenie tego procesu przejawia się zmianą fluorescencji, czyli siły światła emitowanego z tych komórek. Na razie jako pierwsi na świecie pokazaliśmy, że jesteśmy w stanie mierzyć te sygnały u ludzi i korelować ze zmianą obecnych w oku składników chemicznych.

Druga technika pozwala nam obserwować zmianę długości fotoreceptorów. Mają one kształt małych rurek złożonych z dysków czy pofałdowanej błony. Kiedy absorbują światło, następuje ich bardzo subtelne wydłużanie i skracanie. Choć są to zmiany rzędu pojedynczych nanometrów, jesteśmy w stanie je mierzyć. Niesamowite jest to, że robimy to w żywym oku, które stale drga i się porusza. Pracujemy nad urządzeniem, które będzie można stosować w warunkach klinicznych i pozwoli nam precyzyjnie, w sposób liczbowy, przedstawiać zachodzące w oku zmiany bez konieczności pytania pacjenta o subiektywne odczucia.

Natomiast trzecia technika, z której również jesteśmy dumni, dotyczy badania własności biomechanicznych rogówki. Przy zabiegach laserowej korekcji wzroku potrzebujemy informacji o stanie czy jednorodności mechanicznej rogówki oraz o tym, czy ma ona miejscami inne własności mogące wpłynąć na wynik zabiegu. Wprowadziliśmy więc metodę tak zwanego dziewięciopunktowego pomiaru odkształceń rogówki, która pozwala przy pomocy podmuchu powietrza bardzo szybko sprawdzać, czy nie zachodzi jakaś dysfunkcja. Wspólnie z prof. dr. hab. Bartłomiejem Kałużnym, kierownikiem Zakładu Optometrii Collegium Medicum Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Bydgoszczy, przeprowadziliśmy próby na ponad setce oczu. Obecnie pracujemy nad miniaturyzacją urządzenia. Chcemy też, by stało się przystępne cenowo.

Jakie znaczenie ma to, że Wasz ośrodek działa w ramach Międzynarodowych Agend Badawczych?

Dzisiejsza nauka nie jest już „romantyczną przygodą", jak sto lat temu. Teraz jeśli czegoś się nie zrobi w odpowiednim momencie, to zrobi to ktoś inny albo problem zostanie zarzucony i wówczas dana dziedzina przestanie się rozwijać. Z tego wynika potrzeba tworzenia silnych grup badawczych, które funkcjonują podobnie do korporacji. Mają określone zadania, które realizują szybko, sprawnie dostarczają danych i działają w ramach synergii z innymi grupami.

Tymczasem w naszym kraju nadal działa model akademicki, model profesora-mentora, który wychowuje doktorantów czy studentów. W pewnych projektach, zanim wychowamy studentów i nauczymy ich praktycznych umiejętności, oni idą pracować do przemysłu albo wyjeżdżają za granicę. Dlatego pomysł agend badawczych jest tak udany. Ta formuła daje więcej elastyczności i możliwości zarządzania procesami. W nauce musi być ferment, a takie inicjatywy pozwalają ten ferment wprowadzić.

W przypadku naszego zespołu rola Fundacji na rzecz Nauki Polskiej była ogromna. To FNP koordynuje projekt Międzynarodowych Agend Badawczych. Te programy są bardzo potrzebne, by zmieniać krajobraz polskiej nauki tak, by stała się bardziej otwarta i elastyczna. Największą wartością są jednak naukowcy pracujący nad unikatowymi rozwiązaniami. Dzięki nim później powstają nowe inicjatywy i firmy, można budować kapitał oparty na nowych rozwiązaniach.

To wszystko stanowi system naczyń połączonych, a fakt, że FNP w pionierski sposób wprowadza rozwiązania, to dobry przykład transparentnego działania dla innych agend i organizacji. ©

Program Międzynarodowe Agendy Badawcze jest realizowany przez Fundację na rzecz Nauki Polskiej ze środków funduszy strukturalnych w ramach Programu Operacyjnego Inteligentny Rozwój (POIR) 2014–2020, Działanie 4.3. Międzynarodowe Agendy Badawcze.

Więcej o wynikach badań z polskich laboratoriów w raporcie pt. „Nauka w czasach przemian. Jak badania finansowane z Funduszy Europejskich pomagają chronić nas przed globalnymi zagrożeniami i wykorzystywać historyczne szanse": **www.fnp.org.pl**

Fundusze Europejskie Inteligentny Rozwój
Rzeczpospolita Polska
FNP Fundacja na rzecz Nauki Polskiej
Unia Europejska Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego

CZEKA NAS JASNOŚĆ

Wspaniałe, ekstatyczne doświadczenie: potężna fala wszechogarniającego spokoju, radości i nagłego zrozumienia dla kosmicznego ładu. Nie brzmi jak relacja z rozpaczliwej walki o przeżycie, prawda?

ŁUKASZ LAMŻA

GARY HERSHORN / GETTY IMAGES

Cienie o wschodzie słońca w Nowym Jorku. Listopad 2013 r.

Doświadczenia bliskie śmierci (ang. *near-death experience*, NDE) są zaskakująco powszechne. Zależnie od tego, jak sformułujemy pytanie, zgłasza je od pół aż do kilku procent populacji. Istnieje kontekst, w którym są wręcz spodziewane – to śmierć kliniczna. Diagnozuje się ją, gdy przestaje regularnie bić serce i ustaje oddech. Do tkanek przestaje docierać tlen, a mocno od niego uzależniony mózg już po kilku minutach zaczyna nieodwracalnie niszczeć. Pomijając wyjątkowe sytuacje, zwłaszcza ekstremalnie niskie temperatury, przyjmuje się, że już po 5-10 minutach od ustania krążenia w mózgu nigdy nie będzie on już normalnie funkcjonował. Za punkt krytyczny uznaje się śmierć pnia mózgu. Wówczas ciało nie otrzymuje już elementarnych sygnałów regulujących jego aktywność, jak oddech czy tętno. Nie są znane przypadki przywrócenia u człowieka świadomości po śmierci pnia mózgu.

Spotkanie z Jamą

Jeśli jednak człowieka w stanie śmierci klinicznej odratujemy, to jego umysł może powrócić do normalnego funkcjonowania. Ok. 40-50 proc. takich osób relacjonuje, że w tym krótkim oknie czasowym zwykła rzeczywistość – np. grupka spanikowanych ludzi wykonujących bolesne uciski klatki piersiowej – szybko rozwiewa się, ustępując miejsca czemuś odmiennemu. Po dekadach badań możemy dość dobrze opisać „typowe" NDE. Poniższe zestawienie powstało po uśrednieniu relacji i statystyk pochodzących od kilkuset osób, opisanych w klasycznych badaniach Raymonda Moody'ego (1975), Kennetha Ringa (1980) i Bruce'a Greysona (1983).

Przede wszystkim, wbrew stereotypom, niezbyt częste są konkretne wydarzenia, takie jak wędrówka przez tunel (25-32 proc.), spotkanie ze zmarłymi lub istotami duchowymi (26 proc.) albo poczucie opuszczenia swojego ciała (37-53 proc.) – zwane OBE (*out of body experience*) – któremu w połowie przypadków towarzyszy spoglądanie na nie z zewnątrz (tzw. autoskopia). Słynne „przelatywanie całego życia przed oczami" relacjonuje ok. 25 proc. osób. Elementy narracyjne NDE są też najbardziej podatne na efekty kulturowe. Hindusi, którzy przeżyli stan śmierci klinicznej, opisują więc powszechnie spotkanie z „mężczyzną trzymającym książkę" – tak właśnie wygląda jedno z tradycyjnych obliczy Jamy, władcy krainy umarłych.

Częściej występują przeżycia, których nie da się właściwie opisać jako „wydarzenia", a które upodabniają NDE raczej do doświadczeń mistycznych lub głębokich stanów medytacyjnych. 64-72 proc. badanych twierdzi, że czas zatrzymał się albo że samo pojęcie czasu straciło sens, a 57-80 proc., że przepełniło ich poczucie jedności z kosmosem. 30-56 proc. twierdzi, że w jednej chwili zrozumieli wszystko. Znacząca grupa ludzi, którzy opowiadają o swoim NDE wiele dekad później, uznaje je za jedno z najważniejszych doświadczeń swojego życia – tak jak to jest z granicznymi doświadczeniami religijnymi czy psychodelicznymi. Na tym emocjonalno-transcendentalnym poziomie NDE mają dość jednolitą strukturę, niezależną od płci, wieku, religijności czy pochodzenia etnicznego.

Najsilniejszym „pewniakiem" nie jest jednak treść NDE, lecz to, że niemal zawsze jest to przeżycie przyjemne, wręcz ekstatyczne. 92 proc. badanych przez Greysona stwierdziło, że podczas NDE ogarnęło ich poczucie spokoju, a 83 proc., że wręcz radości. Craig R. Lundahl w 1993 r. opisał „model standardowy NDE", w którym pierwszym punktem było właśnie owo uczucie wszechogarniającego spokoju.

Spróbujmy może wyjaśnić to wszystko, poruszając się w ramach dwóch odmiennych światopoglądów: „z duszą" i „bez duszy". Zaczynając od tego drugiego.

Nagłe uspokojenie

Najprostsza interpretacja jest taka, że NDE to ślady po patologicznych zjawiskach występujących w niedotlenionym i stopniowo zamierającym mózgu, przefiltrowane przez pamięć i oczekiwania. Jest to wyjaśnienie na tyle „oczywiste", że można wręcz zapytać, czy w grę wchodzi inne? Nie jest ono jednak wcale tak przekonujące, gdy próbujemy zastosować do niego standardy metodologii naukowej.

W 2001 r. grupa holenderskich lekarzy postanowiła przyjrzeć się 344 pacjentom, którzy przeżyli śmierć kliniczną. U 62 z nich pojawiło się NDE. ↦

↦ Wystąpienie go, co kluczowe, nie było statystycznie powiązane z żadną miarą medyczną: ani z tym, jak poważny czy długotrwały był epizod śmierci klinicznej, ani z podanymi lekami czy też przyczyną zatrzymania akcji serca. Mówiąc inaczej: lekarz zapoznany z kompletem danych medycznych nie był w stanie przewidzieć, czy u danej osoby wystąpiło wówczas NDE czy nie, nie mówiąc już o jego przebiegu i treści. Niezdolność do przewidywania elementarnych faktów to zawsze zła wiadomość dla naukowców, stąd konkluzja autorów: „Nasze badania wskazują, że czynniki medyczne nie są w stanie wyjaśnić występowania NDE".

Jest jeszcze poważniejszy problem: NDE występują również u osób, które nie są obiektywnie bliskie śmierci, lecz tylko tak myślą, np. w trakcie wypadku samochodowego albo trudnego porodu, gdy jednak nie dochodzi do niedotlenienia mózgu. Zdarzają się też osobom w stanie głębokiej depresji.

W 2018 r. opisano badanie nad doświadczeniami „typu NDE" wywoływanymi celowo przez 12 buddystów przy pomocy zaawansowanych technik medytacyjnych. Po nałożeniu ich relacji na standardowe kwestionariusze NDE okazało się, że wędrówka medytującego umysłu do krain poza granicami zwykłej przytomności jest nieodróżnialna od doświadczenia na granicy życia i śmierci. We wszystkich tych przypadkach nie sposób utrzymywać, że przyczyną NDE są patologiczne procesy występujące w umierającym mózgu.

Są też problemy z treścią NDE, zwłaszcza z faktem, że przeżycia te są niemal zawsze pozytywne. Nie ma żadnego dobrego powodu medycznego, dla którego najbardziej niebezpieczny, patologiczny stan, w jakim może znaleźć się człowiek – dramatyczna walka o życie, często w bólu, połączona z resuscytacją czy intubacją – miałby budzić przyjemne wrażenia i być opisywany jako jedno z najwspanialszych doznań całego życia.

Wyjaśnianie wstecz

Nad problemem medycznego wyjaśniania NDE unosi się groźba, znana z wielu dziedzin nauki, którą można określić jako „pokusę retrodykcji". Retrodykcja to wyjaśnianie wstecz – uboższa kuzynka predykcji, czyli wyjaśniania naprzód. Sercem nauki jest predykcja, czyli przewidywanie nieznanych jeszcze faktów na bazie teorii. W przypadku NDE predykcją byłoby np. przewidzenie przez neurologów treści NDE wyłącznie na podstawie faktów medycznych. Jak jednak widzieliśmy, obecny stan wiedzy na to nie pozwala.

Naukowe opisy NDE pękają natomiast w szwach od retrodykcji. Ponieważ ludzie z całego świata zgłaszają oglądanie świetlistych tuneli, medycy chętnie wyjaśniają, że ma to pewnie związek z patologicznymi procesami niedokrwiennymi zachodzącymi w siatkówce oka, nerwie wzrokowym albo korze wzrokowej. Nie jest to jednak prawdziwe wyjaśnienie – ograniczamy się do wymienienia kilku terminów anatomicznych. Zobaczmy zresztą, na czym w praktyce polega pokusa retrodykcji.

W 2017 r. grupa duńskich neurologów postanowiła sprawdzić, jakie wrażenia wzrokowe towarzyszą niedotlenieniu mózgu. Pośród opisywanych fenomenów prym wiodły świetliste łuki, wężowate zygzaki, wędrujące plamki i migoczące fale. Gdyby powszechnym elementem NDE była wędrówka ku zachodzącemu słońcu i widok migoczących fal oceanicznych – co spodobałoby się pewnie miłośnikom „Opowieści z Narnii", bo tak trafia się do krainy Aslana – można by z przekonaniem orzec, że to właśnie przewiduje neurologia. Gdyby umierający ludzie masowo widzieli świetliste węże, jakby wprost z mitologii Majów, też można by zareagować z pełnym zrozumieniem.

Migoczące na nocnym niebie gwiazdy, witające nowego zmarłego w niebiańskiej krainie? Świetnie – wędrujące plamki przewiduje przecież neurologia! Ponieważ w NDE regularnie pojawia się tunel, badacze twierdzą, że tak właśnie powinno być – choć w badaniu duńskim tuneli akurat nie opisano. To zasadnicza słabość retrodykcji: pozwala na wymądrzanie się na podstawie znanych faktów, ale równie dobrze sprawdziłaby się w przypadku faktów odmiennych czy wręcz przeciwnych.

Inny przykład: jeżeli przyjmiemy, że NDE jest ukształtowane przez światopogląd, to powinno częściej występować u osób wierzących. Ale tak nie jest. Poziom religijności nie jest czynnikiem pozwalającym przewidywać występowanie lub intensywność NDE, a doświadczenia te zdarzają się też ateistom i agnostykom. Ba, w kolejnych badaniach potwierdza się dość nieintuicyjna regularność, że osoby młodsze częściej doznają NDE niż osoby starsze, w wyraźnej niezgodzie z trendami dotyczącymi poziomu religijności i wiary w zjawiska ponadnaturalne.

Nieobliczalne mózgi

Ręce naukowcom krępuje oczywiście brak danych. Niełatwo zastosować wszystkie najlepsze metody neuronauk do analizy zdarzeń, które występują względnie rzadko, i w sytuacjach, gdy nie bardzo możemy sobie pozwolić na spokojne badanie aktywności mózgu. A gdy czasem się to uda, wyniki mogą być trudne do interpretacji.

W latach 80. w Uniwersyteckim Centrum Medycznym Loyola w Chicago udało się zbadać aktywność elektryczną mózgu u 56 pacjentów, u których neurolodzy stwierdzili śmierć mózgu, wciąż jednak podpiętych do respiratora. U 11 stwierdzono występowanie rozmaitych form aktywności przez wiele godzin. U 9 były to trwające zwykle do 72 godzin słabnące fale pobudzenia zbliżone do tych, jakie występują u przytomnego człowieka. U dwóch osób zarejestrowano natomiast aktywność nawet przez 168 godzin po śmierci, do złudzenia przypominającą z kolei wzorzec pobudzenia mózgu człowieka śniącego. Dalsze badanie tych dwóch przypadków wykazało, że choć pień mózgu zdradzał już wyraźne ślady martwicy, kora mózgowa pozostała niemal nienaruszona i aktywna: przez tydzień po śmierci pnia mózgu kora zachowywała się tak, jak gdyby człowiek ów „po prostu spał"!

Jest jasne, że proces umierania mózgu nie jest wystarczająco dobrze poznany, żebyśmy mogli spokojnie odwołać się do niego w kontekście NDE. Wyjaśnianie NDE poprzez zjawiska mózgowe jest więc tyleż „oczywiste", co ubogie w moc predykcyjną i nieprzekonujące, czego zresztą nie negują naukowcy. W wydanej w 2009 r. akademickiej monografii na temat neurologicznych podstaw świadomości Olaf Blanke i Sebastian Dieguez stwierdzili, że „nie istnieją żadne dane neurologiczne, neuropsychologiczne ani

Ministerstwo Edukacji i Nauki

Projekt dofinansowany ze środków budżetu państwa, przyznanych przez Ministra Edukacji i Nauki w ramach Programu „Społeczna Odpowiedzialność Nauki II".

neuroobrazowe, które pozwoliłyby na wyraźne utożsamienie jakiegokolwiek konkretnego aspektu NDE z sekwencją zdarzeń zachodzących w trakcie niedotlenienia mózgu".

Korzystając z naszej filozoficznej mobilności, przesiądźmy się tymczasem na stronę „z duszą".

Odlot duszy

Choć teologie z różnych stron świata są oszałamiająco różnorodne, można opisać „model standardowy" relacji dusza–ciało. Znamy go wszyscy. Mówimy tu o treściach zakopanych tak głęboko w naszej zbiorowej świadomości, że drobiazgi takie jak religia czy teologia stanowią dla nich zaledwie młodziutki nadkład, który zdmuchnie byle ideologiczny powiew.

Oto i ów model: człowiek składa się z dwóch różnych elementów, śmiertelnego ciała i nieśmiertelnej duszy. Za życia dusza i ciało tworzą nierozerwalny kompleks (choć duszy zdarzają się wędrówki, np. we śnie lub w stanie transu), jednak gdy ciało umiera, dusza uwalnia się od niego. Dusze dobrych ludzi po śmierci unoszą się, łącząc się ze światłem niebios, dusze złych ludzi są zaś ściągane ku ciemności i ogniu ziemskich głębin.

Fragmenty tej wizji można znaleźć w najstarszych utworach każdej piśmiennej kultury, od tekstów taoistycznych, przez indyjskie Wedy i Upaniszady, zoroastryjską Awestę, aż po bliskowschodnie teksty mezopotamskie i najpierwotniejsze zalążki judaizmu i chrześcijaństwa. Dzisiejsi akademiccy teolodzy niechętnie wnikają w szczegóły tego, jak „działa" dusza, jednak doktryna katolicka nie potrafi strząsnąć z siebie tysięcy lat niezakłóconej wiary w opisane wyżej powszechne obrazowe wyobrażenie.

Katechizm Kościoła Katolickiego głosi więc, przykładowo, że „dzięki duszy duchowej ciało utworzone z materii jest ciałem żywym i ludzkim" (punkt 365) oraz że dusza, w przeciwieństwie do ciała, nie pochodzi od rodziców, lecz jest bezpośrednio stworzona przez Boga, „nie ginie więc po jej oddzieleniu się od ciała w chwili śmierci" (p. 366). Śmierć cielesnej części człowieka i przetrwanie jego duszy są zresztą kluczowe dla dopełnienia się pełnej historii człowieka. Aby zmartwychwstać, należy „opuścić nasze ciało i stanąć w obliczu Pana" – to cytat z Drugiego Listu do Koryntian (5, 8).

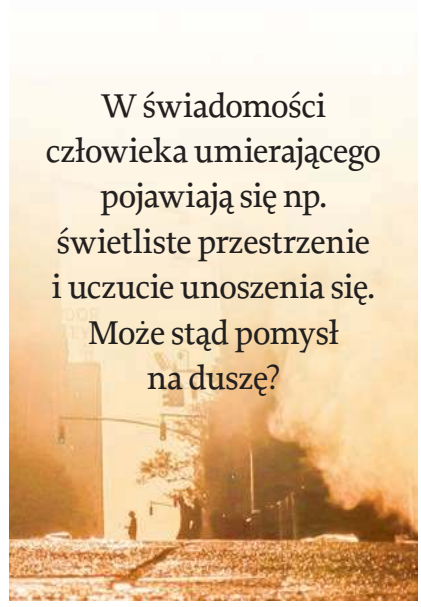

GARY HERSHORN / GETTY IMAGES

Autorzy Katechizmu doprecyzowują, że w momencie śmierci „dusza jest oddzielona od ciała" i połączy się z nim dopiero w dniu zmartwychwstania umarłych (p. 1005).

Nie mamy tu opisu owego procesu oddzielania się, ale zawsze możemy pogrzebać u klasyków. „Suma teologiczna" – opus magnum św. Tomasza z Akwinu – to zaawansowane stadium racjonalnego zastanawiania się nad „oczywistym od wieków" samodzielnym życiem duszy po śmierci. W „Suplemencie" do „Sumy" Tomasz rozprawia się choćby z pytaniem o to, czy dusza zostaje osądzona natychmiast po śmierci ciała (zagadnienie 69).

Z teologicznego punktu widzenia chodzi o czyściec, ale dla badaczy NDE jest to też ogólniejsze pytanie o to, czy istnieje okno czasowe, w którym dusza już oderwała się od ciała, ale może jeszcze wędrować po świecie fizycznym. Tomasz odpowiada: „skoro tylko dusza uwolni się od ciała, albo pogrąża się w piekle, albo ulatuje do nieba, chyba że na przeszkodzie stanie jakiś obowiązek odbycia kary za grzechy, przez co należałoby odłożyć wzlot do nieba, by wpierw dusza została oczyszczona". To klarowna, „grawitacyjna" wizja świata duchowego – dusza „obciążona" przez rozmaite grzeszki nie wystrzela w ułamku sekundy do bram nieba, lecz musi najpierw strząsnąć z siebie ten ciężar.

Inne ważne pytanie z tej części „Sumy": jeśli człowiek stanowi cielesno-duchową jedność, to co z tymi elementami osoby ludzkiej, które mają wyraźny posmak cielesny, jak sfera naszej zmysłowości (zagadnienie 70)? Oddajmy głos Tomaszowi: „W duszy odłączonej pozostają te władze, które w swoich czynnościach nie posługują się narządem cielesnym. Natomiast te władze, które posługują się nim, giną wraz z rozkładem ciała" (zagadnienie 70). Dusza po odłączeniu się od ciała traci więc zdolność do widzenia i słyszenia, jednak pozostaje zdolność do myślenia, rozważania i chcenia.

Piekło czy raj?

Zauważmy, że hipoteza duszy ulatującej ku niebu świetnie wyjaśnia, a wręcz przewiduje, powszechne w NDE wrażenie unoszenia się nad własnym ciałem. Co charakterystyczne, wszyscy opowiadają, że po śmierci unosili się, a nikt, że opadał – czyżbyśmy wszyscy cicho zakładali, że czeka nas raczej wędrówka ku niebiosom? Mamy tu potencjał dla testu weryfikacyjnego: hipotezę św. Tomasza można by sprawdzić, porównując treść doświadczenia NDE w zależności od oczekiwanego stanu grzeszności. Czy kierunek wędrówki duszy więźniów skazanych na karę śmierci i pobożnych mnichów będzie ten sam? Tylko czy badacze NDE są ich w stanie naprawdę osądzić?

Interesujący jest opisany przez Akwinatę proces unieczynniania się cielesnych aspektów naszej świadomości i zdominowania jej przez aspekty czysto rozumowe, pozamaterialne. Hipoteza ta szczególnie dobrze wyjaśnia spowolnienie upływu czasu aż do poczucia, że się on zatrzymał. Upływ czasu taktowany jest wszak przez zdarzenia fizyczne i fizjologiczne, a teolodzy często powtarzają, że duchowe istoty pozacielesne egzystują poza czasem. Zrozumiałe jest też samo przez się, że dusza świeżo uwolniona od okowów ciała, wykonująca pierwsze kroki na drodze ku złączeniu się z Inteligencją, przeżywa „nagłe poczucie zrozumienia" (30 proc. u Greysona) albo „nadnaturalnie klarowne myśli" (46 proc.).

Fatalne dla duchowego wyjaśniania NDE są natomiast raporty o „nadnaturalnie wyraźnych wrażeniach zmysłowych" (38 proc.). Zmysły powinny wszak po śmierci ciała zamierać – można więc powątpiewać, czy dusza oddzielona od ciała, unosząca się pod sufitem sali szpitalnej, może patrzeć na to ciało. W 2008 r. brytyjski lekarz Sam Parnia specjalizujący się w intensywnej terapii rozpoczął wieloletnie badanie o nazwie AWARE, dotyczące wielu aspektów śmierci klinicznej. ↦

Jego najsłynniejszym elementem było rozmieszczanie w strategicznych punktach sal szpitalnych rozmaitych przedmiotów, które można dostrzec wyłącznie z punktu obserwacyjnego tuż pod sufitem. Gdyby pacjenci, którzy zgłaszają opuszczenie swojego ciała, potrafili opisać te przedmioty, stanowiłoby to ciekawy problem do rozwiązania. Do dziś nie spłynął jednak ani jeden taki raport, choć mamy już dane z dwóch kolejnych edycji projektu AWARE.

U samego korzenia religijnej interpretacji NDE tkwi też poważny problem: czy dusza – albo odpowiednia instancja regulująca jej wędrówki – może się „pomylić"? Czysto teoretycznie powinna ona opuszczać ciało w momencie śmierci. Czy mamy więc wierzyć, że Bóg przez pomyłkę ordynuje ewakuację duszy w momencie nagłego zatrzymania krążenia, ta zaczyna wyzwalać się z oków ciała i odcieleśniać strumień swojej świadomości, jednak poprawnie przeprowadzona resuscytacja sprawia, że dusza zostaje na nowo pospiesznie scalona z ciałem, dzięki czemu już niedługo później otrzymuje rzadką możliwość mówienia o tym, co nielegalnie podejrzała na drodze ku niebiosom?

Pożytki z umierania

Wielu sceptycznych czytelników zastanawia się pewnie, czy istnieje jakakolwiek korzyść poznawcza z czytania tysiącletnich wyobrażeń o duszy oraz ich średniowiecznej racjonalizacji na gruncie teologii chrześcijańskiej.

Jest przynajmniej jeden ciekawy trop, choć ci, którzy kibicowali wersji „z duszą", prawdopodobnie poczują lekki zawód. Co jeśli relacje przyczynowe są w tym przypadku odwrotne? Jeśli wierzymy w istnienie duszy (i jesteśmy gotowi przyjąć występowanie drobnych pomyłek w boskim planie uwalniania się duszy od ciała), to przebieg NDE uznamy za wgląd w pierwsze etapy jej samodzielnego funkcjonowania. Można by się jednak zastanowić, czy to raczej występujący powszechnie od tysięcy lat „model standardowy duszy" nie jest aby wynikiem przebiegu NDE. Wygląda na to, że w świadomości człowieka umierającego – lub choćby tylko śmiertelnie przejętego – występuje pewna charakterystyczna sekwencja odczuć, uwzględniająca świetliste przestrzenie, radosny spokój, kosmiczną jedność i uczucie unoszenia się. Może stąd pomysł na duszę?

Moją wyobraźnię pobudziła seria artykułów napisanych przez badaczy, którzy w latach 80. i 90. wędrowali po wsiach Indii, rozpytując o przypadki NDE. W jednym z tych badań przeprowadzono rozmowy z 6430 osobami, ostatecznie docierając do 18 Hindusów, którzy „wrócili z tamtego świata". Choć częstość wynosząca 0,3 proc. może się wydawać mało imponująca, okazuje się, że w każdej wsi był „ktoś, kto zna kogoś" – historie takie szybko się roznoszą. Czy tysiące lat tego typu doświadczeń, rozprzestrzenionych rzadko, ale stabilnie, w globalnej populacji, mają moc współtworzenia religii?

To kusząca wizja, która dobrze odpowiada powszechnemu dziś odruchowi, aby tłumaczyć zjawiska kulturowe poprzez fakty neurologiczne i ewolucyjne. Wciąż jednak pozostawia nas to w kłopotliwej sytuacji: musimy teraz wyjaśnić przebieg NDE faktami medycznymi, co przecież nie przychodzi łatwo. W szczególności: dlaczego właściwie umierający człowiek – lub taki, który myśli, że umiera – przeżywa ekstatyczny, świetlisty spokój, poczucie zrozumienia i poczucie kosmicznej harmonii? Dużo bardziej oczywistą medycznie reakcją powinno być uczucie paniki, przerażenia, bólu i chaosu.

Nikt nie wie, jak to jest umrzeć. Jeśli ograniczymy swoje zainteresowania do samego procesu i zawierzymy relacjom ludzi, którzy zbliżyli się do stanu permanentnej śmierci biologicznej tak blisko, jak to tylko medycznie wyobrażalne, dojdziemy do wniosku, że umierać jest wspaniale. Powiem ostrożnie: to naprawdę zastanawiające.

© ŁUKASZ LAMŻA

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym przy ul. Wrocławskiej 6 toczy się pod sygnaturą I Ns 509/21 postępowanie z wniosku wierzyciela – Gminy Jarocin – o stwierdzenie nabycia spadku po Józefie Kwiatkowskim, zm. 11 listopada 1984 r., ostatnio zamieszkałym w Mieszkowie. W skład spadku po zmarłym wchodzą nieruchomości położone w Mieszkowie przy ul. Radlińskiej 5.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Sąd Rejonowy w Gnieźnie Wydział I Cywilny zawiadamia, że pod sygn. akt I Ns 272/23 toczy się sprawa z wniosku Prymasowskiego Wyższego Seminarium Duchownego w Gnieźnie o stwierdzenie nabycia spadku po Antonim Siemianowskim, ur. 28 maja 1930 r. w Mimowoli, s. Feliksa i Heleny z domu Grabowskiej, zm. 4 grudnia 2022 r. w Gnieźnie, mającym ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Gnieźnie.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu, podali swoje miejsce zamieszkania i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku po Antonim Siemianowskim.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym przy ul. Wrocławskiej 6 toczy się pod sygnaturą I Ns 512/21 postępowanie z wniosku wierzyciela – Gminy Jarocin – o stwierdzenie nabycia spadku po Franciszku Orpel, zm. 18 marca 2011 r., ostatnio zamieszkałym w Golinie. W skład spadku po zmarłym wchodzi nieruchomość położona w Golinie przy ul. Wolności 67.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

FESTIWAL ARS CAMERALIS

XXXII edycja
9–28 listopada 2023
arscameralisfestiwal.pl

HEREZJE

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 44–45/2023

Województwo Śląskie

ORGANIZATOR
Ars Cameralis Silesiae Superioris
Ars Cameralis jest Instytucją Kultury Samorządu Województwa Śląskiego

PARTNER
TYGODNIK POWSZECHNY

PATRONAT MEDIALNY
GAZETA.PL
wyborcza.pl
Polskie Radio Katowice
RADIO 357

BILETY
ticketmaster®

JEAN-BAPTISTE MILLOT / MATERIAŁY PRASOWE

Les Musiciens de Saint-Julien

Bez przypinania łatek

MAREK ZIELIŃSKI, AGATA MOSKA, TOBIASZ MELANOWSKI, AGNIESZKA TUREK-NIEWIADOMSKA:

Mówiąc o kimś „heretyk", wykluczamy go ze wspólnoty. W jaki sposób reagowano w latach 60. na rock'n'roll? To był przecież jeden wielki hejt. Dziś ci twórcy są przyrównywani do klasyków muzyki dawnej.

GRZEGORZ NUREK: Hasło tegorocznej edycji Festiwalu Ars Cameralis to „herezje". Stosy nie wygasły, wciąż płoną? Kto zabrnął w ślepe uliczki i kogo posądzono o zdradę?

MAREK ZIELIŃSKI: Szczerze mówiąc, to pojęcie w mniejszym stopniu odnosiłem do historii, w większym do współczesności: do konfliktu w dyskursie, wykluczenia, jeśli ktoś nie zgadza się z oficjalnym językiem. Inspiracją był dla mnie Leonardo Sciascia, ikoniczna postać literatury włoskiej, człowiek także zaangażowany politycznie. Mówił, że jest heretykiem, bo nie zgadza się z narracją suflowaną przez dwie strony podzielonej sceny politycznej. Nie zgadza się na manipulacje i przypinanie łatek przeciwnikom. W Polsce taką postacią był Leszek Kołakowski.

Gdy zastanawiałem się nad hasłem festiwalowym, też o nim pomyślałem. Kołakowski w słynnych wykładach o herezji powiedział m.in.: „Mówiąc o herezji, mówimy przecież o konfliktach ideowych, o tym, jak one powstają i jak bywają rozwiązywane. Mówimy o walkach ideologicznych i o sprawie tolerancji, a to wszystko tematy bardzo współczesne i żywe".

MZ: Podobnie myślał Sciascia. Pojęcie herezji ma prawie dwa tysiące lat, bardzo często związane było z Kościołem, inkwizycją, trudno zmienić jego odczytywanie czy zabarwienie. Wydaje nam się, że dziś to kultura i sztuka są językiem heretyckim. Mówią o czymś, co nie jest akceptowane przez znaczną część społeczeństwa, są buntem wobec ustalonych zasad. Mówiąc o kimś „heretyk", wykluczamy go ze wspólnoty. W jaki sposób reagowano w latach 60. na rock'n'roll? To był przecież jeden wielki hejt. Dziś ci twórcy są przyrównywani do klasyków muzyki dawnej. Muzyka „ludyczna", która z czasem weszła do kanonu.

Festiwal Ars Cameralis tym razem odbędzie się w sześciu miejscowo-

AGA MARTLOCK / MATERIAŁY PRASOWE

Jesca Hoop

ściach: Katowicach, Bielsku-Białej, Chorzowie, Sosnowcu, Pszczynie i Gliwicach. Czekają nas fantastyczne wystawy, spektakle, koncerty i spotkania literackie. Będą orkiestry barokowe, awangardowe trio jazzowe The Necks, po latach do Katowic powraca też amerykańska grupa Lambchop. Jest w czym wybierać.

AGATA MOSKA: Tradycyjnie staraliśmy się utrzymać różnorodność gatunkową programu, by każdy mógł znaleźć coś dla siebie. Zaproszeni artyści od lat podążają własną, oryginalną ścieżką muzyczną, a w listopadzie będziemy mogli zobaczyć ich w zupełnie nowych odsłonach.

Dwa koncerty orkiestr barokowych zostaną zaprezentowane w ramach 44. Międzynarodowego Festiwalu Muzycznego „Wieczory u Telemanna" i w ramach naszego festiwalu. Will Butler i Owen Pallett to artyści, którzy otrzymali nominację do Oscara za pracę nad ścieżką dźwiękową do filmu „Ona" w reżyserii Spike'a Jonze'a. Przez długi czas byli także związani z zespołem Arcade Fire, zdobywcą nagród Grammy i Brit Awards. Will Butler + Sister Squares – tak brzmi pełna nazwa nowego zespołu Butlera, który stworzył z przyjaciółmi, artystami związanymi z nowojorską sceną teatru i tańca. W Katowicach zaprezentują swój debiutancki album. Natomiast Owen Pallett gra na skrzypcach, śpiewa i komponuje, a w swoim dorobku ma współpracę m.in. z Duran Duran, The National, Linkin Park, Franz Ferdinand czy Laną Del Rey.

Na naszym Festiwalu wystąpią także Jessy Lanza, Jesca Hoop, bardzo znane trio z antypodów The Necks, które znalazło się na liście pięćdziesięciu artystów wszech czasów magazynu „Rolling Stone" w Australii. The Necks tworzą muzykę, która jest mieszanką jazzu, awangardy, ambientu i minimalizmu. Amerykańska grupa Lambchop, o której pan wspomniał, faktycznie grała na Festiwalu Ars Cameralis trzynaście lat temu. Ponownie będziemy mogli posłuchać na żywo Kurta Wagnera.

MZ: Dodam tylko, że na tych dwóch barokowych koncertach wystąpią m.in. Freiburger Barockorchester oraz Finnish Baroque Orchestra, a w programie pojawi się utwór o niewolnictwie skomponowany przez Jeana-Philippe'a Rameau. Oba koncerty odbędą się w Muzeum Zamkowym w Pszczynie, miejscu, w którym rezydował Georg Philipp Telemann. Zresztą i ten kompozytor pojawi się w naszym programie – w Gliwicach wystąpią François Lazarevitch i Les Musiciens de Saint-Julien, którzy zaprezentują program „Beauté Barbare", inspirowany jego muzyką.

Kapitalne są te wykonania muzyki barokowej przez orkiestry z Finlandii i Niemiec. Gdzie można kupić bilety na koncerty? Podejrzewam, że na niektóre z koncertów trudno się będzie dostać.

AM: Bilety są dostępne na portalu Ticketmaster, będzie je też można nabyć tuż przed wejściem na koncert. Mamy nadzieję na duże zainteresowanie.

Co szczególnie polecacie z wydarzeń pozamuzycznych?

MZ: Pracujemy nad dwiema wystawami. Wystawa fotograficzna Arkadiusza Goli będzie poświęcona środowisku ↦

romskiemu na Górnym Śląsku, nosi tytuł „Inny [nie] obcy". Arkadiusz rozpoczął dokumentowanie życia romskiego trzydzieści lat temu, a pierwszym impulsem była fala migracyjna Romów z Rumunii. To będzie wystawa o Romach mocno utożsamiających się z Górnym Śląskiem – mieszkają w różnych miastach, mają swoje zwyczaje. Przy tworzeniu wystawy zaprosiliśmy do współpracy osoby, które wywodzą się z tego środowiska albo zajmują się naukowo migracjami: Monikę Szewczyk, Sonię Styrkacz czy Monikę Weychert, która opisuje fenomen twórczości znakomitej romskiej artystki Małgorzaty Mirgi-Tas; jej prace wystawiane są na całym świecie. Wystawa fotografii Arkadiusza Goli będzie pokazywana w Pałacu Schoena Muzeum w Sosnowcu.

Z kolei wystawa „O ulotności słów" w Galerii Sztuki Współczesnej BWA w Katowicach prezentuje prace dwóch artystów: Michała Smandka i Yannicka Veya z Francji. Wystawa została zainspirowana pszczelarstwem – pasieka postrzegana jest jako obiekt i instalacja artystyczna. „Pszczoły zostały zniewolone przez człowieka" – mówią artyści, którzy zastanawiają się nad aspektami socjologicznymi i antropologicznymi życia owadów, ich współistnienia z człowiekiem. Tę wystawę można rozumieć i odczytywać na wielu poziomach. Pszczoły stają się niejako twórcami sztuki, wartości i form. Sześciokąt obserwowany w plastrze pszczelego wosku – uważany za jedną z najdoskonalszych form – był odwzorowany między innymi przy budowie Teleskopu Kosmicznego Hubble'a. Pojawiają się również odwołania do czasów antycznych: pszczoły – miód – napój bogów. Pierwsze świątynie budowano na planie sześciokąta. Renata Lis pisze o tym nieco w książce „Lesbos".

Padło nazwisko pisarki – to dobry pretekst, aby zapytać Cię, Tobiaszu, o literacką odsłonę Festiwalu. Powracacie do publikowania poezji.

NA FESTIWALU WYSTĄPIĄ TAKŻE

- **Jessy Lanza**
- **Jesca Hoop**
- **The Necks, bardzo znane trio z antypodów, które znalazło się na liście pięćdziesięciu artystów wszech czasów magazynu „Rolling Stone" w Australii.**
- **The Necks tworzą muzykę, która jest mieszanką jazzu, awangardy, ambientu i minimalizmu.**

TOBIASZ MELANOWSKI: Tak, po wielu latach do tego wracamy i bardzo mnie to cieszy! Opublikujemy nowy tom wierszy Zbigniewa Macheja „Iskierka w tunelu" i tom poezji ukraińskich autorów: „Portret słońca w schronie przeciwbombowym" Daryny Hładun i Lesyka Panasiuka w tłumaczeniu Anety Kamińskiej. To opowieść o Ukrainie, o Buczy, w której mieszkali i z której uciekli. Wstrząsająca książka. Spotkanie z Machejem i Kamińską poprowadzi Monika Glosowitz, a odbędzie się ono w Pszczynie, bo to miasto partnerskie Buczy.

Pozostałe spotkania odbędą się już w Katowicach, pojawi się wiele wspaniałych osób. Wspomniana już Renata Lis, ceniona eseistka i tłumaczka, opowie Wojciechowi Śmiei o swojej najbardziej osobistej książce. „Moja ukochana i ja" to książka istotna i odważna, robiąca wrażenie. Agnieszka Taborska, Jakub Kornhauser i Eliza Kącka porozmawiają o surrealizmie, który można uznać za heretycki ruch artystyczny. Będzie też mocna nowa proza – ze wspaniałymi pisarkami Ingą Iwasiów i Zytą Rudzką rozmawiać będzie Dariusz Nowacki. Rudzka otrzymała ostatnio Nagrodę Nike za powieść „Ten się śmieje, kto ma zęby", Iwasiów kilka miesięcy temu wydała nową powieść „Późne życie". Będzie też Ishbel Szatrawska – jej dramat o Hershu Libkinie był w ubiegłym roku hitem, teraz ukazała się jej powieść „Toń", opowie o tym Justynie Sobolewskiej.

Ciekawie też zapowiadają się dwa spektakle, które uzupełniają program tegorocznej edycji Festiwalu.

AGNIESZKA TUREK-NIEWIADOMSKA: Spektakl Teatru Chorea „ja, bóg" odwołuje się do nieznanych tekstów Jerzego Grotowskiego. Pytanie o istnienie lub nieistnienie Boga było jedną z ważniejszych refleksji na drodze poszukiwań artysty. Duet aktorski (Tomasz Rodowicz i Joanna Chmielecka) proponuje spektakl oparty na pracy z ciałem, głosem, muzyką i rytmem, w którym istotne stają się opozycje: życie i śmierć, kobieta i mężczyzna, początek i koniec.

Na drugim biegunie tego kameralnego spektaklu sytuuje się „Romeos & Julias unplagued. Traumstadt" Polskiego Teatru Tańca w Poznaniu. Przepiękne widowisko z udziałem aktorów i tancerzy. Spektakl tworzy przestrzeń do refleksji nad skutkami pandemii. To był czas, w którym bardzo wyraźnie i dotkliwie zmierzyliśmy się z tematem życia i śmierci. „Romeos & Julias unplagued. Traumstadt" jest stworzony na podstawie słynnego motywu tragicznej miłości Romea i Julii, przy czym motyw ten został zwielokrotniony, takich par jest w spektaklu o wiele więcej. Poważne tematy są pokazane za pomocą niezwykłej ekspresji.

Oba spektakle łączy także światło. Chcieliśmy wpisać część teatralną Festiwalu w projekt poświęcony sztuce światła, który realizujemy od kilku lat. W tym roku dodatkowo łączymy światło z kolorem – oba spektakle w szczególny sposób wykorzystują oprawę scenograficzną tworzoną za pomocą światła i koloru.

© Rozmawiał GRZEGORZ NUREK

MAREK ZIELIŃSKI – dyrektor Festiwalu Ars Cameralis

TOBIASZ MELANOWSKI, AGATA MOSKA, AGNIESZKA TUREK-NIEWIADOMSKA – kuratorzy Festiwalu Ars Cameralis

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 44–45/2023

REDAKCJA: Grzegorz Nurek
OKŁADKA: Aleksandra Grunholtz / STUDIO CHAOTYCZNE
TP TYPOGRAFIA: Andrzej Leśniak
FOTOEDYCJA: Jacek Taran

Ars Cameralis Silesiae Superioris

ARS CAMERALIS JEST INSTYTUCJĄ KULTURY SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA ŚLĄSKIEGO

IZABELLA GÓRSKA / MATERIAŁY PRASOWE

Ishbel Szatrawska, marzec 2022 r.

Sztuka jest herezją

ISHBEL SZATRAWSKA

Herezja to bunt wobec ustalonych zasad gry. Jest postawą totalną: sprzeciw wobec dogmatu stawia heretyka poza wspólnotą, staje się on odszczepieńcem, kimś, kto idzie własną drogą, wbrew utartym schematom, często narażając się na ostracyzm.

W tej anarchicznej z ducha postawie kryje się sens wszelkiej sztuki. Czym bowiem jest sztuka, jeśli nie ciągłym poszukiwaniem nowych ścieżek? Na co nam sztuka, która nie podejmuje się eksploracji, czy to formalnej, czy intelektualnej, estetycznej czy filozoficznej, terytoriów nieodkrytych lub zepchniętych na margines? Nie znaczy to oczywiście, że należy zdetronizować klasyków. Herezja to zawsze akt będący sprzężeniem między tym, co ustalone, zgodne z przyzwyczajeniami, zaprotokołowane, a tym, co nowe, nieortodoksyjne, co może się dopiero odsłonić w przyszłości; nawet tym, co jest wręcz bezwstydnie utopijne i nieosiągalne. Ale zawsze jest starciem z przeszłością. Zawsze ustawia się wobec zastanego.

Sztuka w samej swej istocie jest herezją. Wychodzi „poza", jest aktem transgresji i nieposłuszeństwa. Drogą kontestacji i wstrząsu. Być może dlatego w dziejach ludzkości, od czasów starożytnych do dziś, polityka i państwo próbowały sztukę ujarzmić. Unieszkodliwić ją, podporządkować swoim celom, a najlepiej zredukować do funkcji utylitarnej, aby stała się albo niegroźnym ornamentem, albo – co gorsza – ordynarną propagandą. A jednak nawet w najbardziej ponurych czasach i ustrojach nigdy nie udało się tego w pełni zrealizować. Sztuka schodziła do podziemia, funkcjonowała w drugim obiegu, udawała się na emigrację. Twórcy i twórczynie, niczym średniowieczni heretycy i męczennicy, byli szykanowani, poddawani torturom, bywali też uśmiercani. Sztuce zawsze udawało się wymknąć, bo i jest w niej – a także w samym akcie twórczym – coś anarchicznego i nieokiełznanego, niepodlegającego całkowitemu zniszczeniu nawet w zderzeniu z najsurowszą cenzurą.

Zaiste, sztuka sama w sobie jest herezją. Paradoksem, bo jej fundamentem jest to, co płynne. *Perpetuum mobile*, bo w zasadzie napędza się sama, działa nieskończenie i niezależnie od okoliczności. Jest zjawiskiem najbardziej chimerycznym ze wszystkich dziedzin ludzkiej aktywności. Nie daje się ująć w sztywne kategorie, jeśli skostnieje – natychmiast umiera, a jej istotą jest potężny wywrotowy ładunek.

Sztuka i herezja to synonimy. Oba te zjawiska są lontem. Zapalnikiem podłożonym pod porządek świata. Tak, tego samego świata, który powstał w wyniku Wielkiego Wybuchu. Znów paradoks? Skąd! Eksplozja jest naszym prapoczątkiem. Powstaliśmy z herezji i rewolucji – ze wstrząsu, który zmienił reguły gry.

Cieszmy się zatem sztuką. To ona jest najdoskonalszym odzwierciedleniem naszej natury. A Festiwal Ars Cameralis, który od lat się zmienia, żywo reaguje na najnowsze zjawiska i jednocześnie prezentuje te, które przed laty były przełomowe i weszły już do kanonu współczesnej sztuki, jest najlepszą przestrzenią dla wszelkich herezji. ©

ISHBEL SZATRAWSKA – dramatopisarka, teatrolożka, finalistka Gdyńskiej Nagrody Dramaturgicznej, felietonistka „Polityki". Autorka sztuki „Żywot i śmierć pana Hersha Libkina z Sacramento w stanie Kalifornia" (2022) i powieści „Toń" (2023). Pracuje w Żydowskim Muzeum Galicja, mieszka w Krakowie.

FESTIWAL ARS CAMERALIS

XXXII edycja | 9–28 listopada 2023

26 października (czwartek)

godz. 18:00 | wernisaż wystawy

„INNY [NIE] OBCY”
Arkadiusz Gola

Kurator: Marek Zieliński
Miejsce: Pałac Schoena Muzeum w Sosnowcu
Wernisaż będzie tłumaczony na polski język migowy

9 listopada (czwartek)

godz. 18:00 | wernisaż wystawy

„O ulotności słów”
Michał Smandek, Yannick Vey (FR)

Kuratorzy: Marek Zieliński, Vincent Gobber
Miejsce: Galeria Sztuki Współczesnej BWA w Katowicach
Wernisaż będzie tłumaczony na polski język migowy

godz. 20:00 | koncert

Will Butler + Sister Squares (US)

Miejsce: Kinoteatr Rialto, Katowice

10 listopada (piątek)

godz. 19:00 | koncert

Ina West

Miejsce: Klubokawiarnia Aquarium, Bielsko-Biała

12 listopada (niedziela)

godz. 19:00 | koncert

Stian Westerhus (NO) & Maja S.K. Ratkje (NO)
present „Die Elektrische Oper”

Miejsce: Teatr Śląski – Scena Kameralna, Katowice

13 listopada (poniedziałek)

godz. 10:00 | Więcej światła! | warsztaty (7–10 lat)
godz. 11:30 | Więcej światła! | warsztaty (11–14 lat)

„Światło i cień”
Bartosz Socha, Beata Zawiślak

Miejsce: Teatr Miejski w Gliwicach

godz. 18:00 | pokaz filmów

BAFTA 2023 Shorts

Miejsce: Dom Oświatowy Biblioteki Śląskiej, Katowice

godz. 19:00 | Więcej światła! | spektakl

„ja, bóg”
Teatr CHOREA

Miejsce: Teatr Miejski w Gliwicach

godz. 20:30 | Więcej światła! | spotkanie

Joanna Chmielecka,
Tomasz Krukowski,
Tomasz Rodowicz
Prowadzenie: Anna Duda

Miejsce: Teatr Miejski w Gliwicach

14 listopada (wtorek)

godz. 18:00 | spotkanie

Jakub Kornhauser, Agnieszka Taborska
Prowadzenie: Eliza Kącka

Miejsce: Black Woolf Coffee & Books, Katowice
Wydarzenie będzie tłumaczone na polski język migowy

godz. 19:00 | koncert

„Beauté Barbare”
François Lazarevitch
& Les Musiciens de Saint-Julien

Miejsce: Teatr Miejski w Gliwicach

15 listopada (środa)

godz. 18:00 | spotkanie

Renata Lis
Prowadzenie: Wojciech Śmieja

Miejsce: Black Woolf Coffee & Books, Katowice
Wydarzenie będzie tłumaczone na polski język migowy

16 listopada (czwartek)

godz. 20:00 | koncert

Owen Pallett (CA)

Miejsce: Kinoteatr Rialto, Katowice

17 listopada (piątek)

godz. 20:00 | koncerty

CEL: Felix Kubin (DE) & Hubert Zemler
Jessy Lanza (CA)

Miejsce: Jazz Club Hipnoza, Katowice

18 listopada (sobota)

godz. 18:00 | spotkanie

Aneta Kamińska, Zbigniew Machej
Prowadzenie: Monika Glosowitz

Miejsce: Miejsko-Powiatowa Biblioteka Publiczna, Pszczyna
Wydarzenie będzie tłumaczone na polski język migowy

godz. 19:00 | koncert

Kamilya Jubran (FR / PS) & Werner Hasler (CH)

Miejsce: Teatr Śląski – Scena w Malarni, Katowice

19 listopada (niedziela)

godz. 19:00 | koncert

Jesca Hoop (US)

Miejsce: Kinoteatr Rialto, Katowice

20 listopada (poniedziałek)

godz. 18:00 | pokaz filmów

BAFTA 2023 Shorts

Miejsce: Dom Oświatowy Biblioteki Śląskiej, Katowice

21 listopada (wtorek)

godz. 17:30 | pokaz filmu

„Stowarzyszenie Umarłych Poetów”
reż. Peter Weir

Miejsce: Kino Kosmos, Katowice

22 listopada (środa)

godz. 17:30 | pokaz filmu

„Ścieżka strachu”
reż. Joel & Ethan Coen

Miejsce: Kino Kosmos, Katowice

23 listopada (czwartek)

godz. 20:00 | koncert

The Necks

Miejsce: Jazz Club Hipnoza, Katowice

24 listopada (piątek)

godz. 18:00 | spotkanie

Ishbel Szatrawska
Prowadzenie: Justyna Sobolewska

Miejsce: Black Woolf Coffee & Books, Katowice
Wydarzenie będzie tłumaczone na polski język migowy

25–26 listopada (sobota–niedziela)

godz. 11:00 | warsztaty

„Koń galopujący na pomidorze
czyli podróż w głębiny wyobraźni”
Bożka Rydlewska

Miejsce: Galeria Sztuki Współczesnej BWA, Katowice

25 listopada (sobota)

godz. 20:00 | koncert

An Intimate Piano Performance
from LAMBCHOP (US)

Miejsce: Kinoteatr Rialto, Katowice

26 listopada (niedziela)

godz. 18:00 | spotkanie

Inga Iwasiów, Zyta Rudzka
Prowadzenie: Dariusz Nowacki

Miejsce: Black Woolf Coffee & Books, Katowice
Wydarzenie będzie tłumaczone na polski język migowy

27 listopada (poniedziałek)

godz. 10:00 | Więcej światła! | warsztaty (7–10 lat)
godz. 11:30 | Więcej światła! | warsztaty (11–14 lat)

„Światło i cień”
Bartosz Socha, Beata Zawiślak

Miejsce: Teatr Rozrywki w Chorzowie

godz. 17:30 | pokaz filmu

„Thelma & Louise” | reż. Ridley Scott

Miejsce: Kino Kosmos, Katowice

28 listopada (wtorek)

godz. 19:00 | Więcej światła! | spektakl

„Romeos & Julias unplagued. Traumstadt”
Polski Teatr Tańca w Poznaniu | kolektyw
bodytalk

Miejsce: Teatr Rozrywki w Chorzowie

Więcej informacji: **arscameralisfestiwal.pl**

MATERIAŁ PARTNERA

JACEK

Podsiadło:
Podaj cegiełkę

Nie czekając, aż przyniesiony mu w teczce naczelny wyjedzie na taczce, zespół „Dialogu" wyjechał z „Dialogiem Puzyny. Przejętymi", numerem poświęconym instytucjom kulturalnym, które spotkał podobny los, co jego. Wyliczając we wstępie, co zostało przejęte – tytuły, kapitały, etaty, tradycje, budynki – redakcja pisze też: „PRZEJĘTE zostały osoby, którymi się nie przejęto – zmuszając do odejścia z pracy, nie przedłużając umów, degradując, ignorując".

Tekst Antoniny Tosiek „Józef Maria Ruszar i jego prywatny folwark w Instytucie Literatury" o tyle nie pasuje do całości, że Instytut dopiero powstawał, kiedy inne instytucje obracano w perzynę. Autorka rozmawiała więc z osobami, które do pracy w nowym Instytucie PRZYJĘTO, z którymi umowy podpisano, które awansowano i promowano. W efekcie dostajemy obraz jednostronny. Żadna z tych osób nie poszła do Ruszara dla łatwych pieniędzy i karierowiczostwa. Przeciwnie, rozmówcy Tosiek „trafiają do IL-u zupełnie nieświadomi", chcą „zrobić coś dobrego", marzą o pracy „w kulturze" i podejmują ją „ze względu na trudne warunki finansowe". Pokończyły im się stypendia, pochorowali im się bliscy, krótko mówiąc: składają na ołtarzu Ruszara ofiarę z siebie dla dobra innych. Naprowadziwszy czytelnika na ten słuszny trop, Tosiek ostatecznie usprawiedliwia ich indolencję.

Droga do takiej konkluzji najeżona jest jednak przeszkodami, a największą z nich wydaje się zamiłowanie autorki do zabawy w konspirację. Rebusy typu „najbardziej rozpoznawalna w mediach recenzentka literacka postanowiła nie omawiać na spotkaniu autorskim debiutanckiej powieści zaproszonej autorki" bywają zabawne. Ba, nawet śmieszne, kiedy przy zadawaniu zagadki wymsknie się Tosiek odpowiedź: „projekt celebrowania wszelkimi możliwymi metodami poezji i osoby pewnego krakowskiego poety (prywatnie bliskiego przyjaciela Dyrektora), Jana Polkowskiego". Gorzej, kiedy kłócą się z podstawowymi zasadami dziennikarstwa. Tosiek potrafi anonimowo cytować nieupubliczniony „list otwarty" i powoływać się na żądanie „anonimowości oraz autoryzacji całości tekstu" przez rozmówców. Oczywiście dyr. Ruszar skwapliwie korzysta z tchórzostwa informatorów Tosiek. W odpowiedzi na 27 pytań skierowanych do niego przez redakcję „Dialogu Puzyny", wielokrotnie powtarza, że nie da się na nie odpowiedzieć, bo nie zawierają konkretów.

Kiedy piszę te słowa, sprawa utknęła na etapie kuriozalnych oświadczeń: Ruszar mówi w nich o „zmasowanej akcji zniesławiającej" i „określonych środowiskach", redakcja informuje, że jej „materiały" podlegają opiece prawnej Fundacji Helsińskiej. Mnie zaś nie daje spokoju zagadka, kim są starsi panowie trzej i jeden młodszy w akapicie, w którym Tosiek pisze o środowiskowym absmaku spowodowanym akcesem niektórych poetów do czasopisma Instytutu: „W konflikt najgłośniej zaangażowało się trzech piszących panów z roczników sześćdziesiątych i jeden z osiemdziesiątych, którzy: a) jako jedni z nielicznych literatów w Polsce utrzymują się w pełni z pisania, b) dysponują sporym i bardzo oddanym gronem fanów na swoich profilach społecznościowych, c) mają tendencje do żelaznego przekonania o własnej racji". Bardzo bym chciał wszystkich wymienionych poznać, szczególnie tego osiemdziesiątniaka, ale Tosiek anonimizuje także ich, powodowana chyba odruchem miłosierdzia wobec ogromu postawionych im zarzutów (i kozę z rzędem temu, kto odgadnie chociaż, czy większy żal ma do „piszących panów" o: d) płeć, e) utrzymywanie się w pełni czy f) fanów na profilach).

Wyliczywszy występki Ruszara (od nazywania pendrive'a gwizdkiem po groźby pobicia i zabójstwa) i cierpienia jego pracowników (od nieudanych „prób kontaktu z mediami" po wysłuchiwanie „wulgarnych ataków wściekłości Ruszara po godzinie dwudziestej drugiej") Tosiek dochodzi do zapowiedzianej konkluzji. Wskazuje winnych udręki pracowników pisowskiego Instytutu. Są nimi m.in. „środowiska artystyczne oraz akademickie. (...) Pisarze i wydawcy (...). W żałosną pułapkę dał się także złapać tłum facebookowych krytyków Instytutu Literatury, okazuje się bowiem, że nie bez powodu odwracano ich uwagę poezją Wojciecha Wencla czy dramatami o żołnierzach wyklętych. [Żebyśmy się dobrze z Antoniną Tosiek rozumieli: poezje Wencla i dramaty wyklęte publikowano, żeby odwrócić uwagę od ataków Ruszara po 22, kto zatem Wencla lub dramaty krytykował, jest głupkiem w żałosnej pułapce. Nie wątpię, że także niniejszy felietonik okaże się żałosną próbą odwrócenia uwagi od Ruszara.] Polityczne manifesty i sądy kapturowe odwróciły naszą uwagę od krzywdy ludzi z krwi i kości. Wszyscy daliśmy ciała, literacki grajdołku".

Wypraszam sobie, Pani Pisząca. Kiedy dawaliście ciała, mnie w grajdołku w ogóle nie było, gdyż przebywałem na emigracji wewnętrznej i mam na to papiery.

Na koniec Tosiek rzuca hasło odbudowy zrujnowanej kultury, w którym to procesie będzie też miejsce na przejęcie Instytutu Literatury. „Na to przyjdzie jeszcze pora. Teraz jest czas ponoszenia konsekwencji oraz troski o ofiary przemocy. Zakasujcie rękawy, bo to dopiero początek pracy, którą środowiska literackie oraz akademickie powinny solidarnie, ramię w ramię, wykonać. Wierzę, że ten tekst to tylko pierwszy prostokąt domina".

A w którą wersję domina gramy, Pani Pisząca? W tę, w której po obaleniu Ruszara przewracają się kolejne cegiełki, czy w tę klasyczną układankę pasujących do siebie cegiełek? Bo, grając w tę drugą samymi mydłami, można w najlepszym razie zremisować, nie tylko z Ruszarem. ©

Z ODDECHEM

JAK CZYTAĆ?

Literatura i lektura mogą być lekarstwem lub trucizną – twierdził dwa tysiące lat temu Celsus – a o ich ostatecznych skutkach decydują czynniki, których zwykle nie bierzemy pod uwagę. Coś się zmieniło?

GRZEGORZ JANKOWICZ

ADAM CHELSTOWSKI / FORUM

W kwietniu 2004 r. Salman Rushdie wygłosił krótkie przemówienie podczas konferencji PEN World Voices, które było odpowiedzią na pytanie, czy literatura może cokolwiek zmienić. Tak – przekonywał autor „Szatańskich wersetów" – książki (powieści, zbiory opowiadań, tomiki wierszy) mają wpływ na rzeczywistość, w której żyjemy, a także na tworzących i czytających je ludzi. Nie powinniśmy w to wątpić, nawet jeśli wydaje nam się, że wywoływane przez literaturę zmiany są nieznaczne. Jak trzepot motylich skrzydełek, tak i szelest przewracanych kartek może doprowadzić do rekonfiguracji parametrów świata. Naiwnością byłoby jednak sądzić, że zmiana zawsze będzie pozytywna.

Rushdie nie powiedział tego wprost, ale metafora, którą się posłużył, nie daje mi spokoju. Jeśli ulegamy urokowi jakiejś książki – przekonywał – jeśli otwieramy się na nią intelektualnie i emocjonalnie, jej esencja wnika w nasz umysł i w nasze ciało niczym radioaktywna substancja wsączająca się w ziemię. Pewne ziarna już z tej gleby nie wyrosną, ale może zakiełkują inne, by z czasem rozwinąć się w zmodyfikowane rośliny, jakby żywcem wyjęte z fantastycznych opowieści.

Ktoś mógłby powiedzieć, że tekst Rushdiego wcale nie był dwuznaczny. Żeby sprowokować publiczność do myślenia pisarz, owszem, zaproponował niepokojącą metaforę książki jako toksyny, ale jednocześnie zasugerował, że jest to substancja pożądana przez nasz umysł: myślowa trucizna, która ma niszczycielską moc, ale efekt destrukcji – paradoksalnie – może być pasjonujący. Kusząca wizja, uważam jednak, że nie powinniśmy zapominać o potencjalnie ciemnej stronie literatury i lektury.

Już w pierwszym wieku naszej ery Aulus Cornelius Celsus, rzymski encyklopedysta, zasugerował, że czytanie to uzależniająca aktywność, której skutki mogą być zarówno pozytywne, jak i negatywne. Dzięki książkom możemy poszerzyć granice naszej wiedzy, czyli wzmocnić umysł, ale jeśli damy się im obezwładnić, mogą ucierpieć nasze emocje i zmysły. Według Celsusa medycyna jako odrębna dziedzina została wynaleziona dlatego, że rzymscy mieszczanie poświęcali za dużo czasu lekturze, a za mało aktywności fizycznej. Na szczęście czytając, zdobywali informacje, które później pozwoliły im stworzyć lekarstwa dla udręczonego ciała.

Literatura i rzeczywistość

Obserwując zwyczaje czytelniczek i czytelników, Celsus doszedł do wniosku, że lektura nie jest jedynie doświadczeniem indywidualnym i prywatnym. Przeciwnie, wszystko, co związane z literaturą, rozgrywa się nie tylko w ludziach, ale przede wszystkim między nimi, a to znaczy, że nie ma takiego aspektu czytania, który można by raz na zawsze uznać za uniwersalny i oczywisty.

Pamiętając o tej przestrodze, robię szybki skok do naszej epoki i od razu stawiam pytanie, jaka jest relacja między literaturą i rzeczywistością. Na pierwszym miejscu wśród standardowych odpowiedzi znajduje się przekonanie, że dzieła literackie po prostu opowiadają o świecie, czyli na różne sposoby go przedstawiają. Tekst jest rodzajem okna, które umożliwia lepszy ogląd rzeczywistości. Na co dzień widzimy ↦

↦ źle, dostrzegamy tylko część zachodzących w nas i wokół nas zjawisk. Jesteśmy zanurzeni w świecie tak bardzo, że możemy uchwycić tylko najbliższą okolicę, zaledwie wybrane elementy całej układanki. Skoro literatura pozwala nam zająć lepszy punkt widokowy lub sama jest takim miejscem, to znaczy, że znajduje się na zewnątrz rzeczywistości lub przynajmniej ponad nią. Dystans między nimi wydaje się nieusuwalny. Podobnie jest w przypadku dzieł na wskroś fikcjonalnych, by nie rzec: fantastycznych – w ich kontekście mówi się nawet o ucieczce od świata, który znamy na co dzień, o zanegowaniu wszystkiego, co uznajemy za realne (tutaj dystans jest wręcz nieskończony).

Czytelnik bywa lepszym artystą niż pisarz, a to, co zwykle nazywamy lekturowym odkryciem, czasem zasługuje na miano twórczej interwencji.

Możliwych odpowiedzi jest, rzecz jasna, więcej, ale te dwa warianty dominują w naszym myśleniu. Literatura albo przedstawia rzeczywistość, co oznacza tak naprawdę, że na różne sposoby próbuje ją sobie podporządkować, albo (czasem dlatego, że próba podporządkowania skończyła się niepowodzeniem) ucieka ze świata, oferując nam mniej lub bardziej intensywny eliksir zapomnienia. Jak to możliwe, że z takim potencjałem literatura i lektura nie są dziś praktykowane przez masy? Przecież wspomniane możliwości – uchwycenie dynamiki świata i ucieczka od niego – wydają się niezwykle atrakcyjne. Można się spierać, która z nich jest dla nas lepsza, można tworzyć wewnętrzne hierarchie, ale w jednym powinniśmy być zgodni: bez literatury nie da się dobrze żyć. Jednak zgody nie ma. Dlaczego?

A gdybyśmy wywrócili tradycyjne modele do góry nogami i pomyśleli o literaturze jako samej rzeczywistości? Przecież ona nie jest wcale na zewnątrz świata, lecz stanowi jego część. Powieść, wiersz, opowiadanie i esej to po prostu środki komunikacji. Oprócz nich mamy blogi, wlogi, posty, relacje, rolki, klipy, filmy, podkasty, czaty, maile, wiadomości i wiele innych. Każda z tych form przekazu służy nam w codziennym życiu. Odruchowo stawiamy na te, które wydają się najefektywniejsze i/lub najefektowniejsze. Nie jest wcale oczywiste, że dana osoba wybierze literaturę i za pomocą powieści czy wiersza będzie myślała o wszystkim, czego doświadcza. Co więcej, sama literatura, o ile zostanie wybrana, może sprawić, że nasz obraz świata ulegnie zatarciu.

Jakiś czas temu prowadziłem warsztaty czytelnicze w zakładzie karnym w Jastrzębiu-Zdroju. Z grupą osadzonych rozmawiałem o wierszu „Czym jest praca" amerykańskiego poety Philipa Levine'a. Prosty obrazek, anegdota z życia: grupa najemnych robotników czeka na potencjalnego pracodawcę. Nie mają szans na stałe zatrudnienie, więc biorą wszystkie – choćby jednodniowe – zlecenia. Levine doskonale znał tę sytuację, bo przez wiele lat – jako mieszkaniec przemysłowego Detroit – funkcjonował właśnie w takich warunkach.

Głos, który słyszymy w wierszu, zwraca się do jakiegoś Ty (do samego siebie, a może do mnie jako czytelnika?) i włącza to „Ty" do grupy oczekujących. „Tu chodzi o czekanie, / przestępowanie z nogi na nogę, / kiedy czujesz, jak drobny deszczyk / zrasza ci włosy, rozmazuje widzenie, / i zdaje ci się, że widzisz swojego brata / jakieś dziesięć miejsc przed sobą" . To niemożliwe, bo brat jest w domu, gdzie odsypia nockę. Wstanie dopiero koło południa, by ćwiczyć (chce zostać śpiewakiem operowym). Zatem skąd to złudzenie? Może stąd, że już od dawna nie rozmawialiście? Nie było na to czasu? Nie było okazji?

„Kiedy ostatni raz powiedziałeś bratu, / że go kochasz? Kiedy trzymałeś go za szerokie ramiona, / otworzyłeś szeroko oczy, wymówiłeś te słowa / i może pocałowałeś go w policzek? Nigdy / nie zrobiłeś czegoś tak prostego, tak oczywistego, / nie dlatego, że jesteś za młody albo za głupi, / nie dlatego, że jesteś zazdrosny albo podły, / albo niezdolny do płaczu / w obecności innego mężczyzny, / lecz dlatego, że nie wiesz, czym jest praca" (przeł. Ewa Hryniewicz-Yarbrough).

W pewnym momencie jeden z osadzonych powiedział, że ma żal do pisarek i pisarzy, bo zadają ciekawe pytania, ale nie udzielają na nie bezpośrednich odpowiedzi. Meandrują, zwodzą, a potem trzeba sobie z tym wszystkim radzić na własną rękę. Inny uczestnik rzucił prawie bez namysłu: „mówisz tak, bo nie wiesz, czym jest praca". I dodał, że według niego literatura wymusza na nas dodatkową aktywność, rodzaj nadmiarowego działania, skłania nas do wysiłku, a zysk z tej roboty przychodzi – o ile w ogóle przychodzi – dopiero później.

Trzy proste „prawdy"

O jakim zysku mowa? Co możemy zdobyć, gdy postawimy na literaturę, a nie na inne środki komunikacji? Z długiej listy wybieram trzy odpowiedzi, ale tylko po to, by zwrócić uwagę na ich nieoczywisty charakter.

„Czytanie książek to najlepszy sposób na walkę z ignorancją". Ważny polityk komentuje wybory i mówi, że głosujący na przeciwników jego partii popełnili błąd właściwy umysłom politycznie niewyrobionym. Wykazali się ignorancją, w której przezwyciężeniu mogłaby im pomóc literatura. Często słyszę ten argument, zwłaszcza w kontekście warsztatów w więzieniach. Jak to jest – pytają dziennikarze – rozmawiać o literaturze z osobami, które nie mają odpowiedniego doświadczenia? Jak sobie radzisz – pytają koleżanki i koledzy z akademii – z różnicą dyskursów? A tak poza wszystkim, co wy tam czytacie, pewnie kryminały i romanse, prawda?

Świetnie skomentowała podobne wątpliwości Elaine Castillo w zbiorze esejów „How to Read Now?" (Jak czytać dziś?). Jaką postawę etykietujemy za pomocą słowa ignorancja? Np. odruchową niechęć do przedstawicieli innych narodowości i kultur. Uważamy, że gdyby ci prostacy i nienawistnicy poczytali trochę na temat kulturowej różnorodności, przestaliby się zachowywać w tak przemocowy sposób.

Castillo zwraca uwagę na fakt, że wykluczająca postawa wobec innych nie jest skutkiem ignorancji, lecz określonego światopoglądu. Nie rodzimy się z taką postawą, tylko się jej uczymy, także, a może nawet przede wszystkim, z książek. Albo czytamy złą literaturę, albo dobrą literaturę, ale w zły sposób. Zdarza się i tak, że czytamy dobrze, na dodatek najlepsze dzieła, a i tak nie potrafimy przekroczyć własnych granic poznawczych, gdyż nie postawiliśmy wystarczająco inspirujących pytań o przeczytany tekst. Z taką sytuacją możemy się spotkać w każdej przestrzeni społecznej, dlatego nie powinniśmy zakładać, że tam, gdzie ludzie nie mają łatwego dostępu do kultury, nie spotkamy poten-

cjalnych czytelniczek i czytelników. Ich wypowiedzi na temat literatury wcale nie muszą być naiwne, za mało wyrafinowane i przez to nieinspirujące. Przeciwnie, często są zaskakujące i wywrotowo pobudzające. Według mnie w takich miejscach i wśród takich odbiorców literatury klasyczne narzędzia literaturoznawcze i odpowiadające im standardy lekturowe okazują się niewystarczające. Nie tylko dla osadzonych.

Kolejny szlagier: „czytanie uczy nas empatii". Opowieści osób, które doświadczyły wykluczenia lub znalazły się w kryzysie migracyjnym, kruszą powierzchnię zamarzniętego morza wewnątrz nas. Zdanie to wydawało mi się kiedyś niepodważalną prawdą. Zacząłem myśleć inaczej pod wpływem spotkania z syryjską poetką Chulud Szaraf, która musiała uciekać ze swojego ogarniętego wojną kraju i na jakiś czas znalazła schronienie w Krakowie jako stypendystka międzynarodowego programu ICORN. Podczas jednej z naszych rozmów powiedziała, że nie oczekuje ode mnie i od innych empatii, lecz konkretnej pomocy (ekonomicznej i prawnej), która jest jej niezbędna do życia.

Przypomniałem sobie zdanie Jamesa Baldwina z „Zapisków syna tego kraju" o empatii jako osobliwym mechanizmie psychologicznym, który niby skłania nas do pomocy, a w rzeczywistości narzuca innym – tym potrzebującym – określony sposób funkcjonowania, profiluje ich. Jeśli do działania potrzebujemy empatycznego przebudzenia, to znaczy, że ze strony innego musi pojawić się konkretny impuls. Jego książka, jego opowieść, jego zachowanie, jego wygląd – wszystko, co z nim związane, musi odpowiadać modelowi ofiary, który budzi w nas współczucie i dlatego skłania do pomocy. A co jeśli – zapytała Chulud – wcale nie wyglądam jak ofiara przemocy, ale jeśli dziś wrócę do miejsca dotychczasowego zamieszkania, to spotka mnie śmierć? Co jeśli moja opowieść nie dotyczy wojny, tylko radosnego przeżycia, które stało się moim udziałem, mimo traumy, którą w sobie noszę? Co wówczas z niej i ze mnie wyczytacie? Jak zareagujecie? Czy mi pomożecie?

I wreszcie trzeci argument: „dzięki lekturze możemy lepiej myśleć". Od pierwszej edycji Festiwalu Conrada głosimy podobne, ale nietożsame hasło: że literatura to rezerwuar języków, za pomocą których możemy myśleć o wszystkim, czego doświadczamy. Nie znaczy jednak, że czytanie przynosi nam natychmiastowe pocieszenie. Tego powinniśmy się spodziewać po innych środkach przekazu. O to dbają algorytmy determinujące naszą aktywność w mediach społecznościowych.

Dopaminowe upojenie, które odczuwamy za każdym razem, gdy oglądamy krótki filmik, jest stanem pożądanym przez nasz mózg. Taki krótki komunikat ma wszystko, co potrzebne, by wzbudzić w nas entuzjazm: zamkniętą i atrakcyjną wizualnie oraz dźwiękowo formę, prostą narrację i odpowiedź na jakieś pytanie. Parafrazując tytuł książki Ryszarda Koziołka, można powiedzieć, że dobrze myśli się właśnie algorytmami. Literaturą myśli się źle, co jest ze wszech miar pożądane.

Niewidzialny atrament

Kilka lat temu gościnią Festiwalu Conrada była Marjane Satrapi. Rozmawialiśmy o tym, jak czuła się w Paryżu jako uchodźczyni z Iranu. Wyznała mi, że na początku ilekroć próbowała opowiedzieć francuskim znajomym o swoich irańskich doświadczeniach, tylekroć czuła wewnętrzny opór. Nie wiedziała, co było jego źródłem. Gdy pewnego dnia narysowała zapłakaną dziewczynę wybiegającą z przejętego przez islamistów uniwersytetu w Teheranie, wszyscy od razu zrozumieli, o co jej chodzi. Wizualny komunikat okazał się bardziej uniwersalnym instrumentem komunikacji. „Gdybym stworzyła tradycyjną powieść zamiast powieści graficznej – powiedziała Satrapi – być może mniej osób poznałoby moją historię".

Z drugiej strony ta wewnętrzna przeszkoda okazała się inspirująca, gdyż skłoniła ją do zmiany wyjściowych założeń. W końcu wybrała łatwiejsze medium, ale droga, jaką pokonała, była drogą literacką. Wykonała pracę, dzięki której zrozumiała, co się z nią tak naprawdę stało. Miała wrażenie, że to, co do tej pory jej umykało, wreszcie się zmaterializowało w postaci odczucia i refleksji, emocji oraz odpowiadających im idei. Właśnie na tym polega efekt „złego myślenia literaturą", który okazuje się dla nas życiodajny.

W krótkim eseju zamykającym zbiór „Samoszacunek" Toni Morrison pisze, że dzieło literackie zawiera w sobie coś, co można by nazwać „niewidocznym atramentem". Część tekstu, ta najistotniejsza, potencjalnie najważniejsza, jest ukryta, ale na skutek zaangażowania czytającym udaje się ją odkryć i zmaterializować. Jest to rodzaj dopełnienia przychodzącego ze strony odbiorcy, który staje się współtwórcą tekstu. Morrison domagała się takiego gestu ze strony wszystkich osób sięgających po jej książki.

Nie jestem pewien, czy ten atrament sympatyczny, ukrywający tekst o przełomowym znaczeniu dla nas jako czytelników i ludzi, znajduje się w każdym dziele. Poza tym czytelnik bywa lepszym artystą niż pisarz, a to, co zwykle nazywamy lekturowym odkryciem, czasem zasługuje na miano twórczej interwencji. Podejmowany przez nas w czytaniu wysiłek może – ale wcale nie musi – zaowocować czymś przełomowym z punktu widzenia naszego sposobu myślenia i życia. Mówiąc jeszcze inaczej: literatura i lektura w odpowiednich warunkach mają ogromny potencjał, ale nie ma żadnych gwarancji, że ten potencjał zostanie wykorzystany. Co mnie jedynie mobilizuje do działania, bo cały czas staram się zrozumieć, czym tak naprawdę jest praca.

Celsus uważał, że niektóre schorzenia można leczyć lekturami, ale pacjent powinien być pod opieką lekarza lub przynajmniej kogoś, kto – jak on – zna obosieczność czytelniczego miecza. Nie wiem, czy spodobałaby mu się formuła festiwalowych rozmów i dyskusji, ale ja widzę w niej jedno z najefektywniejszych narzędzi literackiej terapii. ©℗ GRZEGORZ JANKOWICZ

Autor jest dyrektorem programowym Festiwalu Conrada

24.10.2023 r. w ramach Festiwalu Conrada odbędzie się dyskusja pt. „Lektura za trzy grosze" z udziałem **INGI IWASIÓW**, **MAŁGORZATY LEBDY** oraz **PIOTRA MARECKIEGO**, którą poprowadzi Agnieszka Budnik. Jej tematem będą dzisiejsze sposoby czytania. Spróbujemy odpowiedzieć na pytanie, jak nasz stosunek do literatury dawnej i nowej oraz nasze wyobrażenia o akcie lektury wpływają na kondycję publicznej debaty i szerzej: na życie społeczeństwa.

15 • CONRAD FESTIVAL

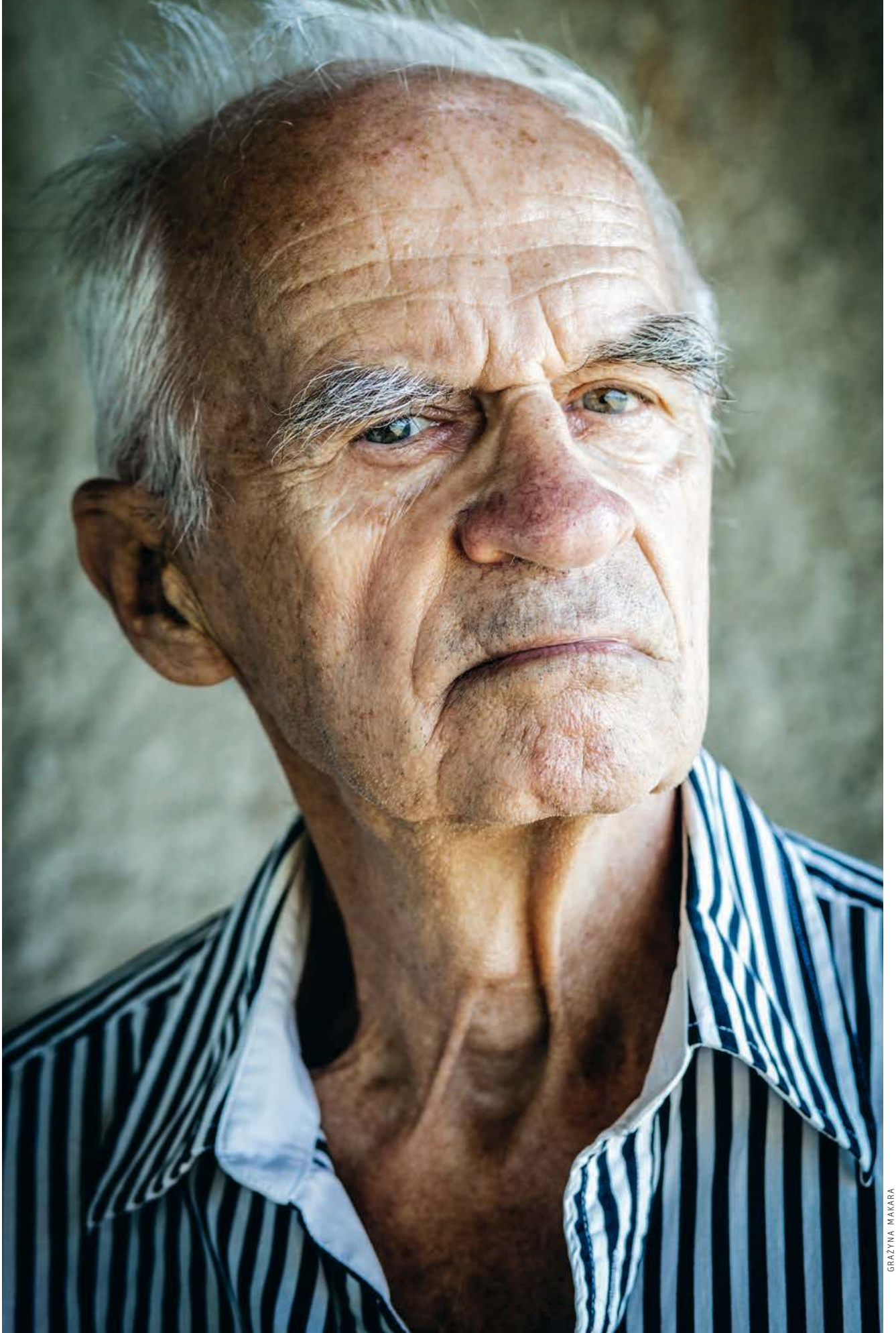

GRAŻYNA MAKARA

KULTURA

PIĘKNY UMYSŁ

Ireneusz Kania uważał śmierć za zjawisko naturalne i właściwie pozytywne, bo na tak małej planecie nie może być przecież nieśmiertelności. Za mało tu na nią miejsca.

ANNA GOC

„Synku, to są książki żydowskie" – zapamiętał słowa ojca i czarne litery na białym śniegu. Nie widział takich dotąd. Była mroźna zima 1945 r. Ireneusz Kania miał pięć lat. Zapamiętał też bombardowanie Wielunia, ciała żołnierzy na ulicach i to, że znajomi ojca, Żydzi, zniknęli z miasteczka. Potem dowiedział się, że wielu z nich zostało wywiezionych do obozu zagłady w Chełmnie nad Nerem.

– Coś pani pokażę... – mówił, wspinając się najpierw na krzesło, a potem przeskakując na blat biurka, żeby dosięgnąć zwiniętych w rulon kart, które leżały na najwyższej półce biblioteczki.

– Rzadka rzecz – zeskakiwał uważniej, by nie zniszczyć pergaminu.

Wyprawiona cielęca skóra, smoliście czarne litery: – Fragment Tory, ze zniszczonej synagogi. Dał mi go znajomy ojca, Żyd. Wiedział, że uczę się hebrajskiego. Karty z takimi literami widziałem w Wieluniu. One pierwsze sprawiły, że zaciekawiłem się obcymi językami.

Silne serce

Żartował, że żadnej szkoły nie skończył jak należy. Zamiast do pierwszej klasy podstawówki poszedł do drugiej. Nauczyciele chcieli go przenieść od razu do trzeciej, ale na to nie zgodzili się jego rodzice.

Po kilku tygodniach nauki w liceum, zimą 1954 r., trafił do sanatorium, gdzie spędził łącznie trzy i pół roku. Tam odkrył samodzielną naukę. Nawyk, który zostanie mu na całe życie: – Sanatorium było wyrwą w mojej edukacji. Na wysokim poziomie były trzy przedmioty, największe luki miałem z matematyki, fizyki i chemii.

Malował już przed sanatorium. Jego prace były wysyłane na konkursy i pokazywane na szkolnych wystawach. Malarstwa nigdy jednak nie pokochał tak jak muzyki. W sanatorium słuchał radia. W rozmowie z Damianem Strączkiem dla kwartalnika „Po lekcjach" wyznał, że jako ośmiolatek śpiewał arie z dzieł Franza Lehára i Jacques'a Offenbacha.

Korzystał z sanatoryjnej biblioteki. Nieźle wyposażonej. Przeczytał „Trzech muszkieterów", po rosyjsku. Nauczył się alfabetu hebrajskiego. Dzięki wychowawcy internatu, który pożyczył mu książkę do nauki gramatyki sanskrytu, zaczął wgryzać się w ten język. A że podręcznik był po niemiecku, musiał zapoznać się i z niemieckim.

W bibliotece znalazł też „Boską komedię" w przekładzie Edwarda Porębowicza: – Przez tydzień nie mogłem spać. Postanowiłem nauczyć się włoskiego, żeby przeczytać ją w oryginale. Wyznaję pogląd, że główny sens mojej pracy jako tłumacza polega na tym, żeby zachęcić czytających przekład do sięgnięcia po oryginał.

Prof. Anna Margolis, która zorganizowała i kierowała Sanatorium Przeciwgruźliczym dla Dzieci w Łagiewnikach, teściowa Marka Edelmana, podarowała Kani podręcznik do nauki włoskiego, choć był to włoski dla szkół muzycznych.

Jaśniał, gdy ją wspominał. – Prof. Margolis zapraszała mnie do dyżurki na pogawędki. Przynosiła mi coś jeszcze – znaczki pocztowe. Może sobie pani wyobrazić, co to była za opowieść o innych kulturach i odległym świecie dla dziecka z PRL-u.

Wtedy też przeszedł operację płuc. Był zorientowany w swojej chorobie i ryzyku. Lekarze rozmawiali z nim jak z dorosłym. Czekając na operację, śledził losy innych pacjentów.

Kilka sal obok leżała siedmioletnia dziewczynka. Dopytywała o Ireneusza, chciała go widzieć. Zachodził do niej przed operacją: – I wie pani, to dziecko...

Głos w nagraniu milknie.

Tamto zdarzenie wzmocniło pytania, które zadawał sobie już wcześniej – o istotę zła. Zła „które jest w naturze; które poprzedza człowieka" – jak określał je podczas rozmowy z Krzysztofem Czyżewskim w Krasnogrudzie w 10. rocznicę śmierci Czesława Miłosza.

I cierpienia, zwłaszcza niezawinionego.

Powtarzał, że nie lubi słowa „nadzieja". Wolał logikę. „Od dziecka zawsze bardzo bałem się złudzeń" – wyznał w rozmowie z Izabellą Bodnar dla „Przekroju".

Dlatego przed wejściem na salę operacyjną obliczył własne szanse. Kalkulował: jest młody, silny, wysportowany. Operację przeprowadzi świetny chirurg: – Oszacowałem, że mam 90 proc. szans na przeżycie. Uspokoiło mnie to. Jeśli czułem niepokój, to był on związany z tym, co działoby się w domu, gdybym nie przeżył.

Prawie umarł. Operacja się udała, ale stracił dużo krwi. Natychmiast mu ją przetaczano, ale źle założony dren sprawił, że zamiast w żyłę, krew wsiąkała w materac. Kałużę pod łóżkiem – jak opowiadał – zauważono po dwóch godzinach. – W ostatniej chwili, stwierdził chirurg, i dodał, że mam silne serce. W sanatorium dostałem szkołę samotności, bardzo ważną w moim życiu.

↦

Ireneusz Kania, lipiec 2018 r.

Co kawka wiedziała

↦ Po powrocie do liceum rozważał kilka kierunków studiów: myślał o orientalistyce, biologii albo astronomii. Nauczyciele namawiali go na studia plastyczne. Znał już całkiem nieźle łacinę, nawet żartował, że dzięki łacinnikowi z liceum miał za sobą pierwszy, półoficjalny, przekład – „Metamorfoz" Owidiusza, które tłumaczyli na polski heksametrem.

– I to całkiem udany – mówił po latach, gdy odnalazł zeszyt z liceum i stwierdził, że w tłumaczeniu nic by nie zmienił. Do „Metamorfoz" wróci przed 90. urodzinami Miłosza, kiedy dowie się, że ten w liceum przekładał Owidiusza heksametrem.

– „Mityczne miody piłem, / Głowę w laury stroiłem, / Byle nie pamiętać" – zna pani na pewno. Chciałem sprezentować Miłoszowi na urodziny mój przekład jego „Metamorfoz" i żaden język mi do nich nie pasował. Wtedy mnie olśniło, że przecież łacina! Miłosz zadzwonił, gdy przeczytał, roześmiany: „Moje wiersze po łacinie, no, no" – mówił.

Znał włoski, a dzięki znalezionym w sanatoryjnej bibliotece wierszom i piosenkom także podstawy hiszpańskiego. Zaczął zauważać podobieństwa w językach i to go pociągało. Dlatego wybrał romanistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Wtedy dowiedział się, że egzaminy wstępne zdaje się z francuskiego.

– Co tu zrobić? Biłem się z myślami. Nie miałem przecież pojęcia o francuskim. Ale szalone pomysły tak, więc podjąłem decyzję – nauczę się – opowiadał.

Jego ojciec był przerażony. „No jakże to? Przecież to jest niemożliwe. Masz maturę na karku i chcesz nauczyć się francuskiego w kilka miesięcy?" – wspominał w czasie naszej rozmowy.

Nie posłuchał. Rozłożył na biurku: „Czerwone i czarne" Stendhala, w oryginale. Przedwojenny słownik francusko-polski, do którego dołączona była zwięzła gramatyka, i odziedziczoną po kuzynach książkę do nauki francuskiego, bez pierwszych i ostatnich stron. Czytał zdanie po zdaniu. Wertował słownik, notował słówka. Zapisywał je na karteczkach, ale nie uczył się na pamięć. Wiedział, że w jego przypadku to na nic. Na lekcjach historii potrafił łączyć fakty, ale nie miał pamięci do nazwisk i dat. Wbitych do głowy łacińskich słówek po trzech dniach musiał uczyć się od nowa.

– Nie mam dobrej pamięci mechanicznej. Dlatego musiałem wymyślić własną metodę nauki języka – opowiadał. – Wszystkie zjawiska językowe ujawniają się w tekście. Jeśli złapię strukturę tekstu, słowa same zaczynają wchodzić w odpowiednie miejsca. Po wielu latach spotkałem kogoś o podobnej pamięci. Tym kimś był Eliade. Odkrycie podbudowało mnie, bo stwierdzić u siebie jakiekolwiek podobieństwo do mistrza, to nie mało.

Przez kilka miesięcy, które zostały mu do matury i egzaminów wstępnych na studia, przerobił całego Stendhala. Uczył się francuskiego codziennie przez pięć godzin, w drugiej części dnia nadrabiał zaległości w nauce po sanatorium.

Część pisemną egzaminu na romanistykę zdał bez trudu. Kłopoty zaczęły się na dyktandzie z literatury, bo choć czytał i pisał po francusku, nie miał pojęcia o wymowie. Prof. Anna Drzewicka odczytała fragmenty prozy Anatola France'a. Kania rozejrzał się po sali: – Kilkadziesiąt osób, większość po ładnych paru latach nauki francuskiego w liceum. „Czego ja, taki spadochroniarz, mogłem tam szukać" – pomyślałem sobie.

Na egzaminie ustnym nie zrozumiał pierwszego pytania. Prof. Drzewicka zdziwiła się, bo część pisemną zdał dobrze. Przeszła na polski, zapytała, co się dzieje. Kania opowiedział, w jaki sposób nauczył się francuskiego. Zapytała, czy zna jakiś inny język. Owszem, zna, włoski, którego też nauczył się sam. Zdał egzamin po włosku. Został przyjęty.

Pod koniec września 1959 r., trzy dni przed wyjazdem z Wielunia na studia, znikła jego kawka. Druga, bo pierwszą oswoił jako ośmiolatek.

– Lubię ptaki, ale na kawkach znam się najlepiej. Moja kawka zachowywała się jak młode kocię. Wierna była niebywale. Wystarczyło, że wychyliłem się przez okno i ją zawołałem, nieważne – była ze stadem, czy nie, zawsze przylatywała – opowiadał. – Okazała się mieć też dar proroczy. Tuż przed moim wyjazdem na studia nagle przepadła. Cóż, pomyślałem, normalna kolej rzeczy. Aż tu nagle, wracam po pierwszym roku, i już na schodach słyszę dziwne wrzaski. Otworzyłem drzwi, a tam moja kawka! Spadła na mnie, na kark, na ramiona, szarpała za ucho. Najbardziej zdziwiona była mama: „To ja nie wiedziałam, kiedy dokładnie wrócisz, a ona wiedziała?".

W akademiku trafił do jazzującego środowiska. „Obok nas, w salce bez okien, zatęchłej i pełnej kurzu, grał na rozklekotanym pianinie Adam Matyszkowicz, dziś znany jako Makowicz. Ratowaliśmy go od niechybnej śmierci, gdyż gdyby ktoś z nas nie przynosił mu jedzenia, umarłby przy pianinie z głodu" – opowiadał Strączkowi.

Grał na kontrabasie. Coraz więcej słuchał. I Bacha, i rumuńskiej muzyki ludowej, którą zachwycił się w pierwszej podróży do Rumunii w 1963 r.

„Gdy słucham, tylko temu się oddaję. Nie muszę dodatkowo się odizolowywać, zamykać oczu etc. Słuchając Brahmsa lubię patrzeć na poruszające się na wietrze drzewa (zresztą muzyka Brahmsa kojarzy mi się zawsze z potężnym, szumiącym drzewem, stojącym samotnie na łące)" – mówił Strączkowi.

Obok salki, w której utrzymywali przy życiu kolegę pianistę, Kania trenował: – Zawsze byłem wysportowany. Robiłem sztuczki gimnastyczne, właściwie były to sztuczki cyrkowe.

Gdy miał 11 lat, planował ucieczkę do cyrku. Trenował chodzenie po linie, uczył się robienia salt: – Przy drugiej próbie salta wylądowałem idealnie pionowo głową na klepisku w stodole mojego stryja. Gdybym uderzył pod kątem, złamałbym kręgosłup. Przy saltach trzeba obserwować ciało, mieć trenera, a ja byłem samoukiem.

Próbował szermierki, rzucał dyskiem i kulą, uprawiał sprinty. Pływał, jeździł na rowerze. Asany odwrócone pozwalały mu odświeżyć umysł. Wyniki zapisywał: – Systematycznie, to mój sportowy nawyk. Ważny, zwłaszcza w dyscyplinie, w której sumuje się kilogramy. Notuję też wyniki ze sportowych sprawdzianów, które sobie robię. Z ciekawości, żeby sprawdzić, na co mnie stać.

Uprawianie zawodniczego sportu zaczął od kulturystyki. Wyjaśniał mi, że za jego czasów kulturystyka składała się z czterech konkurencji – przysiadu ze sztangą, martwego ciągu, wyciskania na ławce w leżeniu i wyciskania klasycznego, a także pokazu sylwetki, w których nie brał udziału: – W tamtym czasie wpadłem na wiersz Wisławy Szymborskiej „Konkurs piękności męskiej". Pusty śmiech mnie ogarnął, bo i myśmy dbali głównie o sylwetkę. Z dnia na dzień rzuciłem tę dyscyplinę i przeszedłem do ciężarów.

Po latach wrócił do tej sprawy w rozmowie z Szymborską. Poetka – jak wspomina Kania – podobno powątpiewała, że jej poezja może mieć wpływ na czyjeś życie. „Wisławo, nie mów tak, to nieprawda" – zaczął Kania. „Nie zdajesz sobie sprawy, jakimi krętymi, podziemnymi drogami wiersz potrafi dotrzeć do człowieka i zmienić jego życie" – mówił. Po czym wyznał, że gdyby nie jej poezja, byłby kulturystą.

Ciężary trenował wyczynowo przez 20 lat: – Oczywiście sztangę uprawiam do dzisiaj [mówił, choć nie musiał, bo leżała obok biblioteczki]. Dzięki ciężarom mogę obserwować, co czas robi z człowiekiem. Teraz wyciskam na ławce 75 kg, mój rekord życiowy to 120 kg. Więc przez te 60 lat skurczyłem się o jedną trzecią, jeśli chodzi o wynik.

Zmierzchy, świty

Tuż po studiach pracował w wydawnictwie PWN jako korektor, zajmował się też produkcją. W 1968 r. zatrudnił się w Centralnym Ośrodku Chłodnictwa, najpierw jako dokumentalista, później był odpowiedzialny za współpracę z zagranicą. Przygotowywał m.in. protokoły z posiedzeń komisji międzynarodowych, prowadził negocjacje techniczno-handlowe. By zostać przyjętym, musiał spełnić dwa warunki: znać się na chłodnictwie i biegle posługiwać się językiem niemieckim. Zdał więc egzamin z techniki chłodniczej i nauczył się biegle niemieckiego.

– Praca z najlepszymi inżynierami dała mi coś jeszcze, pozwoliła zorientować się w polskiej gospodarce – wspominał. – Był to czas rozbuchanej gierkowszczyzny, o wielu rzeczach nie rozmawiało się publicznie. Strajki na Wybrzeżu nie były dla mnie zaskoczeniem, moi znajomi inżynierowie przepowiadali je już wcześniej.

W latach 70. zaczął się uczyć języka tybetańskiego. Fascynację Tybetem przeżył jako trzynastolatek. „Wszedłem w posiadanie czterech znaczków chińskich – opowiadał o pierwszym zetknięciu z językiem tybetańskim w rozmowie z Magdaleną Heydel i Urszulą Kropiwiec w kwietniu 2023 r. – Widziałem, że są na nich dwa rodzaje pisma i obrazki – bardzo piękne, bardzo tajemnicze".

Te dwa rodzaje pisma to języki chiński i tybetański. Chińskiego Kania zaczął się uczyć już na studiach. O tybetańskim nie potrafił za to przestać myśleć. W Polsce nie było jednak materiałów do nauki.

Próbował szermierki, rzucał dyskiem i kulą. Pływał, jeździł na rowerze. Uprawianie zawodniczego sportu zaczął od kulturystyki. **Ale kulturystą nie został. Dzięki Szymborskiej.**

Znalazł więc przedstawicieli dalajlamy w północnych Indiach i listownie poprosił ich o książki. Stwierdził, że najprawdopodobniej nie znają angielskiego, napisał więc w hindi. Odpowiedź przyszła po kilku miesiącach, bo, jak się okazało, pracownicy biura szukali kogoś, kto przetłumaczy im list Kani na angielski, odpisali bezbłędną angielszczyzną. Wkrótce przysłali też książki i słowniki.

– Pokażę pani coś jeszcze – mówił wyjmując z biblioteczki zeszyt. Pożółkłe strony, staranne pismo. – Niektóre teksty po tybetańsku przepisywałem w całości.

Dzięki uprzejmości dyrektora Centralnego Ośrodka Chłodnictwa korzystał z kserografu, „super nowoczesnego wynalazku" – jak o nim mówił w tamtych czasach, i kserował trudno dostępne książki.

Od 1975 r. pracował w Wydawnictwie Literackim, gdzie był zastępcą kierownika redakcji przekładów. Na chwilę przed wybuchem stanu wojennego odszedł z wydawnictwa i zdecydował, że zajmie się przekładem: – Urodziłem się, żeby być pilotem. Z różnych powodów nie mogłem, ale technikę pilotażu opanowałem z książek. Studiując historię lotnictwa natrafiłem na materiały, które pokazują entuzjazm związany z wynalazkami. Gazety rozpisywały się, że pojawienie się samolotów zniesie granice, a jeśli granice znikną, nie będzie wojen. 11 lat po locie braci Wright samoloty wznosiły się nad polami bitew I wojny światowej, żołnierze ręcznie zrzucali z nich granaty do okopów. Niedługo później latały już bombowce – opowiadał.

I dodał: – Tak jest z większością wynalazków. Był tylko jeden człowiek we współczesnej historii, który przewidywał, że wynalazki mogą obrócić się przeciwko człowiekowi. Był nim Stanisław Lem.

Do gabinetu, w którym rozmawialiśmy, zajrzała żona Ireneusza, pani Maria.

– Może ma pani ochotę na rogaliki ze śliwkami – zapytała. A Kania dodał, że Szymborska bardzo je lubiła. Tuż przy drzwiach gabinetu są razem na zdjęciu: Wisława Szymborska, Jerzy Illg, Czesław Miłosz i Kania.

– Luty 2004 rok, pół roku przed śmiercią Miłosza – zatrzymał się przy zdjęciu Kania. – Nasze pierwsze spotkanie zorganizowała Szymborska.

Ze szczegółami opowie o nim w czasie spotkania w Krasnogrudzie. Nie rozmawiali od razu o tym, co Miłosza interesowało najbardziej, czyli o buddyzmie. Poeta pytał za to żartobliwie, czy zdaniem zgromadzonych jego wiersze nadają się na teksty piosenek. Jednogłośnie stwierdzili, że nie.

Przed kolejnymi spotkaniami wymieniali się pytaniami i zagadnieniami: – Miłosz zawsze się przygotowywał, i ja też się przygotowywałem. Zastałem go raz w jego krakowskim mieszkaniu z furą papierów na kolanach. Wyjąłem swoje notki. Miłosz poruszył się, papiery zsunęły się na podłogę. Roześmialiśmy się. Stwierdziliśmy, że damy sobie spokój, porozmawiamy bez nich.

W rozmowie „Millenium, apokalipsa, koniec wieku", w której wzięli udział z Miłoszem i ks. Wacławem Hryniewiczem, Kania mówił o zmierzchu świata. Gdy po kilkunastu latach wróciłam do tego tematu, sprawy, na które wtedy zwracał uwagę, przybrały na sile: – Zmiany widoczne są też w językach. „Ja" coraz częściej zajmuje centralne miejsce w zdaniu. Język jest potężnym, skomplikowanym i czułym narzędziem zmiany, jednocześnie aparaturą zapisującą tę zmianę. Sprawy, którymi dzisiaj żyjemy, za 10 lat zejdą na drugi plan. Ustąpią prawdziwemu problemowi, czyli ratowaniu planety. Przyczyną kryzysu klimatycznego są nasze egoizmy. Od tego, jak sobie z nimi poradzimy, będzie zależało przetrwanie nas jako gatunku, a nie jako jednostki.

Kabałę, która zajmuje się ukrytym życiem Boga, zgłębiał przez 20 lat: – Chciałem się dowiedzieć, na czym kabała polegała, i jakie są jej źródła. I tego się dowiedziałem. Nie mam natury naukowca, zgłębianie detali mnie nie interesuje. Szukałem najważniejszych wektorów, które poruszają wybrane sektory rzeczywistości.

Drugim wektorem był buddyzm: – W buddyzmie interesował mnie ↦

↦ problem zła i cierpienia. Śmierć uważałem za zjawisko naturalne i właściwie pozytywne, bo na małej planecie nie może być nieśmiertelności. Chciałem dowiedzieć się czegoś innego. Wzrastałem w orbicie kultury chrześcijańskiej, w której pojęcie kary za grzechy było powszechne. Absolutnie zagadkowa była dla mnie koncepcja piekła jako wiecznej kary. Już jako chłopiec zrozumiałem jedną rzecz – nielogiczność tej tezy, a mam uwielbienie dla logiki. Zło, które popełnił nawet największy zbrodniarz, jest przecież ograniczone. Buddyzm ze swoimi piekłami dostosowanymi do wielkości kary sporo mi rozjaśnił.

Hedonista

Czytał w 25 językach, mówił w 10. Nauczył się m.in. chińskiego, palijskiego, angielskiego, francuskiego, hebrajskiego, hiszpańskiego, portugalskiego, rumuńskiego, szwedzkiego, włoskiego, rosyjskiego, tybetańskiego, a także łaciny, greki i sanskrytu.

Przełożył ponad sto książek z 16 języków, m.in. „Tybetańską Księgę Umarłych", „Aforyzmy tybetańskie" Sakja Pandity, „Opowieści Zoharu", poemat „Luzytanie" Luísa de Camõesa, arcydzieło literatury portugalskiej, i wiersze zebrane Konstandinosa Kawafisa. W tym roku ukazała się w jego przekładzie z języka palijskiego „Suttanipata. Zbiór nauk buddyzmu pierwotnego".

„W jego bibliografii nie ma tytułów przypadkowych ani błahych, należących do literatury popularnej, tymczasowo modnej i nietrwałej. To dzieła starannie dobierane według pewnego klucza, należące do klasycznego repertuaru humanistyki. Przełożone z oryginału. Z pogranicza historii idei, kultur, filozofii religii, mitologii i historiozofii" – brzmiała laudacja, gdy odbierał Nagrodę Prezydenta Miasta Gdańska za Twórczość Translatorską im. T. Boya-Żeleńskiego w 2023 r.

– Zawsze robię wszystko na własny rachunek. Może brzmi to egoistycznie, ale chodziło mi o własną przyjemność, o własną satysfakcję. Można powiedzieć, że jestem hedonistą. Dlatego też nigdy nie przekonywałem nikogo do swoich odkryć – mówił.

Wprowadzenie do „Tybetańskiej Księgi Umarłych" zakończył tak: „Tak więc »Księga« uczy nas odwagi – wobec prawdy, a także wobec samego umierania. Uczy też pokory: los, który się nam przytrafia, przytrafia się wszystkim bez wyjątku »synom ludzkim«, ostatecznie nie ma w nim nic niezwykłego".

©℗ ANNA GOC

Co nowego u Beatlesów?

CEZARY ŁAZAREWICZ

Nie do wiary. Można po pół wieku stworzyć brawurową, lekką, fascynującą opowieść o czterech facetach, którzy zmienili muzykę, popkulturę i, nie bójmy się tego słowa – świat.

Nie wiem jak u innych, ale u mnie zaczęło się dość wcześnie, gdy miałem 13 lat. Starszy kolega z bloku zabrał mnie do kina Bajka na film z będącym wtedy na topie zespołem Bee Gees. „Niestety – powiedział – będą śpiewali stare piosenki Beatlesów". Uważał, że tylko dwie piosenki Beatlesów zasługują na uwagę – „Hey Jude" i „I Am the Walrus". Reszta (było to pod koniec lat 70.) się zestarzała i jest nie do słuchania.

Film był głupi – skrzyżowanie „Czarodziejskiego fletu" z „Porwaniem Baltazara Gąbki". Tajemniczy Pan Musztarda wykradł z muzeum w prowincjonalnym amerykańskim miasteczku cudowną trąbkę, która zapewniała miejscowym szczęście, miłość i dobrobyt. Jego tropem rusza z odsieczą ekspedycja kierowana przez lokalnego szarpidruta Petera Framptona (wtedy ma jeszcze spadające na ramiona długie, jasne włosy) i jego kolegów z Bee Gees. Zanim odzyskają złotą trąbkę i przywrócą w miasteczku porządek, odśpiewują na ekranie całą serię pięknych piosenek, które pierwszy raz w życiu wtedy usłyszałem. Skąd wziąć oryginały?

Nie było płyt ani kaset, a ważne albumy nagrywało się wtedy z radia na magnetofon szpulowy, jeśli ktoś go miał. Ja miałem i magnetofon, i szczęście. Pod koniec lat 70. Jerzy Janiszewski z Lublina zaprezentował całą dyskografię Beatlesów w Programie II Polskiego Radia. W sumie 229 piosenek zajęło mu prawie pół roku, bo co tydzień puszczał tylko jedną stronę longplaya. Mnie zajęło to wiele lat. Bo najpierw były studyjne albumy, potem koncertowe, bootlegi, taśmy demo, surówki studyjne, a w końcu profesjonalnie wydana „Antologia" z kilkudziesięcioma piosenkami, począwszy od najgłębszych wykopalisk.

Garniturki

Tak naprawdę jednak zaczęło się w sobotę 6 lipca 1957 r., w ogrodzie przylegającym do niewielkiego kościoła św. Piotra w dzielnicy Woolton w Liverpoolu, przy którym stoi na cmentarzu nagrobek Eleanor Rigby (tej, o której McCartney napisał potem piękną balladę). Odbywał się wtedy piknik z okazji koronacji Różanej Królowej, na którym przygrywał skifflowy zespół Johna Lennona – The Quarryman. Koncertowi przysłuchiwał się piętnastoletni Paul McCartney, a po występie podszedł do starszego o dwa lata Johna i zaczął się popisywać swoimi rock'n'rollowymi akordami. John zapytał kolegów, czy chcieliby go w zespole, i tak narodził się najsławniejszy duet autorów piosenek.

Nieco ponad kilometr dalej w piętrowym domu przy Menlove Avenue, gdzie John mieszkał z ciocią Mimi, w jego pokoju na pierwszym piętrze powstawały te ich pierwsze piosenki. Stamtąd już rzut beretem do żelaznej bramy dawnego sierocińca Strawberry Hill, za którą za 10 funtów i 50 pensów można zobaczyć piękny ogród, o którym Lennon napisał jedną z najpiękniejszych piosenek Beatlesów. Trochę dalej jest ulica Penny Lane, gdzie do dziś jest ten sam zakład fryzjerski, w którym strzygli się w młodości.

Do centrum kultu jest jeszcze kawałek, najlepiej podjechać autobusem. Na Mathew Street stoi naturalnej wielkości figura Johna Lennona, a przy nim mur zbudowany z cegieł, na którym wykaligrafowane są nazwy wszystkich liverpoolskich zespołów, które tu kiedyś zaczynały. Najważniej-

MICHAEL OCHS ARCHIVES

The Beatles. Bournemouth, ok. 1964 r.

szy na ulicy był klub Cavern – schodziło się do niego po osiemnastu schodach. To w nim Beatlesi zaczynali swoją światową karierę. Wtedy było mroczno, wilgotno i nie było czym oddychać. Dziś tego Cavern z Mathew Street już dawno nie ma, ale jest sporo innych klubów Cavern, udających ten beatlesowski sprzed wielu lat. Ulica wygląda jak miejski skansen. Na to chyba liczą turyści z całego świata, którzy nie mieli już szans na spotkanie się tutaj z Beatlesami.

Nie ma też sklepu płytowego NEMS przy Great Charlotte Street w dzielnicy Whitechapel, do którego w sobotę 28 października 1961 r. wszedł chłopak w skórzanej kurtce i poprosił o płytę z nagraniem „My Bonnie" zespołu The Beatles. A że właściciel nigdy o zespole nie słyszał, to poszedł zobaczyć ich koncert. Tak menadżerem najwspanialszego zespołu na ziemi został Brian Epstein (jego grób znajduje się też niedaleko – na cmentarzu żydowskim w Liverpoolu, w części A pod numerem H12).

Epstein był pierwszym człowiekiem, który w The Beatles uwierzył. Kazał ściągnąć im skórzane kurtki i założyć garniturki. Zamienił dzikość w łagodność i roztoczył przed muzykami wizję światowej kariery. Powiedział im, że zajdą bardzo daleko, dalej niż Elvis, który po obu stronach oceanu był wtedy królem rock'n'rolla. Za przeproszeniem: to populistyczne – Liverpool był prowincjonalnym miastem, a show-biznes i przemysł płytowy był w Londynie. Epstein wysłał ich tam w śnieżycę nieogrzewaną furgonetką. 1 stycznia 1962 r. rozpoczęło się profesjonalne przesłuchanie Beatlesów w studiach płytowego potentata – Decca.

Wtedy jeszcze to wszystko mogło się potoczyć zupełnie inaczej. Na przesłuchaniu nie zaryzykowali żadnej ze swoich kompozycji, grali tylko dobrze znane rock'n'rollowe standardy. A po wyjeździe z Londynu długo czekali na odpowiedź z Decca, która przyszła dopiero w marcu.

Po śladach

Jeśli jest ktoś, kto nie dostrzegł góry złota na swojej drodze, to jest nim na pewno Dick Rowe – szef działu poszukiwania i rozwoju talentów wytwórni Decca. To on na kilka miesięcy przed światową eksplozją beatleamani oświadczył zespołowi, że żadnego kontraktu z nimi nie podpisze. Jego zdaniem moda na zespoły gitarowe się kończyła. Trafił jak kulą w płot – już w następnym roku występ Beatlesów w programie telewizyjnym „Sunday Night at the London Palladium" oglądało 15 mln Brytyjczyków, a pierwszy telewizyjny występ w USA jeszcze więcej – 73 mln. Do tej pory sprzedali ok. 300 mln płyt i sprzedają je dalej. Każde odnalezione nagranie – nawet ledwo słyszalne – jest wydarzeniem na muzycznym rynku.

Byłem w muzeum Beatlesów w dokach Liverpoolu, oglądałem ich domy rodzinne, zwiedzałem miejsca, gdzie występowali na początku kariery w Hamburgu, przeszedłem przez zebrę na Abbey Road i na Savile Row oglądałem budynek, na dachu którego dali swój ostatni koncert. Byłem w dawnej galerii Indica, gdzie Lennon wszedł po drabinie i przez lupę odczytał na suficie słowo „tak" – w ten sposób poznał performatywną artystkę Yoko Ono. To ona stworzyła na nowo Lennona, ale wcześniej pogrzebała The Beatles. Mam wszystkie studyjne albumy Beatlesów, kilka koncertowych i parę bootlegów. Mam pierwsze amerykańskie wydanie płyty Beatlesów i ostatni album „Revolver" zremasterowany przez Gilesa Martina – syna ich legendarnego producenta George'a Martina. Przeczytałem kultową, jedyną autoryzowaną biografię The Beatles Huntera Daviesa, monumentalną pozycję Boba Spitza i kilka mniej ważnych książek. Obejrzałem wszystkie ich filmy – fabularne i dokumentalne – łącznie z ośmiogodzinnym „The Beatles: Get Back".

Poznałem też prof. Jerzego Jarniewicza, który przeanalizował każde słowo w ich piosenkach, Maćka Hena, rozkładającego na czynniki pierwsze ich muzykę, Antka Pawlaka, który pisze o nich wiersze, a nawet Richarda Pottera, prowadzącego po Londynie wycieczki śladami Beatlesów (do dziś żałuję, że pożałowałem stu funtów i zrezygnowałem ze spotkania z fryzjerem, który strzygł Lennona i miał po nim pamiątkowy pukiel włosów).

Mylący wygląd

Byłem więc pewny, że niewiele może mnie już zaskoczyć. Dlatego lekko sceptycznie podszedłem do zapowiedzi nowej biografii zespołu The Beatles. Po prostu nie wierzyłem w buńczuczne reklamy Wydawnictwa Poznańskiego, że dowiem się o Beatlesach więcej, niż jestem sobie w stanie wyobrazić. Do jasnej cholery, pomyślałem, co jeszcze nowego można o nich napisać? ↦

↦ Nazwisko autora też mi nic nie mówiło. Craig Brown? Satyryk i autor politycznych skeczów, który nigdy wcześniej nie pisał o Beatlesach, a nawet nie mógł ich znać, bo gdy się rozpadli, miał zaledwie 13 lat. Cóż nowego ten łysiejący starszy pan mógł jeszcze napisać? A jednak – uwierzcie – można po pół wieku stworzyć brawurową, lekką, fascynującą opowieść o czterech facetach, którzy zmienili muzykę, popkulturę i, nie bójmy się tego słowa – świat.

Brown nie udaje, że zjadł wszystkie rozumy, ale sięga do źródeł: wywiadów, relacji, wspomnień, odnajduje zapomnianych świadków i miejsca, które do tej pory nie zostały jeszcze opisane. Ta książka ma kolory, smaki i zapachy. Przenosi nas w czasie do lat 60., a w przestrzeni – do Anglii, Niemiec i Stanów Zjednoczonych. Szczególnie ten amerykański epizod – pierwszej trasy koncertowej po USA – jest fantastycznie opisany. Brown rzuca historię na szersze tło społeczno-polityczne i zwraca uwagę, że Beatlesi przybywają do Nowego Jorku niedługo po zabójstwie prezydenta Johna F. Kennedy'ego i zamieniają narodową żałobę w ogólnoamerykański karnawał. Już na lotnisku piski oczekujących na nich dziewczyn zagłuszały silniki odrzutowca, a potem jest już tylko głośniej i bardziej histerycznie. Brown poświęca opisowi ekstazy, która opanowała Amerykę po przylocie Beatlesów, cały rozdział. W samym Nowym Jorku sprzedawało się wtedy 20 tysięcy peruk *à la* beatles dziennie, a niewykorzystany bilet wartości 4 dolarów na waszyngtoński koncert osiągnął w 2016 r. na aukcji cenę 30 tys. dolarów.

„Nawet Elvis Presley nie wzbudzał tak kosmicznego szaleństwa w tym piszczącym pokoleniu – pisał po ich przylocie „New York Daily News". – Presleyowe obroty i zawodzenie były w istocie cienką herbatką w porównaniu z wysokoprocentowym trunkiem serwowanym przez Beatlesów".

Jedną z cenniejszych pamiątek z ówczesnego pobytu Beatlesów w USA jest ich ikoniczne zdjęcie z legendarnym pięściarzem Muhammadem Alim. Brown opisuje kulisy tego spotkania. Wspólne zdjęcie z bokserskim mistrzem świata zaproponował rzecznik amerykańskiej zawodowej federacji bokserskiej. Tylko że po obejrzeniu koncertu ówczesny mistrz świata Sonny Liston był dość krytyczny wobec „leszczy" z Anglii. „Moje psy lepiej grają na perkusji niż ten dzieciak z wielkim nosem" – zrecenzował Ringo Starra i wykręcił się od wspólnej fotografii. Wtedy padło na Muhammada Alego, któremu nikt nie wróżył wielkiej bokserskiej kariery. Nie był tym spotkaniem zachwycony. Sięgali mu ledwo do ramienia, więc mówił o nich, że są żałośni. Trochę się jednak przełamał, gdy zaczęli dyskusję o pieniądzach. „Nie jesteście tacy głupi, na jakich wyglądacie" – pochwalił nawet. A potem ustawili się do fotografii. Muhammad Ali i czterech Beatlesów mieli symbolizować brytyjsko-amerykańską przyjaźń ponad podziałami. Kiedy już poszli, Ali zapytał swojego menadżera: „Co to za pipki?". Tydzień później Ali niespodziewanie odesłał Listona z ringu z ręką na temblaku i został obwołany bokserem wszech czasów.

Podobnie jak Craig Brown, mam naturę kury i lubię grzebać w archiwach. Widzę, że przeczytał o Beatlesach każdy artykuł i każdą notatkę po obu stronach oceanu. To się rzuca w oczy na każdej stronie jego książki. Stąd wiadomo, że Cynthia Lennon szła do ślubu w białej, falbaniastej bluzce, że George Harrison rzucił pawia przy swoim łóżku w Hamburgu i odmówił jego sprzątnięcia, a Ringo Starr był pierwszym Beatlesem, który na dobre zaciągnął się skrętem z marihuaną zaoferowanym przez Boba Dylana.

Tyle na zachętę. A resztę to już sobie doczytacie, bo warto. Ja właśnie wyruszam do Amsterdamu na koncert psychofanów Beatlesów o nazwie The Analogues. Ci faceci zebrali identyczne instrumenty, na których w latach 60. grali Beatlesi, i odtwarzają na koncertach każdą nutkę, która została zarejestrowana na pięciu ostatnich albumach zespołu. Ponoć brzmią niesamowicie – jakbyśmy przenieśli się do tamtych czasów. Ale o tym – już następnym razem.

© CEZARY ŁAZAREWICZ

Craig Brown **RAZ, DWA, TRZY, CZTERY. BEATLESI I ICH CZAS**, *przeł. Adrian Stachowski, Wydawnictwo Poznańskie 2023*

Autor recenzji jest laureatem Nagrody Nike za reportaż historyczny „Żeby nie było śladów". W tym roku wydał „Na Szewskiej. Sprawa Stanisława Pyjasa".

Nie graj, tylko powiedz

JAKUB PUCHALSKI

Konkurs Chopinowski na Instrumentach Historycznych może mieć wyjątkowe zadanie. Czy się go podejmie?

Plachy i ja zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy; znaliśmy i podziwialiśmy [utwory] Chopina, a mimo to nawet w przybliżeniu nie umiałam go grać tak, jak się powinno – niedługo po rozpoczęciu lekcji z kompozytorem stwierdziła jedna z jego najzdolniejszych uczennic, Friederike Müller. – Niedawno zagrałam cioci Scherzo tak, jak je wykonywałam wcześniej [przed lekcjami u Chopina], i obie się uśmiałyśmy. To tak, jakby ktoś uczył się poprawnej wymowy angielskiej i studiował ją bez nauczyciela, tylko z podręcznika".

Gdyby mieć zacięcie tragiczne, po tym cytacie (a jest ich więcej) należałoby zakończyć wszelkie dyskusje o graniu muzyki Chopina. Pozostały nam przecież tylko podręczniki. Nie mamy więc szans na osiągnięcie tego, co kompozytor chciał usłyszeć. Skoro jednak kolejne pokolenia wciąż uwielbiają i kochają Chopina nie mniej niż Friederike (i jej wiedeński nauczyciel, Plachy), skoro setki tysięcy albo i miliony adeptów fortepianu wciąż sięgają po niego z za każdym razem rodzącą się na nowo fascynacją, podobnie jak miliony słuchaczy na całym świecie – nie możemy tak łatwo się poddać.

Największą zaletą wszelkich konkursów chopinowskich jest to, że tworzą wspólną estradę dla tych różnych nurtów objawiania się Chopina w świecie. Można porównać propozycje między sobą, sprawdzić, co która

WOJCIECH GRZĘDZIŃSKI / MATERIAŁY PRASOWE

Eric Guo (Kanada), laureat II Konkursu Chopinowskiego na Instrumentach Historycznych. Warszawa, 15 października 2023 r.

ma do zaproponowania. Dotyczy to w tej samej mierze wielkiego Konkursu Chopinowskiego, co i Konkursu Chopinowskiego na Instrumentach Historycznych, który odbył się właśnie po raz drugi w Warszawie.

Ile Chopina w Chopinie?

Po II wojnie światowej skrystalizował się ostatecznie wykonawczy neoklasycyzm. W odniesieniu do Chopina jego oczekiwania podsumował Arthur Hedley, wielki angielski chopinolog, będący także jurorem ówczesnych konkursów w Warszawie. Stwierdził, że żadne tradycje chopinowskiego wykonawstwa nie istnieją ani nie istniały, i że wszystko, czego potrzebujemy do zrozumienia Chopina, to czysta wersja tekstu nutowego. Pragnienie owego „Urtextu" zaowocowało ukończonym już w XXI wieku Wydaniem Narodowym (pod red. Jana Ekiera). Oświadczenie Hedleya dotyczyło jednak przede wszystkim interpretacji tego źródłowego tekstu: interpretacji, która powinna poprzestawać na samej jego realizacji, a nie na kształtowaniu jego znaczeń. Niewątpliwie taka lektura była odświeżająca, po dowolnościach, na jakie pozwalali sobie wirtuozi wówczas właśnie schodzący ze sceny (z wielkim Paderewskim na czele). Czysta „realizacja tekstu" była też idolem, w którego kulcie ukształtowało się następne, a po nim kolejne pokolenia pianistów. Po pół wieku obowiązywania tej doktryny, w okolicy przełomu tysiącleci najwyraźniej osiągnęła jednak kres. Choć wszystko się zgadza: komplet nut wykonywany jest w tempie, według podanego metrum i podanej dynamiki, nawet z czytelną fakturą. „Zostałem zaproszony, żeby tego wysłuchać" – pozwólmy o podobnej sytuacji wypowiedzieć się samemu Chopinowi (wciąż w relacji Friederike Müller); rzecz dotyczy „Andante spianato" – „grała pewna panna, okropnie, a ja musiałem powiedzieć, że jest dobrze. (...) zresztą nie było ani fałszywych nut, ani złego rytmu. Jak tu wyjaśnić, że wszystko jest źle?". Czyli może jednak nie wszystko tkwi w samym tekście?

Wniosek ten zaczął rozbrzmiewać na estradach – przynajmniej polskich – chyba gdzieś od 2010 r. Wówczas na Konkursie Chopinowskim pojawiło się kilka wyrazistych indywidualności, które widziały muzykę poza schematami. Żadna z nich nie zwyciężyła, choć należący do nich Daniił Trifonow zrobił później największą możliwą karierę, dziś znajdując się w czołówce światowej pianistyki. Od tego jednak czasu regularnie pojawiają się mniej lub bardziej wybitni artyści, którzy uparcie widzą Chopina w sposób odmienny od obowiązujących wzorców.

Nowi, dwustuletni bohaterowie

Trudno nie pamiętać o tej zachodzącej stopniowo przemianie, gdy inicjowany jest nowy konkurs chopinowski. Turniej, który w połowie października odbył się w Warszawie po raz drugi, skrojony został jednak w sposób zupełnie wyjątkowy. Pianistom dano do dyspozycji szczególne instrumenty: fortepiany z czasów Chopina bądź ich współczesne kopie. Tej różnicy nie sposób przecenić.

Fortepian jest bardzo skomplikowanym, młodym instrumentem: narodziwszy się w XVIII wieku, w czasach Chopina – pierwszej połowie wieku XIX – wciąż jeszcze pozostawał *in statu nascendi*, dążąc do wypracowania swych ostatecznych rozwiązań zarówno technicznych, jak i estetycznych. W związku z tym każdy instrument, który znalazł się na estradzie Filharmonii Narodowej, odznaczał się indywidualnym charakterem w stopniu nieporównywalnym z różnicami między steinwayem, yamahą, kawaiem i faziolim. Najwcześniejszy model, buchholz, jest współczesną, perfekcyjną kopią fortepianu (z mechaniką i charakterystyką wiedeńską), jakim Chopin dysponował do 20. roku życia w swym domu w Warszawie. Późniejszy, pochodzący już z 1835 r. wiedeński fortepian Grafa wciąż odznacza się tymi samymi cechami co buchholz.

W skrócie: mechanika pozbawiona jest jeszcze tzw. podwójnej repetycji, co oznacza, że nie można grać na niej bardzo szybko powtarzanych dźwięków, sam ton jest bardzo jasny, zakres dynamiczny zdecydowanie ograniczony, trudno więc grać subtelnym *pianissimo* i potężnym *forte*. Dźwięk jest bardzo krótki, nawet przy zastosowaniu pedału szybko niknie. ↦

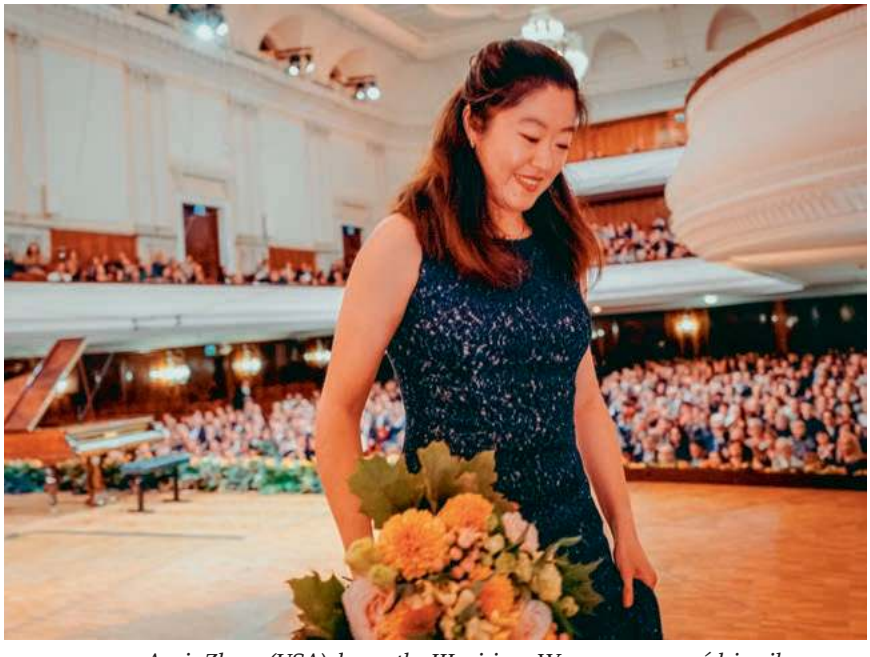

WOJCIECH GRZĘDZIŃSKI / MATERIAŁY PRASOWE

Angie Zhang (USA), laureatka III miejsca. Warszawa, 15 października 2023 r.

↦ Te instrumenty mają jednak coś, co odziedziczyły po przodkach: dodatkowe pedały uruchamiają tzw. moderatory – wsuwając między młotki a struny filcową taśmę. Zmienia to radykalnie barwę dźwięku, który staje się nie tylko zawoalowany, ale po prostu brzmi jak zupełnie inny instrument. Granie z użyciem moderatorów nadaje kompozycjom nowy wymiar: barwnych zmian. Jak na klawesynie lub organach. Rzecz zupełnie niekojarzona z Chopinem – ani z estetyką romantyczną, która dążyła już do wyrównania barw brzmienia wszystkich rejestrów fortepianu. Równość cenił też Chopin – a jednak nie wyrzekał na granie swoich kompozycji na wiedeńskich grafach.

Ulubionym instrumentem Chopina był jednak paryski pleyel. Tu rozpoznajemy już fortepian taki, jakim go znamy – albo tak nam się przynajmniej wydaje. Pleyel bowiem (na konkursie używano egzemplarza z 1842 r., z prywatnej kolekcji) także nie posiada podwójnej repetycji, jego dźwięk jest ciepły i nieco przymglony, może nawet matowy, wyższe rejestry są jednak zdecydowanie jaśniejsze od środkowych (z kolei basy brzmią wybitnie łagodnie), można też uzyskać na nim brzmienie wyjątkowo lekkie i subtelne... Chopin cenił właśnie tę możliwość modulacji dźwięku – jego niematerialność. Musiał być jednak w dobrej kondycji, by czuć się pewnie, bo granie na pleyelu nie jest łatwe i oczywiste.

„Materialnym" i wyrazistym brzmieniem odznacza się natomiast paryski konkurent pleyela – erard. To już wyraźny technologiczny krok naprzód – takie fortepiany stały się bazą dla dalszego rozwoju instrumentu. Mamy tu i podwójną repetycję (mimo że egzemplarz konkursowy był wcześniejszy od pleyela, pochodził z 1838 r.), i mocny, dość jasny dźwięk. Instrument jest jednak responsywny, pozwala przedstawić bogatą i zniuansowaną interpretację. Wreszcie angielski broadwood – tym razem używany sporadycznie.

Wybór każdego z instrumentów niewątpliwie wpływa na sposób gry, jest wręcz deklaracją artystyczną. Na pierwszym konkursie dały się przy tym zauważyć dwie grupy pianistów. Pierwszą byli wirtuozi grający na standardowych, nowoczesnych fortepianach, którzy wyłącznie z powodu turnieju postanowili spróbować szczęścia na instrumentach historycznych. Wybierali niemal wyłącznie erarda. Drugą grupę stanowili muzycy wychodzący ze świata muzyki dawnej, kształcący się w nurcie „historycznie świadomym", zgodnie z praktykami gry z epoki. Wnieśli oni do konkursu rzeczy do tej pory niespotykane: choćby preludiowanie, czyli poprzedzanie utworu krótkimi improwizacjami. Imponowali też subtelnością i wrażliwością brzmienia.

Powierzchowność syntezy

W tegorocznym konkursie obie grupy zaczęły się przenikać. Jednak niewielu znalazło się muzyków, którzy rzeczywiście wywodzą się z nurtu historycznie poinformowanego. Ta grupka odznaczała się przede wszystkim szczególną wrażliwością na barwę i umiejętnością wykorzystania jej na instrumentach wiedeńskich: subtelny i płynny sposób operowania moderatorami przez Martina Nöbauera (z Austrii) pokazał zupełnie inny wymiar muzyki, niż to słyszeliśmy zazwyczaj, gdy artyści przenosili do odmiennego registru całe frazy czy inne fragmenty kompozycji.

W drugim etapie pozostało z nich już bodaj tylko dwoje: Nöbauer konstruktywistyczny, nieco refleksyjny, Angie Zhang (ze Stanów Zjednoczonych) poetycka, dynamiczna – bardziej romantyczna. Oboje chętnie korzystali z pleyela (Zhang także z grafa, na którym wykonała – wyjątkowa rzecz! – mazurki Chopina), oboje też znaleźli się w finale. I w nim polegli. W wielkiej sali Filharmonii Narodowej (poprzednie etapy odbywały się w sali kameralnej) zbyt słabo było ich słychać. To jednak poważny problem, skoro wykonywali wówczas koncerty Chopina w stylu *brillant* – z założenia błyskotliwe, olśniewające. Do tego trzeba być słyszalnym. Mimo to Zhang otrzymała III nagrodę.

Olśniewali za to pianiści z kręgu wirtuozów, zajmując – w tym zestawieniu zasłużenie – kolejne miejsca na podium: I – Eric Guo z Kanady, który wykonał na pleyelu bogatą w niuanse, wyśpiewaną od najcichszego *pianissimo* do *fortissimo*, świetnie przy tym skonstruowaną i bardzo romantyczną interpretację „Koncertu e-moll" (moim zdaniem jedną z najciekawszych na konkursach chopinowskich, przynajmniej w tym stuleciu), oraz II – Piotr Pawlak (również znakomity). Ta grupa jednak nabrała cech historycznych: preludiowanie było na porządku dziennym, ale Guo wprowadzał nawet elementy właściwe dla gry romantycznej: rubata pozostawały wprawdzie wciąż subtelne, dopasowane do współczesnej skali, lecz pojawiało się np. zwiewne arpeggiowanie niektórych akordów (zamiast grania ich jako pion).

Otwarte pozostało jednak pytanie, czym chce być nowy Konkurs Chopinowski. Czy instrumenty historyczne mają służyć wyłącznie jako odmienne medium dla pianistów, co najwyżej uwrażliwiając ich nieco na charakter brzmienia, na retorykę i dykcję (krótszy dźwięk powoduje, że trzeba odważyć się na wyko-

rzystywanie w muzyce ciszy, czyli „granie” pauz)? Na taki cel wskazują nie tylko obecne wyniki, ale przede wszystkim dobór kandydatów i jury. W tym ostatnim zasiadło zaledwie czworo pianistów specjalizujących się w stylistyce historycznej – czyli operujących nią jako naturalnym językiem, z których tylko dwoje porusza się na co dzień w romantyzmie. Estetyka romantyczna jest jednak odmienna od wcześniejszej – nawet od właściwej dla młodego Chopina estetyki stylu *brillant*. Wydaje się, że efektem tego jest wspomniany już dobór kandydatów – podobnie jak fakt, że ponownie zabrakło pianistów z Francji czy Anglii.

Właściwie wracamy do kręgu znanego z pozostałych przedsięwzięć koncertowych NIFC: „dużego” Konkursu Chopinowskiego oraz Festiwalu „Chopin i jego Europa” – ta sama grupa osób, te same szkoły dostarczające kandydatów (Eric Guo jest studentem Dang Thai Sona, zwycięzcy w 1980 r. warszawskiego konkursu, od dawna też jego jurora). I czy nie jest niepokojące, że już zaczyna się mówić o „dużym” Konkursie Chopinowskim – co oznacza, że „historyczny” staje się po prostu konkursem „małym”?

A przecież, choć wskazany wyżej cel jest niewątpliwie znakomity, nowy konkurs mógłby stać się laboratorium przywracającym nam wrażliwość na muzyczny romantyzm w jego możliwie oryginalnej postaci – zamiast przeskakiwać nad jego istotą, z pomocą powierzchownie traktowanych szczątków cech stylowych. Nie wystarczy wstawiać manierycznie długie preludia przed utworami, ewentualnie stosować kilka jeszcze kruczków, by grać romantycznie. W XIX wieku każdy gest miał swój cel: były nim wyśpiewane emocje. Wyśpiewane z precyzyjną dykcją, czyli też z retorycznym znaczeniem każdego dźwięku i każdej pauzy, choć swobodnymi środkami. Zauważmy: Chopin mówiąc do Friederike Müller nie używa słowa „grać” muzykę – „jouer”. Używa słowa „dire” – „powiedzieć”. Nawet jeżeli był to pewien uzus, to ma on głęboki sens. A Konkurs na Historycznych Instrumentach mógłby pomóc oderwać się w tym „mówieniu” Chopina – oderwać od podręcznika.

© JAKUB PUCHALSKI

Orzeł, wiedźmin i Oscary

MICHAŁ WALKIEWICZ

W obliczu doniesień z Hollywood jest zadziwiające, że ani razu nie wystawiliśmy w oscarowym biegu Agnieszki Smoczyńskiej. To właśnie z nią mielibyśmy największe szanse.

Nie trzeba sobie wyobrażać, można po prostu zobaczyć: Pan Twardowski wygląda jak Beckham. Ale tylko wygląda, bo chleje na umór, nosi żupan i karabelę, na poderżnięte gardło wystarcza mu igła z nitką. Zamiast wiedzy kupił nieśmiertelność, ale duszy nie sprzedał Diabłu, tylko Panu Lusterko – figurze istniejącej poza kategoriami dobra i zła. Tak to się toczy w „Sercach z Kamienia”, fabularnym dodatku do gry wideo „Wiedźmin 3: Dziki Gon”, gdzie pomagamy Twardowskiemu wygrać z przeznaczeniem. Areną naszych zmagań jest gabinet luster. I tylko w jednym z nich przegląda się Polska.

W trakcie seansu „Chłopów” DK i Hugh Welchmanów wracałem myślami do tej przygody. To, co widziałem na ekranie, nie było aż tak ekstremalnym przykładem popkulturowej żonglerki. Trochę się jednak zgadza: od eklektycznej muzyki z bałkańskimi motywami, przez modernistyczne malarstwo, po samą strategię artystyczną, wedle której sednem adaptacji może być pośrednie medium. W kontekście przyszłorocznych Oscarów, do których Polska zgłosiła „Chłopów”, te punkty zbieżne mogą mieć kluczowe znaczenie. Jeśli będziemy mieć szczęście, akademicy kupią towar, na który w Hollywood zawsze jest popyt – zaklętą w konwencji melodramatu i owiniętą w pozłotko słowiańskiej egzotyki tzw. uniwersalną opowieść.

„Chłopi”. Z Polski

Wiedźmin był ochroniarzem podczas rytuału dziadów, plądrował wieżę, w której myszy pożarły Popiela, i przemierzał słowiańszczyznę XIII wieku namalowaną pędzlami XIX-wiecznych klasyków; mijał niecki z płócien Malczewskiego, siadał pod wierzbami Wyczółkowskiego i podziwiał burze Chełmońskiego.

W „Chłopach” dzieje się coś podobnego – nie w planie fabularnym, lecz w sensie estetycznym. Twórców obu adaptacji łączy przeświadczenie, że nie ma lepszego języka do opisu namiętnej prozy Sapkowskiego i Reymonta niż młodopolski realizm z domieszką impresjonizmu. I że jest to konwencja plastyczna, dzięki której da się wydrenować naszą głowę z kłopotliwych pytań. W jednym przypadku byłyby to pytania o ograniczenia technologiczne, w drugim – o niedostatki budżetowe. A ci, którzy dostrzegają w nim jedynie „cepeliadę”, ewidentnie nie doceniają marketingowego potencjału tejże cepelii.

Jako że sami twórcy podkreślają w wywiadach, że „Chłopi” byli kręceni i malowani z myślą o międzynarodowym rynku, spytałem współproducenta filmu, Seana Bobbitta, o sens tej strategii artystycznej. W odpowiedzi ten sięgnął po muzykę Łukasza „L.U.C.-a” Rostkowskiego. Rozciągnął paralelę pomiędzy partyturą „Chłopów” i „Wiedźmina”, na tę samą nitkę nawlekł też „Zimną wojnę” Pawlikowskiego. We wszystkich tych utworach to właśnie muzyka była katalizatorem najróżniejszych popkulturowych skojarzeń. To dlatego scena przybycia kolędników w „Chłopach” przypomina sabat czarownic rodem z kina grozy, dudniące zaś transową muzyką wesele Boryny kojarzy się zarówno ze scenami narkotycznych maratonów tańca z filmów Tony'ego Gatlifa („Gadjo dilo”, „Exils”), jak i z Reymontowskim oryginałem, w którym „muzyka szła przodem i rżnęła ze wszystkich sił”.

Podoba mi się to podejście. Pozwala zdjąć Reymonta z koturnów i rozmawiać o nim przede wszystkim jako o fantastycznym narratorze, a nie nobliście czy patronie odradzającej się na naszych oczach – także za sprawą ↦

↦ „Znachora" i nagrodzonego w Gdyni „Tyle co nic" – nowej filmowej chłopomanii. Pozwala spojrzeć też na Młodą Polskę jak na repozytorium uniwersalnych opowieści i zrozumiałych pod każdą szerokością geograficzną popkulturowych znaków. Będę się upierał, że to najlepszy sposób promocji polskiej kultury za granicą. Lepsza była tylko japońska gra wideo „Eternal Sonata", w której umierający na suchoty Chopin walczy ogniem i mieczem z fantomami własnej wyobraźni, wykrzykując: „Orzel Bialy!".

Pytanie, czy ten rodzaj „międzynarodowego" powabu przełoży się na oscarowy triumf i czy jego następstwem mogą być dalsze sukcesy filmu w zagranicznej dystrybucji, nastręcza więcej trudności. W ciągu ostatnich 10 lat polskie filmy zdobywały rekordową liczbę nominacji do najważniejszych nagród filmowych świata, zostawialiśmy w tyle m.in. Hiszpanię, Francję, Niemcy i kraje skandynawskie. Jeśli brać pod uwagę długie fabuły, krótkie metraże i animacje, zdobyliśmy ich aż 8, choć statuetkę zgarnął jedynie Paweł Pawlikowski za „Idę". Coś zatem musimy robić dobrze. I coś źle, jeśli zamiast „Ostatniej rodziny" Jana P. Matuszyńskiego, „Demona" Marcina Wrony czy „Hejtera" Jana Komasy wystawialiśmy w oscarowym wyścigu

Najlepsza promocja polskiej kultury za granicą?

Japońska gra wideo „Eternal Sonata", w której Chopin walczy ogniem i mieczem z fantomami własnej wyobraźni, wykrzykując: „Orzel Bialy!".

Koniec końców nominacje dostawały bowiem te filmy, które o polskich sprawach opowiadały przez pryzmat konwencji „rytualnych" – zrozumiałych pod każdą szerokością geograficzną, operujących uniwersalnym językiem. Takie było „IO" Skolimowskiego, dyskutujące nie tylko z nowofalową klasyką w postaci „Na los szczęścia, Baltazarze!" Bressona, ale i z długą tradycją oświeceniowych powiastek. A także „Boże Ciało" Komasy – rozpisane na matrycy conradowskiej „podróży bohatera". A nawet – jeśli sięgnąć do początków ubiegłej dekady – „W ciemności" Holland; zadłużona i w polskiej, i w amerykańskiej klasyce antywojennej opowieść o grozie konfliktu, której bijącym sercem jest postać ostatniego sprawiedliwego. Wreszcie Pawlikowski z „Idą" i „Zimną wojną". Niby „nasz człowiek", ale tak naprawdę „nasz człowiek na Wyspach". W teorii powracający do estetyki polskiej szkoły filmowej, w praktyce opowiadający kodem wizualnym czarnego kryminału. Wszystkie te zadymione knajpki, cały ten jazz jako kontrapunkt dla dorobku Mazowsza, te opowieści o kobietach fatalnych i wyliniałych facetach są w jego kinie idealną platformą do przepracowywania polskiej historii.

– Jest u nas poczucie jakiegoś wstydu związanego z kinem gatunkowym – diagnozuje Leszek Bodzak, założyciel studia Aurum Film i producent m.in. „Bożego Ciała", „Żeby nie było śladów" i „Kosa". – Myślę, że to sprawa kulturowa. Że lepiej czujemy się w kinie mówiącym na ważny temat, historycznym albo współczesnym. W każdym razie w takim, w którym element „polskości" jest mocny, ale tylko czasem uniwersalizowany. Wyjątkowo dobrze leży nam też obyczajowe kino artystyczne, w którym to sygnatura twórcy jest najważniejsza i które rzadko poddane jest jakimś regułom gatunkowym.

To celna diagnoza. Powiązałbym ją jeszcze z nieznośną już wizją artysty. Z tym wiecznym samospalaniem się na ołtarzu sztuki. Z usilnym uszlachetnianiem wszystkiego, co kojarzy się z kulturą popularną, czyli z przewidywalnym i oswojonym rytuałem dla masowego widza. Sukcesy naszych kandydatów do Oscara w ostatnich latach pokazują, że nie tędy droga.

Jak nas widzą...

Stan świadomości polskiego kina zależy w USA od tego, co powie Martin Scorsese (od lat promujący klasykę lat 60. i 70.), albo od tego, co wypromują polscy agenci sprzedaży. Oscary są w tym układzie bezcennym narzędziem, gdyż dobrze poprowadzona kampania jest w stanie dać filmowi drugie, międzynarodowe życie.

– Przy „Bożym Ciele" nie mieliśmy dystrybutora w USA aż do czasu, gdy film pojawił się na oscarowej shortliście. Wcześniej, pomimo obecności filmu na festiwalu w Wenecji, a także na dużych imprezach w Ameryce, mieliśmy również problem z tym, żeby zrecenzował go ktoś z „Variety". Nawet shortlista nic w tym względzie nie zmieniła. Tekst pojawił się dopiero wtedy, gdy film dostał nominację – wspomina Jan Naszewski, właściciel New Europe Film Sales, niezależnej firmy dystrybucyjnej, która zajmuje się również zagraniczną promocją „Chło-

„Powidoki" Andrzeja Wajdy, „11 minut" Jerzego Skolimowskiego i „Śniegu już nigdy nie będzie" Małgorzaty Szumowskiej.

Z jednej strony stara gwardia: nieodżałowany Wajda, wykonująca kolejne piwoty Holland czy żyjący na własnej planecie Skolimowski. Ci, których członkowie kapituły „znają dobrze", którzy „nie muszą już nic udowadniać", bo – inaczej niż w piłce nożnej – „nazwiska grają". Z drugiej strony nowoczesne kino autorskie; filmy zwrócone w stronę popkultury albo podążające za trendami w kinie artystycznym; Komasa, Szumowska, Pawlikowski. Statystycznie i na jednych, i na drugich wychodziliśmy dobrze.

pów". Jak twierdzi, zaważyło nieznane za granicą nazwisko Komasy. Zapewnia też, że w przypadku Welchmanów, nominowanych wcześniej do Oscara za „Twojego Vincenta", sytuacja jest nieco bardziej komfortowa. Film trafił już do dystrybucyjnego portfolio Sony Pictures Classics.

Czym zatem mierzyć sukces polskich filmów na międzynarodowych rynkach? Jak donosi serwis Box Office Mojo, najbardziej kasową polską produkcją ostatniej dekady w kinach USA pozostaje „Zimna wojna". Cztery i pół miliona dolarów to skromna kwota, lecz – jak utrzymuje Naszewski – sukcesu w tym przypadku nie mierzy się ilością zarobionych pieniędzy, tylko obsłużonych rynków: – Jeżeli film jest sprzedany na 10 czy 15 terytoriów, to bardzo dobry wynik. Możemy wtedy mówić o sukcesie. Przy „Chłopach" i „Bożym Ciele" ta liczba to 30, a nawet 50 terytoriów. Została nam jeszcze Japonia i Tajwan, resztę mamy. „Chłopi" będą nawet w Chinach, co zwykle się nie zdarza. To realne sukcesy i realne pieniądze.

Nagrodzony gdyńskimi Złotymi Lwami „Kos" Pawła Maślony nie mógł być zgłoszony do Oscara w tym roku, lecz już mówi się o nim jako o przyszłorocznym, eksportowym hicie. Lubię ten film z kilku powodów. Po pierwsze dlatego, że jest rzadką próbą skoku na naszą narodową świętość, czyli encyklopedyczną konwencję opowiadania o historii. Kiedyś coś podobnego zrobił Adrian Panek w „Daas" – opowieści o galicyjskim Żydzie, który infiltruje sektę Jakuba Franka. Później Łukasz Barczyk w „Hiszpance" (choć trudno w to uwierzyć, opowieść o pojedynku Ignacego Paderewskiego z komandem okultystów była pracą w konkursie na film o powstaniu wielkopolskim). „Kos" jest oczywiście dziełem znacznie lepszym, natomiast pozostaje świadectwem takiej samej bezczelności i swady.

Film Maślony to kuferek z gatunkowymi atrakcjami: zaczyna się jak western, potem przepoczwarza się w kino przygodowe, wreszcie zaś ląduje w rejonach tragifarsy w stylu Tarantina. Po trzecie, scenarzysta Michał A. Zieliński czyni Tadeusza Kościuszkę postacią podwójnie kodowaną. To jednocześnie facet gasnący w oczach, coraz bardziej umęczony mobilizacją polskiej szlachty („Wy to chyba nie chcecie wygrywać tych wojen?" – pyta), ale też zdeterminowany i przesiąknięty „zachodnią", afirmacyjną filozofią. Słowem – taki, który spodoba się i polskiemu, i amerykańskiemu widzowi.

Jak zauważa Bodzak, ten ostatni argument może mieć marginalne znaczenie: – Kiedy zwracałem amerykańskim producentom uwagę na to, ile jest ulic Kościuszki w Stanach, to rzeczywiście coś kojarzyli. Prawie nikt nie wiedział jednak, o kogo chodzi. Kiedy opowiadałem o przyjaźni Kościuszki z George'em Washingtonem czy historię budowy akademii West Point, większość przecierała oczy ze zdumienia. Z naszej perspektywy to temat polsko-amerykański, lecz z ich niekoniecznie. To odwód na nasze polskocentryczne pojmowanie świata. I na to, że jeśli „Kos" sprawdzi się w Ameryce, to niekoniecznie właśnie dzięki tym atutom. „Narzędziami" promocji będą tu raczej paralele pomiędzy pańszczyzną a niewolnictwem oraz wątek imperializmu rosyjskiego. Samym Kościuszką nic tam nie ugramy.

Towar, czyli kto?

Małgorzata Szumowska dzieli swoją karierę pomiędzy polskie i zagraniczne produkcje. Wśród tych ostatnich jest (post)horror „Córka boga" oraz kontemplacyjne kino przygodowe „Infinite Storm". Z kolei Jan Komasa kręci swój anglojęzyczny debiut „Anniversary" i jest wiązany z thrillerem o Fritzu Langu oraz powstawaniu jego ekspresjonistycznego arcydzieła „M – Morderca".

W obliczu powyższych doniesień z Hollywood jest dla mnie zadziwiające, że ani razu nie wystawiliśmy w oscarowym biegu Agnieszki Smoczyńskiej. Reżyserka „Córek dancingu", „Fugi" czy „Silent Twins" jest bohaterką dwóch narracji, które – biorąc pod uwagę historię kategorii „film obcojęzyczny" oraz zwycięskie produkcje – są przez akademików uwielbiane. Po pierwsze, „uszlachetnianie gatunku" w jej wykonaniu wolne jest od wstydu, o którym mówił Bodzak. Horror, musical czy kino inicjacyjne to dla niej przede wszystkim sprawdzone konstrukcje dramaturgiczne, działające na każdego widza na poziomie podprogowym. Po drugie, autorka wpisuje się w trend stary jak Hollywood. Mowa o praktyce kuszenia tzw. stranierich, czyli zdolnych młodych twórców spoza Ameryki tuż po ich udanym, globalnie wypromowanym debiucie (bądź drugim filmie). To właśnie z nią mielibyśmy największe szanse na kolejnego rycerzyka Akademii.

Pomijając doraźne i kręcone na gorąco kino społeczne, które w Polsce w zasadzie nie istnieje i które objawiło się w tym roku pod postacią monumentalnej „Zielonej granicy", „Chłopi" są dobrym i bezpiecznym wyborem. Przemawia za nimi wszystko, co powinno przemawiać za polską kulturą: odpowiednie rozłożenie fabularnych akcentów, efektownie opakowany folklor, przystępny metraż oraz unoszące się nad Lipcami duchy Reymonta i Chełmońskiego (wypowiedziane w gdyńskich kuluarach zdanie: „Jednak co Nobel, to Nobel", wciąż wydaje mi się najlepszą recenzją tego filmu). Mają też, co zaskakująco często podkreśla się w recenzjach, wiedźmińskie wsparcie. Inaczej niż Kościuszkę, akurat tego faceta nie trzeba w Ameryce nikomu przedstawiać.

© MICHAŁ WALKIEWICZ

od lewej:
Paweł Maślona „Kos"
Paweł Pawlikowski „Zimna wojna"
DK i Hugh Welchman „Chłopi"
Agnieszka Smoczyńska „Silent Twins"
„Eternal Sonata"
„Wiedźmin 3: Dziki Gon"

MATERIAŁY PRASOWE X6

Wyjście z rezerwatu

ANITA PIOTROWSKA

„Czas krwawego księżyca" Martina Scorsesego to uniwersalna opowieść o chciwości jako fundamencie naszej cywilizacji i zarazem studium wielkiej tajemnicy, która wydarzyła się między dwojgiem ludzi.

Jak nakręcić film, który byłby pokazem mistrzostwa, ale nie popisem wielkości? W którym western, melodramat, kino gangsterskie i dramat sądowy nie przykryją (ani nie wyeksploatują) politycznej refleksji, etnograficznego i archiwalnego zapisu, bolesnej przypowieści? I żeby jeszcze był to film sączący się przez trzy i pół godziny niczym wstrzykiwana trucizna, lecz ostatecznie zmierzający ku światłu, jakim może być konfrontacja z prawdą? A jest nią nie tylko krzywda plemienia Osedżów, eliminowanych sto lat temu przez białego człowieka w walce o roponośne tereny, czyli kolejny grzech założycielski prześlepiany przez amerykański wymiar sprawiedliwości, historię i mitologię (pisał o tym przed tygodniem Bartosz Hlebowicz).

Dumni, piękni, milczący – tak przedstawia Osedżów bohater grany przez Roberta de Niro. Chwilę potem następuje zderzenie z zupełnie innym obrazem: konającego w drgawkach pijanego autochtona. Nie trzeba długo czekać, zanim połączymy te kropki. William Hale wprowadza powracającego z wojny siostrzeńca (gra go Leonardo di Caprio) w nowe porządki panujące na tych ziemiach. Po tym, jak ich prawowici właściciele stali się beneficjentami złóż „czarnego złota" i biali zostali poniekąd sługami czerwonych, znaleziono sposoby, by dziedziczone prawa eksploatacyjne stały się udziałem tych pierwszych. Np. wżeniając się w tubylcze rodziny, najlepiej z „pełnokrwistym majątkiem", do czego zachęca Ernesta wuj, nazywany tutaj Królem. Bo sam sprawuje nad „niekompetentnymi" i nad całą okolicą samozwańczą funkcję superopiekuna – niczym przebrany w owczą skórę wilk (choć jeszcze nie z Wall Street), praprzodek różnej maści ojców chrzestnych.

Równie dobrze takim „białym zbawcą", uzbrojonym jedynie w kamerę, mógł stać się Scorsese, zbierając punkty za wrażliwy temat i zamieniając go w wysokonakładowe widowisko. Tyle że twórca „Irlandczyka" zrozumiał wreszcie, że nie musi już niczego udowadniać. W czasach, kiedy nawet szacunek dla przeszłości i kultury Osedżów mógł zostać uznany za przejaw li tylko poprawności, nie poprzestał na włączających gestach. Oczywiście, trzeba pochwalić, iż konsultował scenariusz z wodzem plemienia, że zdjęcia kręcono w hrabstwie Osage z udziałem rdzennych mieszkańców po obu stronach kamery i czasem słychać z ekranu ich język. Obsadzenie w roli Mollie, ukochanej żony Ernesta, magnetycznej aktorki Lily Gladstone, urodzonej w rezerwacie, było z pewnością doskonałym wyborem. Zupełnie inaczej ogląda się film ze świadomością, że to coś więcej niż kino, chociaż dla odpominania „rządów terroru" zrobił już wiele reportaż historyczny Davida Granna.

Wychodząc ku szerokiej publiczności (film kosztował 200 mln dolarów), Scorsese i współscenarzysta Eric Roth (ten od „Forresta Gumpa" i nowej „Diuny") przepisali sensacyjną historię na antykryminał, studium systemowego rasizmu (w tle zamieszki w Tulsie) i epickie kino psychologiczne – nie jest to oksymoron. Albowiem w grę wchodzi nie tylko dramat Ernesta i Mollie, którzy kochają się pomimo narastających między nimi kłamstw czy zbrodni dokonywanych na jej rodzinie. Scorsese odsłania psychologię zbiorową, gdzie ścierają się zaufanie i zdrada, obsesyjnie powracające w jego twórczości. Poprzez kolektywną pamięć, wcześniej masowo wypieraną, przez wieloletnie milczenie i wydobyty nareszcie głos – dociera do ukrytych pokładów narodowego genotypu.

Ów głos należy głównie do Mollie. Bo przecież nie do chłopców z tworzonego właśnie FBI, którzy w końcu wkraczają do akcji na czele z agentem White'em (scenariusz zmarginalizował tę postać). Ani nawet nie do Ernesta, kiedy film zamienia się w morderczą psychomachię między Królem a zmanipulowanym przez niego siostrzeńcem. To spokojne, acz przenikające na wskroś spojrzenie bohaterki filtruje rzeczywistość: wyprze-

RADIO KRAKÓW
Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM **www.radiokrakow.pl**

MATERIAŁY PRASOWE / UNITED INTERNATIONAL PICTURES

CZAS KRWAWEGO KSIĘŻYCA
(Killers of the Flower Moon) – reż. Martin Scorsese. Prod. USA 2023. Dystryb. UIP. W kinach.

Martin Scorsese uchodzi za jednego z najważniejszych reżyserów swoich czasów. Ma też ogromne zasługi na gruncie konserwacji i archiwizacji starych filmów z całego świata. Tworzy od ponad półwiecza, a wiele jego tytułów („Taksówkarz", „Wściekły byk", „Gangi Nowego Jorku" czy „Wilk z Wall Street") w przebraniu różnych gatunków celnie diagnozowało amerykański stan umysłu.

Powyżej: Lily Gladstone i Leonardo di Caprio w filmie „Czas krwawego księżyca"

dza zdarzenia, kwestionuje to, co zdaje się prawdziwe, a zarazem nie dopuszcza całej prawdy, jest bowiem spojrzeniem osoby bezgranicznie kochającej. Wymusza również brawurowy epilog, w którym sam reżyser odsłania się jako ten, który kiedyś tak pięknie zamieniał przemoc w wysokooktanową rozrywkę. Ów wzrok wyznacza także dynamikę filmu – niespieszną, wpatrzoną w szczegół i zjawiska natury, jakby na przekór białej perspektywie, zdominowanej przez szybkość, konkurencyjność, zgiełk.

Jednakże Scorsese nie rozdziela radykalnie tych optyk – współistnieją na ekranie i płynnie mieszają się ze sobą niczym krew Osedżów z krwią przybyłych na ich tereny hochsztaplerów. Pod tym względem „Czas..." przypomina kontemplacyjne kino Terrence'a Malicka skojarzone z „Aż poleje się krew" Paula Thomasa Andersona.

Ale tak jak Mollie nie jest typem Pocahontas – fantazją białego o potulnej *squaw*, tak i Ernest nie jest typowym protagonistą z filmów o naftowej gorączce. Z początku to człowiek bez właściwości i charyzmy, tchórz i miękiszon z grymasem dużego dziecka (fatalna protetyka di Caprio robi swoje). A jednak przykuwa uwagę, każe wręcz rozkoszować się swoim bezkształtem, kiedy coraz bardziej pogrąża się w moralnej brei i nie potrafi już ochronić najbliższych. De Niro zaś gra po prostu De Niro, jakiego kochamy najbardziej, z wilczymi kłami i pazurami. Ich wspólna scena więzienna, wypełniona perwersyjną psychotechniką typu bombardowanie dobrocią, pochodzi wprost z imaginarium Scorsesego, podszytego manicheizmem i katolicką symboliką. Dwa bynajmniej niewykluczające się pytania: do czego zdolny jest człowiek w imię chciwości i do czego zdolny jest człowiek, który kocha, budują gęstniejącą atmosferę niepewności i strachu.

W dziele tak pełnokrwistym i jednocześnie niedopowiedzianym łatwo mogło się zagubić to, co najważniejsze. Lecz choć w skali mikro dostajemy film o tym, jak miłość próbowała przebić się przez mroki ludzkiej natury, a w skali makro – jak hartował się wielki kapitał i w ogóle wiek XX, sprawa Osedżów wyrasta ponad uogólnienia, metafory, gatunkowe klisze. Minimalistyczne, świdrujące brzmienia Robbiego Robertsona, również wywodzącego się z Pierwszych Narodów, sugerują, że w gruncie rzeczy oglądamy kostiumowy film współczesny, patrzący – i na przeszłość, i na kino – z nową wrażliwością i wiedzą. ©

Lektor:
Wszystko poza mną zostało zabite

▪ *Anna Bikont*
NIGDY NIE BYŁAŚ ŻYDÓWKĄ. SZEŚĆ OPOWIEŚCI O DZIEWCZYNKACH W UKRYCIU
Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2023, ss. 248.

Na pierwszym zdjęciu młoda dziewczyna o olśniewającej, filmowej urodzie. Na drugim stara kobieta: pokryta zmarszczkami piękna twarz, wyraziste rysy. Coś do nas mówi, może właśnie to zdanie: „Mnie słonko nie świeciło w życiu, a teraz księżyc gaśnie".

Dziewczyna to Elżunia, urodzona w 1936 r. córka działacza Bundu Zygmunta/Zelmana Frydrycha. Frydrych umieścił ją po „aryjskiej" stronie, sam zginął już po powstaniu w getcie, wydany wraz z kilkorgiem innych przez gospodynię ich kryjówki. Autorka odtwarza tułaczkę Elżuni do odnalezienia jej przez przyjaciela Frydrycha Marka Edelmana w 1946 r. Potem jest Ameryka, zamożny dom, kochający przybrany ojciec, prestiżowe studia, niezwykła aktywność, przystojny mąż... Nie ma jednak happy endu – 25-letnia Elza Shatzkin, po mężu Dallek, odbierze sobie życie w hotelowym pokoju.

Historia Marianny Adameczek, urodzonej w 1930 r. jako Blima Kurchant, córka wiejskiego krawca, jest bardzo nietypowa, bo Marianna po wojnie (zmarła w 2017 r.) mieszkała dalej w rodzinnym Charlejowie, nosząc nazwisko ludzi, którzy ją uratowali (jej mąż pochodził z innej rodziny o tym samym nazwisku). A bliscy? „Wszystko poza mną zostało zabite". To samo mogłaby powiedzieć Elżunia, tyle że Marianny nikt nie szukał, a spotkanie z przyjaciółką, z którą się ukrywały, nastąpiło dopiero po latach. Porażający jest tu obraz polskiej wsi z perspektywy ukrywających się Żydów. Podobnie jak w opowieści o Dorze Zoberman.

Jest jeszcze osiadła po wojnie w Izraelu Janka Hescheles/Altman, córka dziennikarza lwowskiego Henryka Heschelesa, zabitego w pogromie 1 lipca 1941 r., autorka pamiętnika „Oczyma dwunastoletniej dziewczyny" (1946) – wznowiony po ponad półwieczu, tłumaczony jest teraz na inne języki – a także obrończyni praw Palestyńczyków. Jest Irena Schwarz i jej listy słane po wojnie z Brooklynu do wojennej opiekunki Janiny Syczowej. I wreszcie „Małka" – konfrontacja opowiadania Bogdana Wojdowskiego z losami prawdziwej Aliny Ł. oraz z wojenną historią znakomitego pisarza pokazuje, że wykorzystał on w opowiadaniu także i własne doświadczenia. Po lekturze świetnej książki Anny Bikont traci się ochotę na matematyczne kalkulacje dotyczące proporcji między liczbą sprawiedliwych, obojętnych i zwykłych morderców. ©℗

OLGA

Drenda:
Orientuj się

Częścią nabożnego strachu przed skutecznością czyjejś polityki czy strategii reklamowej jest przekonanie, że ten ktoś potrafi sterować umysłami. Mówi się czasami „spece od marketingu", i w tym wyrażeniu skrywa się obawa, że oni wiedzą o nas coś, czego nie wiemy sami, że prześwietlają, analizują, wszczepiają w mózgi chipy i już dawno nas skwantyfikowali na amen, a my, wyborco-konsumenci, jesteśmy wobec tej zaawansowanej inżynierii bezradni. Podobne wapory ulatniają się, gdy ktoś nazwie polityka wytrawnym szachistą; stąd już tylko krok do prawdziwego geniusza zła. Tymczasem całkiem niekrótkie doświadczenie pracy w branży reklamowej każe mi sądzić, że udany wyrób, który trafi na swojego odbiorcę, to nie efekt bezwzględnych wyliczeń jakichś kosiarzy umysłów, lecz prędzej kombinacja śmiałości w przeforsowaniu pomysłu, szczęścia i tzw. czuja. Kto przegapi właściwy moment, ten może sobie mnożyć kombinacje szachowe, a i tak przepadnie. Dlatego wypuszczenie kampanii reklamowej odrobinę za późno nieuchronnie wywołuje podobny żal, jaki towarzyszy oglądaniu zadka odjeżdżającego właśnie autobusu.

Ten czuj to pewien dar; połączenie umiejętności obserwowania świata z odrobiną czynnika zupełnie irracjonalnego. To dlatego zdarza się, że najtrafniejsze wnioski rodzą się z najzwyklejszego banału, np. z liczenia czapek. W taki sposób amerykański dziennikarz internetowy i analityk trendów Sean Monahan dotarł do zjawiska, które nazwał *vibe shift* (zmiana tendencji, „klimatu" – nie w sensie ekologicznym, tylko generalnego nastroju; choć dzisiejsze polskie dwudziestolatki użyłyby słowa „wajb"). W pewnym momencie zaczął zwracać uwagę na przechodniów w czapkach, jakich nikt nie nosił od kilkunastu lat. Coś materializuje się jakby z powietrza; nagle ludzie zaczynają mówić inaczej, wyglądać inaczej, inaczej się myśli, mówi i robi, a to, co jeszcze wczoraj wydawało się nieaktualne, nieciekawe, anachroniczne, wtem okazuje się w sam raz, odważne, świeże. Korzysta ten, kto wystarczająco wcześnie to zauważy, zdefiniuje, spieniężу.

Nawet Madame Zola nie wywróży idealnej strategii.

OLGA DRENDA

Komunikacja w polityce nie różni się pod tym względem specjalnie od ulotnego życia powiedzonek, fryzur i krojów spodni. Doświadczenie, pieniądze i zbadanie potrzeb elektoratu to jedno – ale decydujący bywa właśnie refleks i czuj.

Kiedy w 2015 r. oglądałam w telewizji spoty kampanijne Prawa i Sprawiedliwości, te, w których parodiowali swoich przeciwników montując nagrania ich wpadek z fragmentami kreskówek, czułam mniej więcej to, co Sean Monahan na widok spacerowiczów w chwilę-temu-niemodnych czapkach. Myślałam sobie trochę wbrew własnej woli: tak naprawdę to jest okropne, to jest niepoważne, tak się nie robi, ale niestety to chwyta. Pomyślałam: nadchodzi czas na arogancję, na jawny konflikt, na bezczelność rodem z ówczesnego Wykopu i 4chan. Pozostałe duże partie wydawały się w porównaniu z tą komunikacją – owszem, poniżej pasa, ale dynamiczną i mocną – przebrzmiałe i ślamazarne, tworzone jakby dla innego społeczeństwa. Prezes po prostu wyczuł wajb.

Teraz dla odmiany wajb prezesowi umknął. Jego partia nieraz budziła zdumienie tym, jak skutecznie potrafiła kierować emocjami wyborców, jakby faktycznie posiedli jakiś program do czytania umysłów. To zmieniło się bardzo szybko, program się zawiesił. Chwila nieuwagi czy przekonanie o własnej racji? Zaklęcia i straszaki pozostały te same, bo przecież tak dobrze działały. Ale ludzie się zmienili, świat się zmienił, autobus odjechał. Kredyt zaufania otrzymał kto inny, ten, kto nie stracił czujności. Zrezygnowana ekspresja Beaty Szydło namawiającej do „zaciśnięcia zębów i zamknięcia oczu", na co sztab KO odpowiedział błyskawicznie spotem – kontrą, to niemal *déjà vu* z 2015 r., kiedy Ewa Kopacz opowiadała nieporadnie o „rzucaniu kamieniami w dinozaury", a konkurencja błyskawicznie przerabiała ten materiał na kampanijne paliwo.

Przepływu nastrojów nie da się zaprogramować ani uprzedzić. Można jedynie surfować na tej fali. Tak długo, jak ktoś to robi, wydaje się niezniszczalny i nieśmiertelny. Ale bywa i tak, że kto wajbem wojuje, od wajbu ginie. Nawet w rzeczywistości nieustannej inwigilacji, pomiarów i algorytmów – „u Fortuny to snadnie, że kto stojąc upadnie" (jak pisał Jan Kochanowski). ©

PAWEŁ

Bravo: *Plotaski i pasta*

Trzy czwarte makaronu zjadanego w Europie pochodzi... dość, nie wypada waszego czasu trwonić na taką łatwiznę, zasługujecie na trudniejsze zagadki. A poza tym makaron tośmy potraktowali dogłębnie, do samego spodu zagadnienia, aż przewierciliśmy się na drugą stronę absurdu. Było to ledwie dwa tygodnie temu, dzięki uprzejmości pewnego posła. Cóż ja jednak poradzę, że akurat w tę środę, gdy dajecie się od rana ponieść treściom nowego „Tygodnika" tak, że aż zapominacie kupić świeżych rogalików dla dziatwy... otóż w tę środę właśnie wypada World Pasta Day.

To jeden z tych typowych zapychaczy tematycznych dla portali oraz pretekstów do sponsorowanych imprez. W tym przypadku akurat pretekst sympatyczny i niebudzący etycznych rozterek, jakie mógłby spowodować np. światowy dzień napojów energetycznych, bo makaron nikomu nie zaszkodził nawet w swoich najbardziej masowych i tanich wersjach. Makaron w typie włoskim, dodajmy, stąd ta pasta w angielskiej nazwie (a może to już jest oficjalnie angielskie słowo). Producenci masowych i znanych wam dobrze marek zebrali się ze 20 lat temu i zrobili zrzutkę na budżet wspólnego święta. Z pewnością zależy im więc, by nikomu się nie pomyliło np. z japońskim udonem, bawarskim szpeclem czy naszymi kluseczkami.

Chleb (makaron) nasz powszedni to dziś wyobrażenia w sosie mody doprawione aspiracjami. Stąd przez wiele lat, aż do wybuchu pandemii, panowie paściarze mieli zwyczaj urządzać sute bankiety dla mediów w ważnych stolicach. Ot, np. w moskiewskim Ritzu przy Twerskiej, gdzie na pewno zastawa lśniła niczym carskie samowary, a wódka mroziła palce jak biełomorski lód. Że wódka nie pasuje do makaronu, powiadacie? I że jej obecność (obok obfitej porcji śmietany!) w przepisie *penne à la Gorbatchev* to tylko wstydliwa pamiątka po bezguściu lat 80. i znamię do niedawna obnoszonej z dumą rusofilii? Ano pewnie tak, nie sprawdzałem i raczej się nie wybieram w najbliższej przyszłości ani do Moskwy, ani nawet do Warszawy, gdyby akurat się coś takiego wydarzyło. Np. w Sheratonie, który jako najbliższa Sejmowi siedziba jako takiego luksusu może odzyska po ośmiu latach swoją rolę sworznia politycznego kręciołka. Ta wciąż jeszcze urzędująca władza mniej się szwendała po lokalach. A może tylko się przeniosła do innych w okolicy? Warszawie brakuje rzetelnego przewodnika po ulubionych spelunkach politycznej bańki: gdzie nie bywać i co omijać.

Może jednak przesadzam i niekoniecznie obecność polityka przy stoliku obok musi wywoływać trawienny dramat. Myślę tak nawet nie tyle w kontekście różnych obiecywanych nam nowych otwarć, ile historii liderki, która ma dobre wyczucie obciachu. Przysporzył go włoskiej premier Giorgii Meloni jej partner życiowy i ojciec córki, telewizyjny konferansjer Andrea Giambruno, któremu koledzy ze stacji podłożyli świnię, emitując nagrania spoza anteny dowodzące, iż jest dorodnym seksistowskim wieprzem. Pani premier kieruje wprawdzie partią z wartościami rodzinnymi na plakatach, ale nie zawracała sobie dotąd głowy ślubem. Mogła więc odprawić faceta jednym tweetem (czy teraz się mówi „iksem"?) w ciągu niecałej doby od wybuchu skandalu. Co się jej chwali w perspektywie pełnego upodmiotowienia kobiet i co zapewniło szybki skok poparcia. Tylko małostkowi mogą się czepiać dysonansu z tradycjonalistycznym wizerunkiem.

I tak zamiast paroma poważnymi sprawami, które znaczą naszą spożywczą codzienność w apogeum jesieni, popłynąłem w preteksty i plotaski – fakt, że starannie rozwałkowane także przez bardzo poważne u nas media. Ale może chociaż w tę środę nie zapomnicie o rogalikach dla dziatwy! ©℗

PAWEŁ BRAVO

Nie wiem, czy producenci włoskiego ryżu już zapłacili za Arborio Day, ale w mojej kuchni przypada on prawie co tydzień. Kremowo potraktowany ryż tworzy świetną, moim zdaniem lepszą od klusek ramę dla wielu smaków, pogłębia je i winduje parametry rozkoszy. Dziś weźmy na warsztat lekką gorycz radicchio – najlepiej podłużnej odmiany Treviso (w Warszawie uprawia ją np. Majlert, czynny do końca miesiąca). Kroimy w cienkie paski główkę tej sałaty, odrzucając najgrubsze białe części, kładziemy do garnuszka z 400 ml czerwonego wina (lepiej mało garbnikowe) i dwiema łyżkami octu winnego. Zagotowujemy, trzymamy na wolnym ogniu 10 minut, wyjmujemy listki, dalej gotujemy płyn, aż się zredukuje do ok. 100 ml (zajmie to mniej więcej pół godziny). Na suchej dużej patelni prażymy 300 g ryżu, podlewamy 100 ml wina, odparowujemy, dolewamy wrzącego bulionu warzywnego (możecie spróbować zamiast ziela angielskiego dać do niego jałowca), gotujemy delikatnie mieszając tylko co jakiś czas. Po ok. 10 minutach wlewamy zredukowane wino i obgotowane radicchio, dalej gotujemy całość, podlewając bulionem, aż ryż będzie miękki. Gasimy ogień, dodajemy dwie łyżki masła, mocno kręcimy, by powstał krem, dodajemy łyżkę miodu kasztanowego (jeśli nie mamy, to od biedy gryczany, ale warto go mieć w kuchni), przykrywamy na minutę. Na wydaniu posypujemy parmezanem i paseczkami świeżego radicchio. Proporcje octu i miodu musicie skorygować sami, według waszych osobistych upodobań.

Tygodnik Smaków – co piątek w Twojej skrzynce przepisy na Tygodnikowy lunch, deser, obiad. Zapisz się na **powszech.net/tygodnik-smakow**

ZMYSŁY

WIDMA W BIELI

Wiedziałem, że jeśli pójdę jeszcze dalej, kraina w końcu mi odpowie. W lodowatej pustce poczuję czyjąś obecność. Im mniej będzie widzialnego, tym więcej pojawi się niewidzialnego.

TEKST I ZDJĘCIA MICHAŁ MILCZAREK Z GRENLANDII

Matka dzwoniła na Grenlandię i mówiła, że widziała go o trzeciej w nocy. Nie spała, miała otwarte oczy. Stanął w drzwiach sypialni i powiedział dwa słowa, ale za szybko, żeby zrozumieć. Potem już tylko charczał i bełkotał. Aż odleciał.

Duch.

Ojciec.

Dziesięć dni później wypadała pierwsza rocznica śmierci, dlatego wracał. Zapalał światło na ganku, otwierał zamki, włączał radio, podbierał biżuterię, gubił dowód osobisty, chował pieniądze. Trudna relacja. Miłość podszyta lękiem.

Zasugerowałem, że może jest mu zimno i powinna okryć go kocem. To znaczy zdjęcie, które niesiono na czele konduktu pogrzebowego, przed urną.

Ładne zdjęcie. Jest wiosna 2008 r. Ojciec stoi w ogrodzie w żółtym polo i się uśmiecha. W tle rododendrony. Zostało mu jeszcze 14 lat. 14 wiosen i 14 jesieni.

Zima

W Morzu Baffina koło Ilulissat tkwiły góry lodowe. Ich surowe piękno było obezwładniające. Patrzyłem i czułem ból. Lodowate piękno wywoływało fizyczny ból w moim ciele. Odczuwałem skończoność, niemoc. Byłem bezradny. Kurczyłem się. Przemijałem. Nic nie było moje, nawet ja sam. Wiatr i mróz przywracały rzeczom właściwą miarę. Świat był większy. Znikałem. Czułem zimno. Czułem nieobecność absolutu. Czułem radość.

Słońca w lutym było jeszcze mało. Wędrowało nisko, barwiąc śnieg na niebiesko. Nad otwartą wodą unosiła się mgła lodowa. Krajobraz drżał. Zachody ciągnęły się długo, kilka godzin. Światło powoli wyciekało przez odległą szczelinę horyzontu. Widać było daleko – aż po kres.

Wieczorami od czasu do czasu migotała na niebie zorza polarna. Miała w sobie namiastkę zielonego i sprawiała wrażenie żywej. Patrząc na nią, czułem ciepło w ciele.

Pierścionek

Zadzwoniła i powiedziała, że zginął pierścionek z brylantem – ten, który kupiła pół wieku wcześniej w Leningradzie.

– Był i nie ma – powiedziała zdenerwowana.

Zachód księżyca na Oqaatsut, 12 lutego 2023 r.

– Może gdzieś go położyłaś?

– Nie, to musiał być ojciec. W środku nocy. Wszystkie zamki były zamknięte, zasuwy zaciągnięte. No więc kto i którędy? Tylko głowa ojca, która wleciała przez komin.

Psy

W Oqaatsut mieszka dwudziestu pięciu ludzi i sto psów. Psy są przywiązane do łańcuchów. Całą zimę spędzają na gołym śniegu – obrastają wtedy odpowiednio grubym futrem. Bez tego futra umarłyby. W nocy kulą się, bo nie mają niczego poza własnymi ciałami. Owe ciała, mięso fok i sfermentowane mięso rekinów polarnych muszą im wystarczyć.

Czasami wyją. Ich głosy łączą się ze sobą. Przeciągły dźwięk unosi się nad śniegami, szybuje daleko.

Lęk

Zawsze się bała. Bała się tego, co inni ludzie zrobią albo pomyślą. Jak gdyby ich myśli miały wpływ na życie. Zagrażały, podważały, oceniały, wyśmiewały. Myśli myślały się w obcych głowach, a ona była w nich. Myślały o niej. Nie była tylko sobą, nie mogła być w pełni sobą, bo część niej tkwiła w cudzych myślach, a ona nie miała nad tym kontroli.

Bała się też, że coś się stanie. Czegoś nie dopilnuje, nie zapłaci w porę rachunku, nie odbierze telefonu, nie odbierze awiza, nie wstanie wystarczająco wcześnie, nie wykaże refleksem – i wtedy coś się stanie. Świat wykorzysta jej słabość. Zakpi z niej. Odbierze jej to, co ma.

Lęk jest duchem. Nie ma oczu, nie ma twarzy, nie ma głowy – tylko sam korpus. Pojawia się znikąd. Żeby żyć, potrzebuje żywiciela, dlatego wchodzi do wnętrza ludzkiego ciała. Staje się tobą i wtedy się boisz. Może cię sparaliżować, może też sprawić, że przechodzisz do kontrataku, chociaż nikt cię nie atakuje.

Pochodzi z głębi wieków. Z pańszczyzny, upokorzenia, bezradności, strachu. Ze świata, w którym od czyichś myśli zależał twój los. W którym myśli stawały się duchami.

Niekiedy przybywa ze wschodu – ze Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich.

Krew

Śniło mi się, że ścięto drzewo, które było jak matka – większe i starsze niż pamięć. I faktycznie zeszłej jesieni ścięto je.

Śniło mi się, że leje deszcz, a ja nie mogę zamknąć okien połaciowych i woda zalewa dom.

Śniło mi się, że rosyjscy żołnierze wdarli się do środka. Chodzili po domu w ubłoconych buciorach. Czuć było od nich potem i dymem papierosowym. Teraz wiem, jak pachnie gwałt.

Śnił mi się grzyb atomowy na horyzoncie. Dziecko epoki, sięgnąłem po telefon, żeby zrobić zdjęcie, ale nie zdążyłem – zmiotła mnie fala uderzeniowa.

Każdego ranka leciała mi krew z nosa. Dziwna była ta krew we wszechogarniającej, grenlandzkiej bieli. Nie wiedziałem, co niesie, co znaczy: życie czy śmierć. Wycierałem ją i szedłem dalej.

Las

Urodziła się w lipcu 1946 r. w Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. Jej matka Jadwiga została sama na odludnej kolonii wśród lasów na pograniczu białorusko-litewskim. Do najbliższego sąsiada paręset metrów, do Wilna 65 kilometrów. Jej ojca Stanisława już nie było – kilka miesięcy wcześniej uciekł przez zieloną granicę z Białoruskiej SRR do Litewskiej SRR – a stamtąd przedostał się na fałszywych papierach do Polski Ludowej, żeby znaleźć nowy dom na tzw. Ziemiach Odzyskanych. Uciekł, bo mogli przyjechać w każdej chwili. Ilość hektarów ↦

↦ kwalifikowała ich do reedukacji ideologicznej i likwidacji jako klasy. Jadwiga została i czekała. Musiała się bać. Las, ciemność, Stalin, Sybir. Mogli przyjechać w każdej chwili.

Do Szczecina dojechali pod koniec 1946 r. Matka, dwuletni brat Ryszard, siostra Jadwigi Genowefa i krowa Malina. Miesiąc w wagonie towarowym, na fałszywych papierach. Zawszeni i brudni.

Prócz matki wszyscy już nie żyją.

Wiatr

Coraz więcej umarłych, coraz więcej duchów. Na Grenlandii żywe kurczy się – nietrudno dojrzeć jego kres. Śmierć jest łatwa, jest na wyciągnięcie ręki. Dotrzymuje kroku.

Na cmentarzu w Oqaatsut nie było nikogo. Tylko lisie ślady i umarli. Szedłem, łamiąc przemrożoną skorupę śniegu – równą, wypolerowaną przez wiatry. Czułem się jak intruz zaburzający zastygłą nicość. Ponad białą powierzchnię wystawały białe, drewniane krzyże. Niektóre były oznaczone imieniem i nazwiskiem oraz datami, inne zawierały same inicjały, jeszcze inne nie zawierały nic. Farba się łuszczyła, poziome belki, do których wiele lat temu coś przybito, odpadły. Wokół ciągnęły się góry i morze. Było minus 31, od strony lądolodu wiał kłujący wiatr.

Tyle zostaje z człowieka.

Targ

Brat jej ojca, Bolesław, został i wstąpił do kołchozu, ale i tak przyjechali w środku nocy. Otoczyli dom i zaświecili reflektorami ciężarówki w okna. Drzwi otworzyła jego żona Bronisława.

– Grażdanka, macie 15 minut, pakujcie się.

Bronisława zemdlała. Zatroskani enkawudziści zaczęli ją cucić: – Grażdanka, wstawajcie, zbierajcie się. Macie przecież trójkę dzieci.

Zapakowali ich do wagonu towarowego Pullmana – łącznie 60 osób. Spali na walizkach. Droga do stacji Syrdaria w Uzbeckiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej zajęła 30 dni.

Na miejscu zastali targ niewolników. Przewodniczący kołchozów wybierali sobie zesłańców. Oceniali, kto nada się do pracy na uspołecznionych polach republiki. Bolesław z rodziną wpadli w oko przewodniczącemu kołchozu im. Amangeldy Imanowa leżącego za pobliską granicą Kazachskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Przez następne lata zbierali bawełnę.

Osiemnastoletniego syna Stefana przydzielili do działu propagandy. Namalował na ścianie człowieka z palcem skierowanym w stronę patrzącego: „Co ty zrobiłeś dzisiaj dla kołchozu?”.

Jedenastoletni syn Antoni na wieść o śmierci Stalina wdrapał się na dach lepianki i zaczął grać na harmoszce. Nie umiał powstrzymać radości.

Rodzice natychmiast wybiegli na zewnątrz: – Czyś ty zwariował!? Chcesz, żeby nas wszystkich rozstrzelali!?

Nie rozstrzelano ich. Mimo to wszyscy już nie żyją.

Morze

Zamarznięte morze dziwnie skrzypiało, jakby miauczało. Na wszelki wypadek wylałem mu trochę herbaty z termosu i rzuciłem kostkę czekolady. Czułem, że żyje. Inaczej niż ja, ale też na swój sposób żyje. Może ma świadomość, może tylko pamięć, może tylko któryś zmysł: słuch, wzrok, węch. Może nic nie ma – i jest tylko nagim, bezcielesnym życiem. Nie wiedziałem. W każdym razie wydawało mi się, że jest czymś więcej, niż mieści w sobie słowo „jest”. Rozciągało się obok. Towarzyszyło. Wypełniało. Bez niego moje życie nie miałoby sensu. Dlatego dzieliłem się z nim tym, co miałem w plecaku. Robiłem to, bo dotrzymywało mi towarzystwa, po prostu było obok. Dzięki temu ja też mogłem być. Istniałem tylko dlatego, że istniała cała reszta świata. Nie byłem sam. I morze nie było samo. Czułem w ciele ciepło promieniujące od lodu. Czułem, że staje mi się przychylne. Czułem, że mogę być dalej.

Psy w Oqaatsut, 13 lutego 2023 r.

Przemrożony krajobraz Grenlandii sprawiał, że wiele zbędnych rzeczy odpadało. Biel je wymazywała. Pozostawało nagie życie. Zostawałeś z nim sam na sam – ale wcale nie byłeś sam.

Chleb

Wykupiłem pakiet roamingowy oferowany przez operatora. Będę mógł coś doradzić, gdy ojciec znowu przyleci przez komin.

Dzwonię. Matka mówi, że ugotowała rosół, ale on nie chce jeść. W ogóle nic nie je. Nawet wody nie pije. Nie ma już przecież ciała, tylko głowę. Ale głowa jest na zdjęciu, za szybą. Przez szybę nie sposób niczego przełknąć.

– A jak Czarnuszek? – pytam o czarnego kota, który zmarł pół roku po ojcu.

– Czarnuszek, biednieńki, marznie w ogrodzie.

Zabrakło mu dwóch miesięcy do dwudziestu lat. Matka pochowała go pod srebrnym świerkiem. Zrobiła nawet prosty nagrobek. Na ostatnie Święto Zmarłych zaniosłem mu pokrojony w kostkę plaster polędwicy.

Ojcu natomiast zaniosłem chleb. Chciałem położyć na płytę nagrobną, ale matka zaprotestowała: – Zwariowałeś? Co ludzie sobie pomyślą, gdy to zobaczą! Zostaw ten chleb za grobem.

Noszę chleb od dawna. Tym bardziej że inni nie noszą. Kładę na grobach albo za grobami. Zostawiam na pomniku Sybiraków. Znajduje się na nim długa litania nazw geograficznych, więc trudno się zdecydować. Staram się jednak pamiętać

i dawać po równo. Jeśli przed rokiem położyłem koło Magadanu i Norylska, teraz kładę obok Kazachstanu i Workuty.

Zostawiam też poczęstunek w ogrodzie pod czereśnią. Wtedy prócz chleba kładę na talerzu śledzia, ser i polędwicę, bo matka kupuje mięso zwierząt. Na wszelki wypadek sypię trochę gorczycy, bo tak robili w „Dziadach". Dla osób ze skłonnościami nalewam kieliszek wódki.

Zdarza się, że przychodzą i biorą. Ostatnim razem rano talerz był pusty. Zostały tylko gorczyca i wódka.

Kruki

Na wyspie Qeqertaq leżącej po drugiej stronie Zatoki Rodebay nie widziałem ani jednego śladu człowieka. Tylko tropy lisów, które kluczyły, krzyżowały się, ginęły w bieli. Nie byłem sam.

Część śladów prowadziła do resztek fok. Zostały po nich krwawe zagłębienia w śniegu i kości. Resztę zabrali ludzie i zwierzęta. Roślin nie było. Spod śniegu gdzieniegdzie wystawały suche źdźbła. Nie były martwe, spały. Czasami na niebie zjawiały się kruki. Ich czerń połyskiwała. Widać je było tylko przez chwilę – potem znikały.

Szedłem w głąb białej krainy. Wokół był przede wszystkim śnieg. Śnieg i lód. Ich biel ujmowała światu ciężar. Umieszczała go gdzieś pomiędzy jawą a snem. Krajobraz pustoszał, a ja zacząłem wymyślać grenlandzkie słowa, chociaż nie znam grenlandzkiego. Wymawiałem je na głos, powtarzałem. Wiedziałem, że jeśli pójdę jeszcze dalej, kraina w końcu mi odpowie. W lodowatej pustce poczuję czyjąś obecność. Im głębiej w biel – tym bardziej zaludni się widmami. Im mniej będzie widzialnego, tym więcej pojawi się niewidzialnego. Moje myśli będą się ucieleśniać. Śnieg, lód, góry, morze, powietrze – ożyją. Będę mówił do kruków, będę szedł ich śladem.

Kruk po grenlandzku nazywa się *tulugaq*.

Blizna

Pani od polskiego powiedziała, że ma brudny kołnierzyk, chociaż jej polszczyzna nie była najgorsza. Pani od matematyki zauważyła, że odpisuje zadanie domowe, więc pociągnęła palcem po atramencie i kartka w zeszycie zrobiła się czarna, chociaż w przyszłości została główną ekonomistką w przedsiębiorstwie dystrybuującym artykuły bezpieczeństwa i higieny pracy. Reszta nauczycielek nic nie mówiła, ale niewykluczone, że coś sobie myślały. Natomiast koledzy z klasy śmiali się, że jest ze wsi. Pozostawali głusi na argument, że dzielnica Osów leży w granicach administracyjnych miasta Szczecina, i pytali o krowę.

Za mało biedniacka dla ZSRR, za bardzo biedniacka dla PRL. Trudno jednocześnie zadowolić wszystkich – nie być deportowaną i nie powtarzać klasy.

W 1957 r. pojechała z matką na święta do Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Wąsaty kat już nie żył i Jadwiga po 11 latach mogła zobaczyć własnych rodziców. Pamięta, że baby zbierały krowie placki na opał i taszczyły pociągami osobowymi chleb w workach. Czekały na zaśnieżonych peronach opatulone, w walonkach, z worami chleba. Herbatę słodzono landrynkami, bo nie było cukru. Podczas Wigilii na stole pojawiły się kartofle, kiszona kapusta, czarny chleb. Chleb wręczyła kuzynce Dance nauczycielka w imieniu szkoły, żeby zademonstrować przed gośćmi z zagranicy szczodrość Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich.

Traci pamięć, ale to pamięta. Dokumenty też to potwierdzają. W starym dowodzie osobistym w rubryce „miejsce urodzenia" miała wpisany ZSRR. Wstydziła się tej blizny. Chciała ją ukryć, wymazać. Wyjąć ze swojego ciała biedę, gorszość, niewolę, podejrzane pochodzenie etniczne. Wymazać z siebie cały ten Wschód, skazę ciągnącą się aż po Pacyfik.

Myślę teraz, że właśnie dlatego pojechałem na Kamczatkę, gdy tylko dorosłem. Była najdalej, a ja sądziłem, że to gwarancja rzetelności i prawdy. Chciałem zobaczyć, co zostało wymazane i gdzie nas nie deportowano.

Wiosna

O ósmej rano w Oqaatsut było minus 33 z wiatrem. Odczucie zimna wynosiło minus 44. Ten mróz parzył, kłuł, bolał. Nie był zimny, lecz bolesny.

Księżyc pomału zachodził za zamarznięte Morze Baffina. W oddali dryfowały góry lodowe. Śnieg miał kolor przyprószonego popiołem błękitu. Psy na łańcuchach kuliły się. W kilku drewnianych domach paliło się światło. Było już widno, ale słońce miało wzejść dopiero za dwie godziny. Na sześćdziesiątym dziewiątym równoleżniku ruch ciał niebieskich jest spłaszczony. Wszystko działo się w zwolnionym tempie. Czas nie spieszył się.

Z letargu wyrwał mnie Grenlandczyk Ole: – Chodź, coś ci pokażę.

Przeszliśmy do pokoju obok. Po podłodze chodziła mucha. Nie miała siły wzlecieć, ale wciąż wędrowała.

Grenlandia, połowa lutego, mucha.

– Idzie wiosna – powiedział Ole.

Miękkopióry

Miękkopióry wróciły. Krążyły setkami, tysiącami nad lodem, poszukując otwartej wody. Cechuje je filopatria – wracają do miejsca, w którym się urodziły. Samice składają jaja tam, gdzie się wykluły. Są spokrewnione i wiedzą to, tworzą matriarchalne struktury społeczne. Niekiedy znoszą jaja w gniazdach swoich sióstr lub kuzynek oraz łączą siły w procesie wychowania potomstwa. Dlatego wracały po zimie – razem. Z daleka wyglądały jak zintegrowany układ nerwowy. W ich drobnych, silnych ciałach kryło się ciepło.

Ja też poczułem ciepło. Moje ciało zalała żywa fala krwi. Nie byłem sam.

Ucieczka

– Musiał uciec z własnego pogrzebu. Teraz się chowa, ale nie wiem gdzie. Może pod łóżkiem? Na poddaszu, w kominie? Nie widzę go, bo zostało go mało. Czasami podjada mi jogurt, ale tylko kilka łyżeczek, więcej nie potrzebuje. Nic nie mówi, nie ma już przecież mózgu. Patrzy ze zdjęcia, ale czy widzi? Zdarza się jedynie, że lekko porusza oczami. W jakiś sposób wyrwał się z ognia krematorium, wymknął się śmierci.

© MICHAŁ MILCZAREK

Autor jest reporterem i wykładowcą w Instytucie Filologii Wschodniosłowiańskiej UJ. Wydał prace naukowe „Z martwych was wskrzesimy. Filozofia Nikołaja Fiodorowa" i „Drzewo życia. Fenomen Wasilija Rozanowa" oraz reportaż „Donikąd. Podróże na skraj Rosji" (Czarne 2019).

STANISŁAW

Mancewicz:
Cud mniemania

Powiada św. Tomasz z Akwinu: „Mówi się, że coś jest cudem, kiedy dzieje się poza porządkiem wszelkiego stworzenia”. Rzecz jasna nie ma w nas przenikliwości doktora Kościoła, ale dorzucilibyśmy spostrzeżenie takie oto, że najczęstszymi świadkami cudów byli pasterze. Jest to zawód – zważmy – jak żaden inny, predestynowany do uczestnictwa i świadczenia w sprawach dziejących się poza wszelakim porządkiem. Pasterze i pasterki – to frapujące – przechodzą do historii wyłącznie z powodu swej spostrzegawczości, autorskiej interpretacji zdarzeń i zniewalających umiejętności narracyjnych.

Można rzec, że pasterstwo jest zawodem z przyszłością, choć nie jest to zajęcie dla każdego. Trzeba mieć to coś, z czym się człowiek rodzi, a jest to po prostu talent. Beztalencia, jak zresztą w każdej dziedzinie, skazane są na frustrację i kwękanie. Możliwe, że wśród pasterzy istnieje rodzaj niecierpliwego oczekiwania na cud, ale to oczywiście domysł, nie mamy bowiem kontaktu z ludźmi tej branży. Pasterstwo – to wie każdy – jest zajęciem sezonowym, zależnym od trawy, więc i w cudotwórstwie jest przerwa jesienno-zimowa. Wydaje się, że mamy w naszych świetnych rozważaniach rację, ogromna większość cudów, o których słyszeliśmy, wydarzyła się na wiosnę bądź w lecie. Cuda są zatem wydarzeniem pór bezśnieżnych, a więc takoż jesiennych.

Te – jak widać – skrzydlate myśli, pytania i odpowiedzi cudów dotyczące towarzyszyły naszej codzienności w ostatnim, jakże jesiennym tygodniu. Nie bez powodu. Ktoś tu powie, że moglibyśmy się jednak przymknąć i zająć solidną analizą społeczno-polityczną, miast snuć się po naskórkowo i amatorsko ujętej teologii. Niestety, w naszym nadętym przekonaniu jakakolwiek analiza polskiej polityki skazana jest na mozół i błądzenie, a sens ma wyłącznie psychologizowanie. Polska polityka to owoc niekiełznanych emocji i myślenia wyłącznie odruchowego. Polska rzeczywistość polityczna to wystawa odruchów i ich koktajli. A gdzie tak jest, tam o cuda nietrudno. Zaraz po ogłoszeniu wyników wyborów rzeczywistość się po naszemu zakrzywiła. Niby byliśmy na wiele przygotowani, bo nie spadliśmy z Marsa, ale jednak – trzeba przyznać – szczęka nam opadła, nie mieliśmy bowiem dotychczas okazji podziwiać cudu mniemania w takiej skali. Cud ów błyskawicznie wyrósł i rozkwitł, osiągnął niesamowite rozmiary, powstał – jak i inne wydarzenia z tego gatunku – bez hamulców, bez grawitacji i, można też rzec, bez udziału rozumu. Trwa i nie więdnie.

Otóż nieprzebrane rzesze wielbicieli obecnej władzy i tamtejszych liderów opinii, od b. Gospodarza począwszy, nie mogą wyjść zarówno ze zdumienia, jak i z towarzyszącego zdumieniu permanentnego oburzenia, że opozycja wraz ze swymi liderami i wyborcami się cieszy. Cieszy się, gdyż rzekomo wygrała, choć przecież sromotnie przegrała. Tak. Kto nie wierzy, niech się wysili i przerzuci prawicowy internet. Naprawdę nie trzeba się wczytywać ani grzebać głęboko. PiS wygrał wybory po raz trzeci, jest to bezprecedensowy sukces, a radości z niego nie wolno dać sobie odebrać. Bo na całym świecie partia, która wygrywa wybory, tworzy rząd. I rządzi. Kropka. Kto mniema inaczej, jest tęczowo-niemiecko-sowieckim łgarzem. A więc, a mówimy to z pełną odpowiedzialnością, po raz pierwszy w naszym życiu zasady działania na liczbach, w tym więcej niż na jednej, w zakresie od jednego do stu, stały się na taką skalę dyskusyjne. Dodawanie w słupku stało się ekskluzywną umiejętnością dostępną nielicznym.

Opinia o tym, która liczba jest większa, a która mniejsza, stała się motywem sporu politycznego i tematem interpretacji. Być może gdzieś indziej byłoby to zmartwienie wszystkich speców od edukacji w klasach I-III, ale nie u nas, gdzie arytmetyka weszła do bestiarium tożsamości i wartości. Co z tego może wyniknąć? Nie chcemy tu pielęgnować naszego legendarnego pesymizmu, ale trzeźwość wielu Polaków należy badać innym urządzeniem niż alkomat. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

REKLAMA

POLIN

Muzeum Historii Żydów Polskich

WOKÓŁ NAS MORZE OGNIA

ul. Anielewicza 6
00-157 Warszawa

Wystawa w ramach programu „Nie bądź obojętny. 80. rocznica powstania w getcie warszawskim”

WYSTAWA CZASOWA

WOKÓŁ NAS MORZE OGNIA

Losy żydowskich cywilów podczas powstania w getcie warszawskim

polin.pl

18.04.2023-08.01.2024

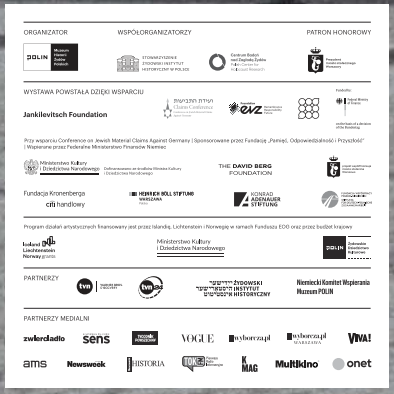

REKLAMA

ŚWIĘTUJ RAZEM Z NAMI
20
URODZINY
RMF CLASSIC
SZCZEGÓŁY DOSTĘPNE NA
WWW.RMFCLASSIC.PL